

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

**PÓŁDIABLEŃ
WENECKIE**

POWIEŚĆ OD ADRIATYKU

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

L'amor comincia con suoni e con canti
E poi finisce con dolori in pianti...
Piosnka ludowa

Cofnąć się potrzeba aż w przeszłość, chcąc pocieszyć oryginalnością charakterów ludzkich, samoistnością człowieka, który dawniej urabiał się mniej do formy jednej, swobodniej jakoś wedle żyjącej w sobie fantazji, i był, czym go Pan Bóg stworzył, nie wstydząc siebie... Dzisiaj Europę z końca w koniec przewędrowawszy, nie trafi się na wybitniejszą postać, żadna fizjonomia wyrazistsza nie przejrzy przez skorupę cywilizacji. Wewnątrz zapewne jest zawsze toż samo, co tam i dawniej bywało, człowiek w gruncie jeden od początku świata, ale po wierzchu wygląda dziś jak migdał cukrem oblany, i trudno zgadnąć, czy słodki czy gorzki, świeży czy nadgniły, a nawet czy to migdał tam siedzi, czy kawałek suchej skorupki bez smaku.

Dawne czasy i u nas, i wszędzie obfitsze były w oryginały, i nie było jeszcze tej łatwości przebiegania świata, która dziś ściiera piętna, ogładza obyczaje, przenosi ludzi, a z nimi jakiś ogólny ton europejski, który w istocie zależy na tym, żeby być podobnym do wszystkich, a jak najmniej do siebie samego. Nawet twarze tracą powoli charakter dawny, wybitniejszy, przywdziewając jakąś maskę tandetną, którą staranne wychowanie nadaje... Wszyscyśmy do siebie podobni, z małymi różnicami.

Śmiano się przed niewielu jeszcze laty z ekscentryczności Anglików, z Hiszpanów i Niemców oryginalności, teraz by się dziwić potrzeba, że już w tłumie nikogo z nich rozpoznać nie można. Anglicy wyuczyli się po francusku bez akcentu, a Niemcy, zapuściwszy bokobrody sążniste, tak udają obywateli Wielkiej Brytanii, jakby się nimi urodzili.

Życie też i obyczaj nie wyrabia się jak dawniej własnym kunsztem i dowcipem, ale wedle pewnej recepty przyzwoitości, ogólnie za najlepszą przyjętej.

Dlatego i nieszczęśliwy bazar, który wody by warzyć nie chciał, musi malowniczego wątku szukać w skryzalizowanej przeszłości, bo terażniejszość staje ledwie na materiał do rachunku i na temat do karykatury...

Wszystko to cel mieć musi i jest to widocznie stan jakiegoś przejścia, przerabiania się i cichej fermentacji, z którego coś zapewne wyrośnie bardzo ładnego i bardzo pożytecznego dla świata... ale z tego, co teraz pożywamy (ni kwaśno, ni słodko), nie ulepisz chyba bezbarwny i bezwonny placek... Trzeba więc, pożegnawszy świat rachmistrzów i gazeciarzy, giełdę i bankierskie elegancje, ozłocone na wszystkie boki, puścić się na wędrówkę... kędy pieprz rośnie.

Przysłowie to oznacza, że pieprz nieblisko rośnie, a pieprz jest tym, co osmacza, pobudza, piecze, zachęca do życia... tego potrzeba szukać w przeszłości. Klimat dzisiejszy dlań za zimny, pójdziemy więc w tę przeszłość osławioną i uwielbioną... przerzucim spleśniałe rękopismów karty, zajrzym do zbutwiałych trumien, na których wieku przegniłym siedzi uśpiona poezja z zeschniętym wieńcem w ręku.

Nich się tylko czytelnicy nasi nie ulękną bardzo, jeśli niestara tę historią rozpocząć będziemy musieli od bardzo dawnych przypomnień: są one niezbędnymi dla zrozumienia następnych wypadków. Uznał to już i dowiódł ksiądz kanonik Ciampi, że pomiędzy Polską a Włochami stosunki bardzo były ożywione, wymiana ludzi bardzo czynna. Myśmy im tam

posyłali bogatych suchotników, znudzonych wielkich panów, umierające panie i pobożnych a zamożnych prałatów, oni nam oddawali pożyczkę w niedouczonej doktorach, w niefortunnych malarzach, w nieszczęśliwych prawnikach, niekiedy wszakże w artystach całkiem znakomitych i rzemieślnikach niepospolitej wprawy.

Żart na bok, dużo naszej młodzieży uczyło się w Padwie, wyświęcało w Rzymie, bawiło w Wenecji, a leczyło potem pod ciepłym słońcem Neapolu.

Ci, co w Padwie przesiadywali, pociągali za sobą, z powrotem do kraju jadąc, współuczniów lub nauczycieli. Słynęła Polska z zamożności, a z hojności jeszcze bardziej. Każdy się tu cudzoziemiec czegoś dorobił, a niejedyn *per pedes apostolorum* przyszedłszy powracał poszóstno. Trafia się to przybyszom i dzisiaj: my tylko jedni poszóstno wyjeżdżamy, żeby powrócić z torbami, często jeszcze wstydu pełnymi...

Łatwo sobie wytłumaczyć, jak przodek mojego bohatera dostał się do Polski. Był on doktorem przy królu Stefanie, któremu w wojnach i obozach towarzyszył; drugi z tej rodziny, Franciszek, ożenił się z siostrą lekarza Buccelli nadwornego przy Zygmuncie III. Trzeci się także w Padwie medycyny wyuczył, aby ją w Polsce praktykować, i za Zygmunta III panowie Lippi de Buccellis otrzymali indygenat i szlachectwo polskie, a do rodowitych ich tarczy dwubarwnych, przez szczególną przyjaźń dla Lippiego, Hieronim Gostomski, wojewoda poznański, starosta sandomierski, dodał im górą w czerwonym polu swojego białego Nałęczca.

Lippiowie więc tu osiedli i z ubogich niegdy mieszkańców Belluno i Padwy, gdzie mieli dwie stare kamieniczki, przeszli na zamożną polską szlachtę, posesjonatów co się zowie. Gdy przyszło do tego indygenatu, o którym wspomniałem, na sejmie 1597 roku, musieli panowie de Lippi produkować się jako szlachta wenecka, ale nie zrobił trudności doża Mazino Grimano i wydał im na pergaminie malowanym ze srebrną pieczęcią dyplom tak wspinały, iż mogli go śmiało pokazać najwybredniejszemu szlachcicowi. U góry stały dwie tarcze, jedna wzdłuż podzielona na dwoje, druga dwoma w poprzek palami przecięta, z głową czarnego jastrzębia czy orła o złotym dziobie, wcale okazałą¹.

Lippi, syn doktora, już ożeniwszy się z Polką, poszedł na zagon gospodarzyć, powoli z Lippich zrobili się nawet Lipińscy de Buccellis; a wnuki już mało co po włosku umiały. Przechowywała się jednak tradycja o weneckim szlachectwie, o kamieniczce w Belluno i domu w Padwie.

Dziad mego bohatera był nieco dziwaczny umysłu, ubierał się z włoska, niekiedy bardzo bogato, czasem bardzo dziwacznie, jeździł w powozie, *alias* kolebce, malowanej pstro, srowadził sobie Murzynka, którego stroił po wschodniemu i niedostępnie miewał zawsze przy sobie... Coś tam we krwi jego włoskiej było fantazji, która się z polską butą zmieszała, i pan Bernard, którego po prostu Bernatem zwano, choć wielkopolski szlachcic, urodzony z Polki, z Polką żonaty, mało co włoszczyzny umiejący, bawił się w senatora weneckiego i patrycjusza. Przez calutki też życie wybierał się jechać do Padwy i Belluno dla rewindykowania dzieciństwa, które mu, jak on dowodził, niesłusznie wydarto; ale z roku jakoś na rok odkładając wybór – to dla słoty, to dla nieurodzaju, to dla niedobrego zdrowia, to z obawy, aby tam w Wenecji wschodniego moru i zarazy nie zastał – dożył na zagonie rodzinnym do dni końca.

W dziedzicznym jegomości Robninie było piękne jezioro, a na nim wysepka mała, u brzegów trzcinami porośnięta, w środku piaszczysta; otóż z tego ostrowu Bernat sobie małą uczynił był Wenecją, zmurowawszy tam parę domostw na palach, dosyć okazałej z dala struktury. Nikt tam nie mieszkał, prócz jednego rybaka, ale dziedzic często różne zabawy wyprawiał, gości spraszając i gondolami ich czarnymi, na sposób wenecki zbudowanymi, przewoził do swej Isola Bella, jak ją nazywał.

¹ Oryginalne przywileje i indygenat są w posiadaniu piszącego.

Na te dnie stroił się w lamy i brał czapkę, która zakrawała na książęcą doży, oryginalnym kształtem, Murzynek nosił nad nim purpurowy parasol, złotymi frandzlami przyozdobiony, a dwoje pacholąt facolet na poduszce i worek staroświeckiej formy, z którego jałmużnę rozdawał między dziady, chciwie nań czekające. Był na wyspie i moździerz, z którego na przybycie gości i gospodarza ognia dawano, i wieża z wywieszoną chorągwią, pomalowaną w herby Lippich z Nałęczem owym Gostomskich.

Wszystkie te niewinne dziwactwa pana Bernata sprawiły, że mu okoliczni wieśniacy, ba, i bracia szlachta dali przydomek – Półdiablę Weneckie. Wiedział on sam o nim, ale się z niego śmiał i prawie mu był rad; a gdy na humor mu przyszło, pytał się czasem z cicha sąsiadów: – A co? prawda? Półdiablę? he? Półdiablę Weneckie? I brał się za boki śmiejąc, tak mu się ten przydomek podobał.

Ale żadne w świecie by najniewinniejsze dziwactwo i fantazja płazem człowiekowi nie przechodzi, mimo jejmości, która była zapobiegliwą i oszczędną, mimo pięknej wsi posagiem wziętej, mimo kapitałów dziadowskich jeszcze, Bernat dobrze majątności naderwał, a gdy życie skończył, wierzycieli obliczono, syn jegomości i pozostała wdowa przestraszyli się, aby im ojcowizny zbywać nie przyszło.

Jednak pracą i oszczędnością jakoś się to połatało.

Tylko się zaraz wyrzekli wszelkich owych pańskich fantazji, budynków na Isola Bella, które opustoszały zupełnie i poszły w ruinę, gondoli, którym próchnieć dozwolono, i Murzynka. Tego przyjął do służby swej wojewoda Jabłonowski.

A że za pana Bernata dużo się ludzie byli rozpróżnowali i opuścili, musiał syn jego sprężyć się brać do gospodarstwa, co się nie podobało; ochrzczono go więc znowu owym spadkowym – Półdiablę Weneckim.

Wcale to nie był zły człowiek i szatańskiego w sobie nic nie miał, ale ściślej pilnując sprawiedliwości, nie pobożając nikomu, naraził się wielu. Surowego był nader obyczaju, posepnego oblicza, a pod starość księgi lubiał i chętnie się w nie wczytywał. Mając zaś tak prawie jak dwie ojczyzny, obu się uczył, obu wspomnienia cenił i zbierał.

Był on właśnie ojcem bohatera naszego, Konrada Lippi, pospolicie Lipińskim zwanego.

Po upadku konfederacji barskiej wielu z tych, co w niej czynny udział mieli, zniechęconych stanem rzeczy obecnym lub spodziewających się rychłej jego zmiany, rozpierchło się po Europie; niektórzy z sercem osmutniałym a piersią pełną poezji tej uroczystej doby, która religijnego ducha podniosła, powróciło do domów, aby przy roli i pracy zapomnieć o tym, co bolało – odpasane szable zawisły nad łóżem przy ryngrafach z Matką Boską Częstochowską, a żołnierz, w kitlu płóciennym i skórzniach po kolana, poszedł za pługiem, odśpiewując pieśń pobożną księdza Marka do Matki Boskiej i Królowej... niebios.

Do tych rozbitków, którzy się wałęsać po obczyźnie zrazu nie chcieli, należał i pan Konrad Lippi.

Dziedziczył on po ojcu i dziadzie wieś ową w Poznańskim, Robnin, na której jeziorze jeszcze w ruinach stały fantazje dziadowskie, a razem spadło nań niezasłużenie i przezwisko owo – Półdiabła Weneckiego, które już szło z ojca na syna.

Konrad wychowany był bardzo troskliwie i starannie przez ojca, który też chciał, aby choć jeden z synów jego włoskie pochodzenie rodziny miał i w duszy, więc go obok łaciny, języka włoskiego wyuczyć dobrze kazał. Ojciec jezuita, Włoch, który się Konradem zajmował, związał się z tego nader szczęśliwie, tak że młodzieniec i język, i dzieje drugiej rzeczypospolitej znał jak własne polskie. Ale sercem jakoś więcej był przyrósł do tej ziemi, na której się urodził i wychował.

Konrad, gdy konfederacja się zawiązała, przystąpił do niej i jako prosty żołnierz bić się poszedł; potem nie prześladowany jakoś, do rodzinnego kąta mógł powrócić.

Ale nań tam nikt nie czekał... Konrad dawno był rodziców stracił, siostrę miał zamężną aż w Kaliskiem, brata rodzzonego osiadłego w Prusiech około Chełmna, a w domu z rodziny żywego ducha.

Wyruszając na wyprawę, powierzył gospodarstwo, mienie i zarząd interesami staremu Pukałowi. Pukało, Litwin, kędyś od Kowna rodem, pacholeciem się był jeszcze przybłąkał do dworu w Robninie, do rodziców Konrada, służył naprzód przy pokoju, potem przy gumnie, pomagał ekonomowi, wyręczał pisarza, ale że wyrobił się z niego człowiek bardzo poczciwy, stateczny, rozsądny, w końcu mu powierzono tak jak wszystko: klucze, rejestra, pieniądze, i nowy dziedzic wcale mu ich odbierać nie myślał, boby sam pewnie tak jak on rady nie dał.

Pukało był wzorem tych starego autoramentu rządzców, co się tak z rodziną zjednoczyli, iż swojego własnego interesu nie mieli, a w panach swych żyli cali. Wynosił na rękach Konradka, pannę Annę i pana Bolesława, pogrzebał oboje starych Lipińskich, wydał potem za męża Anusię, na ostatek na wojaczkę wyprawił Konrada, którego najwięcej kochał... i oto on jeden, witał go teraz z powrotem.

Dla niego w Robninie nie było kąta, człowieka, rzeczy, której by nie znał z gruntu i historii jej nie wiedział. Ledwie już pamiętał miejsce rodzinne, mało co wiedział o swoich nad Niemnem, ale tu... tu mu się trawa spowiadała, gdy rosła, znał genealogię wszystkich gniazd bocianich, a ludzie wiejscy, niepewni metryki, do niego się udawali po objaśnienie, kiedy się kto rodził. Pamięć też miał doskonałą, a serce chyba jeszcze lepsze.

Dlaczego się był nie ożenił dotąd, chociaż już tego poszpakowaciał, to tylko Panu Bogu było wiadomo. Dostyc niemłody, wyglądał jeszcze raźnie, zdrowo, trzymał się prosto i wcale lat, które miał w istocie, nie pokazywał.

Nie brzydził się też niewiastami, i owszem, wzdychiwał do wielu, ale ile razy sunął się do kobierca, zawsze mu coś na drodze stanęło. Woli bożej jakoś nie było i nie było. Pukało to sobie w końcu i wyperswadował, bo był pobożny, a z wolą bożą godzić się nauczył i mawiał, gdy się go pytano: – Musi to tak być lepiej, kiedy się nie udaje... człowiek często pragnie mocno tego, czego potem ma żałować... zatem, stań się wola Twoja! Wie Pan Bóg, co robi.

Z Litwy jedną tylko rzecz wyniósł z sobą Pukało, przysłowie stare, dawniej znać używane w miejsce zwykłego: Dalibóg, aby imienia bożego nie nadużywać, powtarzał często bardzo: Dalifur i z tego poszło nawet, że go potem więcej nazywano panem Dalifurem niż Pukałową.

Gdy panicz sobie mundur sprawił, a karabelę ojcowską przypasał i gniadosza najlepszego ze stajni wziął pod kulbakę, Dalifur, się upłakawszy, przeżegnał go karawaką i poszedł z nią i z koronką około gospodarstwa, jak zwyczajnie. We dworze ani znaku nie było, że panicza zabrakło. Pilnował Pukało, żeby tam wszystko było na swoim miejscu i w porządku. O południu regularnie chodził zegar gdański nakręcać, żeby nie stanął; w piękne dni sam okna odmykał, garderobę wietrzył, pyły ścierał i przechadzając się po pustych komnatach, nawzdychał się i napłakał nieraz do syta.

Bo dla niego od wielu lat nic a nic się tu nie zmieniło na jotę jedną w losach, zajęciach i nadziejach. Kapota jego szara przeżyła starego Lipińskiego, dzień dzisiejszy podobny był do wczorajszego jak brat rodzony; w izdebce, którą zamieszkiwał lat dwadzieścia, patrzył na jedną szybę z rysą i piec popękany... a tymczasem na świecie ile doli ludzkich i żywotów, i szczęścia rozprysło się w tym młyńskim ruchu gorętszej wrzawy.

Nieraz to sobie przemyślał Pukało, czemu ludzie nie starają się o ten spokój, na którym, jak na wygodnej łódce, przepływa się ów burzliwy ocean życia i dobija do brzegu, prawie nie poczuwszy podróży, ale – trudno mu było zrozumieć wszystko na świecie, a i pretensji do tego nie miał.

Zaraz po ostatnich klęskach konfederatów napisał do niego pan Konrad, że przybędzie, i już czekano nań w Robninie. Cieszył się Pukało, że choć panicz z życiem ocalał, i wybierał z nim rozmówić o przyszłości w ten sposób, aby w dalszych niebezpiecznych wycieczek odjąć ochotę.

Robnin był co się zowie porządną posiadłością szlachecką; nie zbywało jej na niczym, rola była wyśmienita, lasu i łąk dostatek, jezioro rybne, rzeczka spokojna a wygodna płynęła doliną, zabudowania gospodarskie były fundamentalne... a i ludzie zamieszkujący na gruntach, od wieków już zespoleni z Lipińskimi, przywiązali się do nich, i choć swych panów dziedzicznym imieniem: – Półdiablę Weneckie, nazywali, kochali ich przecię. Był i kościółek, i plebania mała, i nie opodal gościniec bity do miasta, które niezbyt odległe leżało, i austeria intratna na trakcie, z której arendarz, też przyjaciel dworu, zwany Parnesem, opłacał ze trzy tysiące złotych rocznie, nie licząc kawy, cukru i mięsa, i świec łożowych, dodawanych tytułem porę-kawicznego. Porządny młynek rzeczny także coś znaczył.

Nie tylko rodzice pana Konrada, ludzie porządni, gospodarni i lubiący ład, przyłożyli się do zabudowania bardzo pięknego folwarku, ale i dziadowskie fantazje dały się na coś poży-tecznego poprzerać, oprócz ruin na wyspie. Lamus wyglądał jak baszta murowana, dwór z drzewa, pruskiego muru i cegły w przybudówkach, mógłby się być nazwać pałacem... tak z daleka dobrze się prezentował. Wszystko zresztą szło z tym w parze.

Chlubił się ojciec pana Konrada, że u niego chlewka nawet byle jak skleconego nie zna-lazł. Folwark, w którym Pukało mieszkał, a naprzeciwko stara klucznica Murzynowska, tak był wygodny, że drugiemu szlachcicowi mógłby być za dwór służyć, i nie powstydziliby go się pewnie.

Sąsiad Robnina, niejaki Pyszewski, poczciwy człek, ale szalaławił niezmierny, powiadał, że u Lipińskich było lepiej mieszkało, jak u niego ludzie.

Słynęli też ostatni z Lippich Lipińskich z ładu i dostatku. Nie było to bogactwo, nie zwało się państwem, ale na tej jednej wsi odłużonej przez nieboszczyka Bernata, ojciec Konrada dokupił drugą dla Bolesława, zebrał posag dla Anusi i zostawił synom znaczne kapitały. Ale żyło się skromnie bardzo, wygodnie, zdrowo, a wcale nieszumnie. Pamięć starego owego, co się bawił w patrycjusza weneckiego, była skutecznym przykładem. Nigdzie chleba smaczniej-szego nie znalazłeś jak u Lipińskich, ale marcypana tam nikt nie powąchał. Poszło to już w obyczaj, i oba synowie byli ludzie, choć dobrze wychowani, do prostoty przywykli, do twar-dego życia i wielkiego porządku.

Pan Bolesław mieszkający w Kaliskiem zupełnie się wdał w ojca, ożenił, zagospodarował, roli patrzył, a było mu tego, co miał, bardzo dosyć, i więcej nie pożądał. Anna też poszła w ślady matki, wydano ją za męża, życie jej wiejskie smakowało, dzieci ją zajmowały, krętanina około apteczki bawiła ją – i była szczęśliwą.

Konradowi już z młodu – choć go najlepiej lubili i ojciec, i matka, i Pukało, i wszyscy we dworze, choć był chłopak stateczny, ale jakoś nie na hreczkosieja i domatora z oczów patrza-ło. Gorączka był, ciekawy, i jak to mówiono dawniej, smakował mu świątek.

Ale ojciec, postrzegłszy to, jeszcze gorliwiej pracował nad nim niż nad innymi dziećmi i potrafił tyle, że z żywego srebra, jak powiadał, zrobił srebro żywe...

Po śmierci rodziców – gdy się Konrad został samiuteńki jeden w owym wielkim dworze robnińskim, z zegarem wybijającym pomaluteńku jednostajnie godziny, ze ścieżkami wydep-tanymi przez starych, których zabrakło, z pamiątkami młodości brata i siostry, co się stąd po-ynosili – bardzo mu się tęskno zrobiło.

Ani polowanie, ani sąsiedzi, ani gawęda z proboszczem, ani nawet ukochany Dalifur roze-rwać go nie mógł i rozweselić. Najlepiej to widział i najwięcej się tym gryzł Pukało, ale jego rady panicz nie chciał słuchać. Bywało, przyszedłszy wieczorem na kolację – bo obiad jadał wcześniej na folwarku lub jak tam gospodarstwo pozwoliło, a wieczerzę zawsze z paniczem –

Pukało po kieliszku gorzałki, jak się rozgadał, namawiał pana Konrada na ożenek i sam mu nawet bogdanki swatał. Ale panicz na to milczał.

– Już, dalifur – mawiał – takie życie, jak to panicz prowadzi, toby się i świętemu uprzykrzyło. Cóż to teraz ten dwór, jeśli nie grób. Gdzie stąpisz, to po nieboszczyku, a nie ma do kogo żywego słowa przemówić... Ale też sam Pan Bóg nakazał i przypomina, aby tu nowe życie wprowadziła niewiasta... a zaraz będzie inaczej.

– Daj mi ty stary pokój – odpowiadał Konrad – na to jeszcze czasu dosyć, a jakbym tu albo trzpiota wwiódł, co by mi do góry nogami stary dwór przewrócił, albo biedę, niepokój... pierwszy byś pewnie płakał i narzekał...

Ożenienie, ty to wiesz najlepiej, nie człowiek sam zarządza, ale Opatrzność. Jak się go zbyt zachce komu, niechże się ma na baczości, bo pewnie będzie potem pośpiechu żałował.

Ale to były słowa bardzo rozsądne, a nie ze wszystkim szczerze, wiedział Pukało, że pan Konrad nie dlatego się nie żenił, aby się obawiał, ale że mu żadna do serca nie przypadła, a po głowie jakies złotoskrzydłe latały bohdanki.

Pan Konrad lubiał po polsku i po włosku czytywać, a najczęściej czytywał poetów, i od młodych lat przyplątały się mu marzenia dziwaczne... więc powszedni chleb i ludzie powszedni nie smakowali. Tego się też stary lękał bardzo i rad by go był co prędzej ożenił, aby ostudził, bo wiedział, że gdy w świat pychnie, nie powróci do gniazda bez złotopiórej ptaszyny. Tych to piór złotych strachał się poczciwy Pukało, myśląc, jak one często niezłotą okrywają duszę...

W sąsiedztwie panien hożych było podostatkiem, ale wszystkie szyły w krosnach, robiły sery przedziwne, piekły baby doskonałe, a żadna jakoś nie kwalifikowała się na ową boginię.

Gdy pan Konrad poszedł na wyprawę, Pukało na intencją zdrowia jego, powodzenia i też by go tam, jak mówił, czupiradło gdzie jakie nie ułowiło, odmawiał regularnie koronkę do Przemienienia... Jakoż jednego szczęśliwego wieczora doczekał się panicza... ale ów żołnierz strojny powracał z szablą w bryce, bez munduru, a co gorzej bez gniadosza. Legł poczciwy wierzchowiec od kuli. Konradowi też druga podrapała nogę, ale nieszkodliwie.

Pukałę wyściskawszy w progu, panicz znowu wszedł z nim do dworu, do pustych komnat, w których tylko zapach zeschłej lawendy, powkładanej od molów przez Murzynowską, czuć się dawał i jakoś pustkę przypominał. Dziwnie smutno, grobowo wydała mu się ta siedziba, której każde krzesło, stół, sprzęt przypominały pogrzebanych: ojca, matkę, oddalonych: brata i siostrę. Staruszek zegar wystukiwał swe wiekuiste: memento... Nic się tu nie zmieniło, tylko śmierć powymiałała kąty.

Dalifur rozradowany powrotem, pytał, odpowiadał sam, śmiał się; dla niego teraz dwór ożył, gdy panicz powrócił.

Ale Konrad powrócił tak smutny, przybity, zrozpaczony prawie, milczący, że się aż Pukało wkrótce też wesołości przebrało. Co otworzył usta, to z nich ból leciał i lał się, albo czarne przecucia.

– Że niewesoło nam, dalifur – rzekł Pukało po kilku odezwaniach się swojego panicza – no, to prawda, ale na Boga miłego, póki człek żyw, truć się nie powinien tymi myślami, które mu życie i ochotę do niego odbierają... Niech no jegomość wypocznie, odje się trochę, rozpatrzy po gospodarstwie, a o jakiejś pracy pomyśli. Czymś się trzeba zająć... w słowach pociechy mało, ale w robocie lekarstwo jedyne. Gdybyś pan choćby wyżła służyć uczył, już by lepiej, niż tak siedzieć i stękać. Pan wiesz, jak to stary nasz jegomość mawiał, że na żelazie, co leży w kącie, rdza w końcu porosnąć musi, a stary nóż nieustannie w robocie, toteż się i świeci...

Rozśmiał się pan Konrad.

– Dajże mi robotę, mój stary nożu – rzekł z uśmiechem.

– Jak ja ją dam – odparł Pukało – to się ona dalifur, na nic nie zda. Dla człowieka praca tylko ta dobra i zdrowa, którą on sobie sam znajdzie i wyjmie ją spod serca.

Ale młody już i nie słuchał, chodził a wzdychał.

Przesiedział tak w tej pustce miesiąc, trochę zapolował, nieco czytał, wieczorami czasem o gospodarstwo popytał, niekiedy konno się przejeżdżał, to na ganku siedząc poświślał, żeby przechadzającemu się po dziedzińcu Pukale dać wyobrażenie o swej wesołości, ale mu był z twarzy widny taki ucisk serdeczny, że się staremu aż żal młodzieńca schnącego tak marnie robiło.

Już późną jesienią, coraz chmurniejac, rzadziej z domu wyglądając i wychodząc, pan Konrad zachorzał, a była to choroba, którą i nazwać trudno, i leczyć niepodobna. Nie bolało go nic, nie umiał powiedzieć, co mu było, a wychudł, zmizerniał, zbladł tak, że widocznie każdego dnia życia zeń ubywało. Ani ochoty do jadła, ani do snu chęci, ani do zabawy popędu, siedział w oknie, wzrok miał wlepiony gdzieś, bodaj w ścianę, a gdy się kto do niego odezwał, porywał się nagle przestraszony, jakby go ze snu przebudzono. Na twarzy skóra poprząsychała do kości, oczy mu błyszczały jakoś szklisto, a bez życia...

Pukale aż na płacz się zbierało, wspomniął coś o doktorze, ale się Konrad nań ofuknął dowodząc, że był zupełnie zdrow i całe się chorym nie czuł.

Trzeba było fortelu zażyć, namówili się więc z Murzynowską, która się, stękając, położyła w łóżko, a folwarczne konie posłano po doktora do miasteczka, niby dla niej. Obrachował się tak Pukało, aby doktor być musiał na obiedzie we dworze, panicza widział i umówił się z nim wprzód, o co chodziło. Nie było naówczas u nas prawie innych lekarzy nad Niemców, ten też rodem znanu zwał się Werner i mało co, ale bardzo źle mówił po polsku, a mniej jeszcze życia naszego rozumiał. Doktor to był dobry, ale tej szkoły, która w człowieku tylko widziała mięso i leczyła mięso. – Sprawy ducha były dlań całe niezrozumiałe...

Co duch zbroił w człowieku, zwałało się na nerwy, a na te były też lekarstwa, i gdy nerwy spętano, że się dusza nimi posłużyć nie mogła, zdawało się, że i ona musi być zdrową.

Werner pod pozorem obiadu zaszedł do dworu, umiał nawet nieznacznie dopytać się języka chorego i jego puls, ale znalazłszy go wycieńczonym, z gorączką, po długim badaniu, odjeżdżając, powiedział Pukale:

– To jest choroba... i to nie jest żaden choroba... jemu trzeba żonka... zabawa... wesołości... będzie jemu zdrowa...

– To także mi nowinę powiedział za mój czerwony złoty! – rzekł Pukało – niby to ja i tego nie wiem, że jak będzie wesół, to nie będzie smutny. Ale jak go tu do kaduka wyprowadzić z tej tęsknoty... jak mu tę żonkę sprokurować... dalifur... to sęk...

Mozolił się i kłopotał Pukało, naradzał z Murzynowską, która bardzo jakieś skuteczne ziółka uspakajające z dodatkiem szafranu zalecała... ale pan Konrad w żadne leki wdawać się nie chciał, sechł i trybu życia zmieniać nie myślał.

Rok też cały w okrutnym niepokoju strawił Pukało, posyłał do siostry, ale ta dla bliskiej słabości przybyć nie mogła; dawał wiedzieć bratu, który na krótko zjechał, przerwał trochę jednostajności Robnina; ale gdy za bramę wyruszył, znowu Konrad pogrążony w myślach, na ścianę począł patrzeć.

W końcu potrzeba było nareszcie uwierzyć, czego od początku domyślała się i dowodziła stara klucznica Murzynowska, że na pana Konrada jakiś fatalny urok rzucono. Chodziło tylko o to, gdzie wyszukać babę, która by, naturę tego czaru rozpoznawszy, umiała mu go skutecznie odjąć – i żeby pan Konrad nie opierał się doświadczeniu, jakie by na nim uczynić chciało... a poddał się odczarowaniu z pokorą.

– Że to są uroki – mówiła Murzynowska – na to bym gardło dała... młody człowiek, to nie jest żadna choroba... ludzka, tylko przewrotność, zemsta, nasłanie. Ale jak go to na babę namówić!!

Pukało nawet wniosku tego uczynić się nie podejmował, tymczasem Murzynowska po babym znachorki od wsi do wsi, dowiadując się, latała... ale czarownice jakoś już naówczas były rzadkie. Do drobnych posług można było znaleźć je jeszcze, nawet do zdjęcia uroku i zrzućnia go na psa... ale z pana szlachcica żadna się nie podejmowała odczynić nasłania.

– Już Pukało miał księdza namówić, aby pod pozorem jakiegoś błogosławieństwa, duchownych użył egzorcyzmów, a to opętanie zdjął z niego – gdy nagle niespodziana zupełnie zaszła zmiana.

Było to jakoś wczesną wiosną, właśnie owies siać miano i Pukało z nim pospieszał, bojąc się, ażeby rola do zbytku nie oschła – pamiętny na przysłowie: „Kto rzuca w błoto, ten zbiera złoto”... – gdy z największym podziwieniem swym, mając siadać na stępaka, odebrał ze dworu wezwanie, ażeby niezwłocznie do pana przychodził.

Przestraszył się starowina, bo od czasu jak tak zachorzał, nigdy go pan Konrad nie wzywał, a mało kiedy nawet wieczorem się z nim rozgadał.

– Cóż to tam takiego? – zapytał chłopca, który przybiegł po niego – czy nie przyjechał kto?

– Nie, nie ma nikogo, pan sam, proszę jegomości – odpowiedział tak zwany węgrzynek, w istocie Maciek ze wsi rodem – tylko od wczorajszego wieczora cośi panicz jakby zdrowszy. Trochę nawet se podśpiewuje, krząta się po pokojach, ubrał się jakoś i czuprynę do góry zaczesał...

– O! o! dalifur... a to chyba cud! – krzyknął stary. I zaraz, stępaka oddawszy stajennemu, pospieszył.

Zastał pana Konrada w ganku, i aż mu się, spojrzawszy nań, lice też rozpromieniło... Był ubrany, twarz miał nieco bladą, ale świeżą, w oczach powrócona młodość świeciła, jakby inny, odrodzony wyglądał człowiek...

– Pan Jezus przy dziecięciu – zawołał w duchu – a cóż to się święci? – I podszedł ostrożnie, a z cicha, jakby się obawiał spłoszyć tę odrobinę wesela, tego zwiastuna lepszej przyszłości.

– Czy pan mnie kazał wołać? – spytał udając obojętnego, choć mu serce biło.

– A! chciałem cię prosić, mój poczciwy stary przyjacielu – wdzięcznym głosem odpowiedział panicz – miałbym z tobą co do pomówienia.

– Aby dobrego! – zawołał Pukało – toć ja zawsze na usługi pańskie, choć w tej chwili chciałem przypilnować, jak tam oni owies siać będą, ale niech tam gumieny idzie. On nie ma konia, nasienia nie ukradnie przecię, a nim zabronują, to i ja doskoczę...

– Siadajże no na ławie – sam siadając, rzekł Konrad – nie napiłbyś się wódki... ranek chłodny...

– Ba! a z kim! sam wódki nie piję – odparł Dalifur.

– No, to ja do was przypiję...

– O! to z miłą chęcią...

– Wiesz co, po kieliszku staruszki – dodał, uśmiechając się, młody człowiek.

– Już zgoda, choćby na witról – rzekł uradowany Pukało.

Węgrzynek pobiegł na skinienie do apteczki i powrócił z flaszką, chlebem, solą... ba, i z piernikiem.

Patrzył Pukało, jak on też będzie pił, ale zobaczywszy, że szczerze wychylił kieliszek, aż mu się lżej na duszy zrobiło, od roku bowiem panicz nie powąchał żadnego napoju...

– To już chyba ktoś zdjął czary! – rzekł w duchu.

– No, mój Pukało, będziesz ty na mnie gderał może – odezwał się po chwili Konrad – ale już tak dłużej marnieć nie chcę... trzeba mi się trochę rozruszać... myślę w podróż się wybrać.

– A to Duch Święty natchnął – zawołał Dalifur, składając ręce – albowiem to ja temu oponować się śmiał. Jedź pan, jedź, ino nam wesół powracaj. Czy do siostry, czy do brata, czy

wreście choćby do Warszawy, do Krakowa... toć się pan rozerwie, a i wszystko dobrze będzie...

– Ale ba! – zaśmiał się Konrad – ty myślisz, że ja na taką małą wybieram się wędrówkę?

– No? a dokądże?

– Pomyślałem sobie... ot... zobaczę moją, a raczej moich dziadów ojczyznę, Wenecją, a stamtąd łatwo mi się będzie i do Grobu Pańskiego, do Jerozolimy dostać.

Pukało struchlał...

– To źle – rzekł w duchu – to źle, próżnom się zawczasu ucieszył... gorszem to jeszcze pachnie niż siedzenie w domu.

Nie śmiał się wyraźnie sprzeciwić Pukało pobożnej intencji, wiedział, że do Jerozolimy pielgrzymów jeździ siła, znał to, że się nie godziło od takiego aktu odciągać, słyszał, że księżę Radziwiłł był tam Sierotka i wielu panów świeckich i duchownych, a Wenecji też, do której jakiś instynkt ciągnął serdeczny, nie wypadało odradzać – ale gdzie znów młodemu i nie tak bardzo bogatemu chłopcu, myślał, na taką się puszczać imprezę?

Zrazu więc zamydlił ni tym, ni owym.

– A czemuż nie! czemuż nie – rzekł – tylko że to oboje, choćby i ta Wenecja, a cóż dopiero Jerozolima... daleko strasznie, a podróż kosztowna... i do licha, niebezpieczna... W Ziemi Świętej z pogany sprawa... z morzem... z okrętami... z fluktem niepewnym, z nawą kruchą... E! gdyby tylko intencja pielgrzymki, tobym wotował za Kalwarią naszą albo Częstochową.

– Zapominasz o Wenecji, mój miły – odparł Konrad – i o tym, że ja jechać chcę właśnie dla widzenia krajów, dla poznania świata... dla...

Pukało niedobrze i tę ciekawość, i tę żądzę zrozumiał, ale jak się było opierać... nużby znów w tę niebezpieczną popadł chorobę?

– Możeć to taka podróż i nie ruina – odparł – ale zawsze... bez jakich tysiąca czerwonzłoty ani myśleć się ruszyć... a może i drugi zaczepić wypadnie – dodał, kiwając głową. – Ono ci się to tam i znajdzie... dalifur... ale... prawdę rzekłszy... posypać to po drodze, trochę żal...

– Myślę, że się to i mniejszym kosztem obejdziesz – odparł pan Konrad. – Dwa razy do roku albo i więcej, jakem czytał, odpływają z Wenecji okręty do Ziemi Świętej, pielgrzymów tam jeździwa dużo i nie bardzo dostatnich... przecież się ważą na to... no, i cali powracają. Wystaw sobie, kochany Pakało – dodał z zapalem i uśmiechem – zobaczyć naszą dawną ojczyznę, Włochy, Wenecję, morze... Palestynę i gród uświęcony przez Zbawiciela...

– Daj tylko Boże cało i jak najrychlej powrócić – westchnął stary – czemuż nie! czemuż nie!... ale za pozwoleniem pana, nie obrazisz się, gdy zapytam, skąd to panu ta myśl przyszła...

– Nic naturalniejszego – odpowiedział Konrad – myślałem o naszej ojczystej Wenecji... czytałem o podróżach... i ot...

Stary głową pokiwał.

– Jeśli to ma posłużyć panu, orzeźwić, dodać do życia ochoty... potrzeba natchnienia słuchać... tylko dobrodziejmu mój – rzekł ciszej – jak tam z tymi Arabami czy Turkami? czy bezpieczni to ludzie? czy pogany te leda kogo nie zaczepiają?

– Tylko się im opłacać potrzeba – odparł uśmiechając się Konrad – w najgorszym razie, częściej obiorą, niż na życie się targną.

– No, to tak niby jak i z Niemcami – zawołał stary – jeszcze to pół biedy, byle na krew chrześcijańską chciwi nie byli i na nią nie czyhali... a znów do kata w niewolę nie uprowadzili, bo z niej się wykupować to i wioski mało... Wszak ci to dziad nieboszczyka pana podkomorzego był u Turka w Carogrodzie w niewoli, a familia go ledwie za wielkim staraniem ojców trynitarzy dostała, na wagę srebra zań opłaciwszy... Jeszcze oprócz tego co prezentów nadawali drogomanom, a co fundacji na tę intencję, a i pół klasztoru trynitarzom przez wdzięczność budowali, tak że się niemal na pół wieku zrujnowali...

– O to się nie lękaj, stary – wesoło zawołał Konrad – nie ja pierwszy jadę, nie ja jeden... siła tam co roku pątników, powracają przecie cali i zdrowi.

– No, niech i tak, dalifur, niech i tak – potakując począł Pukało – teraz co do grosiwa wypadnie konferować. Co do tego krótką zdam sprawę. Jest tysiąc czerwonzłotyich tych, co się zawsze nazywały jeszcze za życia nieboszczyka ojca pańskiego „zakłętymi”, tych ja bym nie ruszał. Złoto węgierskie i obrączkowe, dukat w dukat dobrane jak perły; żal, żeby je było puścić marnie... Około tysiąca zbierze się różnej monety około domu, a tysiąc pożyczyłem kupcowi do Poznania tak, abym je mógł na każde zawołanie odebrać. Płacą od nich prowizji pół procentu co miesiąc i dają kawę i cukier, człek tantny... napiszę tylko do niego, za dziesięć dni będą.

– A na Boga, po cóż mi tyle! – wykrzyknął Konrad.

– No, bez okrągłego tysiąca ja pana nie puszcę – odpowiedział stary – już jak tam sobie chcecie. Gdy się jedzie w kraj daleki, między ludzi, nie można się lada jako pokazać, zwłaszcza w tej Wenecji, bo to się tam, przybywszy z Polski, należy i postawić, aby nie myślała szlachta wenecka, że my tu samym razowym chlebem żyjemy. Koło domu to tam człowieka znają i nie sądzą go z miny, ale poza krajem mieszek nabity, to najlepsze *testimonium* i *litterae passus*. Nie przystoi, aby mego dobrodzieja wzięli tam za jakąś hetkę-pętelkę. No, nie pojedzie się też – dodał stary – bez czeladzi, bez pacholika, bez dworzanina, ano człek do koni jeden i drugi, i koni też...

– Stój! stój! mój Pukało! – śmiejąc się przerwał Konrad. – Co znowu! co ci się śni! ja myślę lub sam jeden, lub co najwięcej samowtór z węgrynką, i po wszystkim. Czy to ja taki wielki pan, a teraz już i nie te czasy; konie mi żadne potrzebne nie są, przyborów niewiele; te więcej ciężą, niż pomagają.

–A! no, to jak wy tam sami rozporządzicie – szepnął Pukało – przecież w taką drogę tak z kopyta ruszyć niepodobna, trzeba się przygotować. Obmyślemy wszystko, a ja do mojego Kasperowskiego dziś jeszcze o dukaty napiszę.

Poskrobał się stary po łysinie, bo mu się żal zrobiło onych zapaśnych tysiąca czerwonych złotych, ale pocieszył się w duchu, sobie mówiąc: – Pał ich diabli, aby panicz był zdrow, a nie nudził się, dałbym i dwa; to się odrobi... aby życie i siła...

Piorunem poszły przygotowania do podróży, bo raz myśl tę powziąwszy, gorączkował się Konrad, chodził, napędział, spieszył, aby co najprędzej wyruszyć. W tydzień istotnie Kasperowski złoto owe z Poznania przywiózł, a choć były między nim i obrzezańce, w ogóle jednak niezłą wagę trzymały. Pięćset najdorodniejszych, tłustych, tuczonych, jak mówił stary; karmionych, dodawał Kasperowski, opieczętowano osobno, na ostateczny jakiś wypadek, gdyby już bieda jaka przyszła. Trzos uszyto umyślnie zamszowy, mocny; Murzynowska bieliznę, suknie, niektóre kordiały, nieodzownie w drodze potrzebne, zbierać zaczęła. – Sam Pukało dobierał suknie, pasy i w czym by się przystojnie okazać można, koniec końcem, rupieci się aż do zbytku wiele nazwłóczyło, bo ludziom, co mało po świecie się kręcili, wszystko zdawało się bardzo potrzebne. Chcieli nawet koniecznie namówić panicza, aby wziął kołdrę, łosią skórę i poduszek choć ze dwie, ale temu się stanowczo oparł Konrad i kontentował jedną skórę.

Wszystkie te węzłki, puzderka, sepeciki, sakwy byłyby objuczyły wielbłąda, ale Murzynowska i Pukało zaklinali się, że bez tego stąpić za próg nie było można. Klucznica nie obrażała sobie nawet, aby bez domowej mięty pieprzowej i melisy puścić się w świat godziło. Trudnoż było nie mieć flaszki wódki w zapasie, trochę chociażby wędliny, kawałka sera z kminkiem i słodkiej jakiej bądź przekąski...

Pukało ledwie się zgodził na to, aby na jednym poprzestać węgryнку, myślał dać starszego i stateczniejszego sługę, ale chłopak się panu do nóg rzucił i wypłakał, że go wzięto... Tak mu się chciało Grób Pański oglądać!

Ten węgrynek, w istocie, jak mówiliśmy, prosty Maciek dlaczego się węgrynką mianował, nie było dobrze wiadomo, to pewna, że w Węgrzech się nie urodził i ani ich powąchał... Węgrem był domowego chowu, tyle tylko, że go ubierano z węgierska. Czupurny malec, wesół, roztropny, odważny, wygadany był, jak to dawniej mawiano... ciekawy bardzo. Sam się czytać prawie nauczył i do książek się rwał strasznie, był też do panicza swojego przywiązany bałwochwalsko. Wadę miał przecie jedną, lat siedmnaście, a z tej przyczyny niesłychanie czułe serce dla płci niewieściej, za którą szalał. Opłacało mu się to nieustannymi kłopotami, guzami nawet, i tysiącem nieprzyjemności, ale cierpiał wesoło i wcale się tym nie zrażał.

Zwrócił uwagę pańską na ten defekt węgrynka Pukało, ale pan Konrad się roześmiał i ramionami ruszył.

– Za granicą – rzekł – nie znając języka, trudno mu będzie wdać się w jakie miłosne konaszachty...

– Ale ba! – odparł Dalifur – to takie stworzenie zajadłe, że się gotów pannom na migi oświadczać, ale ja go zreflektuję na odjeźdny tym – dodał – że mu przyrzeknę pięćdziesiąt odlewanych, jeśli mi najmniejsze głupstwo zrobi. A że ojciec jego nieboszczyk przelał na mnie swą władzę, umierając, dotrzymam świącie.

Węgrynek wysłuchał wprawdzie tej obietnicy, wyszczerzając zęby, ale go ona nie ustraszyła... szczęśliwy był, że jedzie z panem, tak że gdyby mu Pukało *anticipative* wypłatę należności zaproponował, byłby ją przyjął, byle jechać.

Nadszedł nareszcie wielki dzień rozstania. Pakunek jeszcze się zwiększył troskliwością sług a roztrzepaniem węgrynka. Rano do kapliczki dworskiej przybył ze mszą świętą pleban staruszek dla pobenedykowania na drogę pobożną tego, któremu błogosławił już raz, gdy na świat przychodził.

Cały dwór przytomny był temu obrzędowi uroczystemu, a stary Pukało spłakał się biedaczysko, myśląc o niebezpieczeństwach, które czekały panicza, choć mu ksiądz pleban starał się wytłumaczyć, że elementa straszniejsze są od ludzi, bodaj pogan, nawałnice groźniejsze od Arabów i Turków, choroby zjadliwsze nad węże i padalce. Skutkiem trafnych tych perswazji proboszcza było, że głowę sobie nabił stary i morzem, i burzą, i ludźmi, i padalcami razem... a więcej się jeszcze trwożył niż wprzód.

– Żeby przynajmniej mnie z sobą wziął – mówił Pukało – ja bym mu jakoś rady dawał... tylko że któż by tu znowu beze mnie gospodarzył?

Przeżegnany, oplakany, ale z myślą rzeźwą, z ciekawością wielką widzenia dziadowskiej ojczyzny i krain dalekich, wyruszył Konrad ku nieznanym krajom, a we wrotach Robnina Pukało, Murzynowska, ksiądz pleban, czeladka, nawet psy podwórzowe długo stali, patrząc na tuman kurzu, który pędził drogą i nareście znikł im z oczów.

Zapomnieliśmy dziś, jak się to ongi podróżowało, mamy ułatwień tyle, że dawnych trudności dziś jakoś i pojąć nie umiemy... Ale kto się choćby teraz puszczał na mało uczęszczane drogi, w pustą Kalabrią, po wybrzeżach Elby i Korsyki, choćby w Arbuzze lub inną okolicę, której nie przerzynają gościńce, na których jeszcze nie czatują oberżyści, ten nocując pod gołym niebem, żyjąc spleśniałym chlebem i zgęstniałym winem, powziął wyobrażenie, czym były wędrowniki za dawniejszych czasów, gdy niezbrojnemu i w niewielkim towarzystwie puścić się nawet nie było podobna, a ciekawość lub nieopatrzność często się zdrowiem i życiem opłacało.

Nie było już tak bardzo źle po wielkich traktach w końcu XVIII wieku i tam, gdzie poczty same lub pod eskortą siły zbrojnej chadzały, ale na uboczach podróży samotny musiał się dobrze oglądać, wzbudzał bowiem apetyt, nawet w ludziach zwykle na cudze kieszenie i życie niełakomych.

Za to podróż była nierównie więcej zajmująca niż teraz, gdy innego przypadku nad pęknięcie kotła lub wyrócenia wagonów i skręcenia karku prozaicznie spodziewać się nie można... Spotkania, znajomości, awantury niezmiernie urozmaicały wędrówkę; wszystkie niemal romanse stare na gościńcach się poczynają, ciągną i rzadko gdzie indziej kończą jak w gospodzie.

Dla zadowolonego człowieka, który świat nieco był sobie przywykł wyobrażać na wzór swojego kraju, nowe strony nieco się musiały wydawać dziko. Węgrzynek, ledwie za granicę wyruszywszy, i śmiał się, i dziwił, i narzekał, i aż prawie od rozumu odchodził. Najwięcej go to niecierpliwiło, że powszechnie ludzie szwargotali niezrozumiałymi językami, z których nic dojść nie było można... i że mowa polska nie była tak powszechnie znana, jak sobie wyobrażał.

Pan Konrad o to przynajmniej kłopotu nie miał, mówiąc niezłe po francusku, *expedite* po łacinie i po włosku, a nawet odrobinę po niemiecku. Ostatnim z tych języków gdy był zmuszony dłużej mówić, splotał potem, jakby sobie czym niedobrym usta pobrzydził.

Po Europie naowczas jeszcze z francuszczyzną a z łaciną łatwo było można wędrować.

Na Szląsku byli jak w domu, przejeżdżając Czechy, węgrzynek utrzymywał, że i tam jeszcze po polsku mówiono, ale jakimś spieszczonym językiem. Dalej wpadli w niemiectwo, a dojechawszy do Wiednia, chłopak już tylko na migi rozmawiał.

Nim stąd do Triestu potrafili się dostać przez ogromne góry, nadziwił się ich urodzie i wielkości, nastrachał przepaści, które mu się po nizinach i równinach przeraźliwie ogromne wydawały... a dopieroż, gdy zobaczyli morze, otworzył gębę i stanął jak wryty.

Ta woda bez końca i pływające po niej łupiny od orzechów, myśl, że się w kruchej łodzi przyjdzie puścić na te bezdenne obszary przepaści – odjęła odwagę chłopakowi i zmusiła go prawie żałować, że spokojny kąt, w Robninie za piecem, tak lekkomyślnie i porywczo opuścił.

Pan Konrad był wesół, w najlepszym świecie humorze, radował się wszystkim, znosił niewygody heroiczne, a zajmowała go najmniejsza rzecz do tego stopnia, że się aż zapominał. Węgrzynek często go za rękaw pociągnąć musiał, aby godzinę spóźnioną przywieść na pamięć.

Już w Wiedniu pan Konrad bardzo się począł niewiastom przypatrywać, wyglądającym nieco żywiej i fantazyjniej od tych, które dotąd spotykał, ale niemieckie owe pulchne a białe piękności, choć na młodego chłopaka oczyma niebieskimi rzucały, jeszcze mu były za flegmatyczne, zanadto do ziemi zdawały się przyrosłe.

W Trieście jeszcze Włoch tak prawie jak nie było, włościanki z okolic, gdyby nie osiołki, na których na targ przyjeżdżały, przypomniałyby mu domorośle wieśniaczki, nawet nieco językiem... ale tu już przecie na okręt przyszło siadać i do Wenecji płynąć. Biło serce coraz żywiej Konradowi do starej dziadowskiej ojczyzny...

Nie było pogotowiu innego statku, nad jedną barkę kupiecką kapitana Weneta, powracającą od Wschodu, która do Wenecji odpływała, na tę się tedy wybrali podróżni nasi, gdy przyszło życie zdradliwemu powierzyć żywiołowi, znacznie spoważniawszy oba.

Statek ów, który się zwał „Padre Antonio”, spory był i pokaźny, ładowny kupią, którą wiozł ze Wschodu. Burza go była zmusiła szukać chwilowo przytułku w porcie, z czego korzystając zabierał nieco podróżnych z sobą. Ale już na pokładzie ledwie było cokolwiek miejsca wolnego zostało, towary, ludzie, skrzynie, powrozy, różna gawiedź w liczbie wielkiej go zalegała.

Zgodziwszy się z owym kapitanem, Wenecjaninem, który mimo polityki usługę swą wyświadczoną podróżnym na cekiny dobrze obliczyć potrafił, Konrad, na łódkę zabrawszy pakunek i węgrzynek, puścił się, polecając się Matce Miłosierdzia, do statku.

Jeździł ci to i on, i węgrzynek jego nieraz po jeziorze w Robninie, ba, i po Gople – ale tam się nigdy woda tak nie ruszała jak tutaj. Rzekłbyś, że ją kto w kotle warzył. Zdawało się, że co

chwila łódka się ochynie i zanurzy, słone wody pluskały w twarz, a trzymać się potrzeba było dobrze za burt, aby nie wylecieć.

Statek szczęściem niezbyt odlegle stał od brzegu, i ta krótka pierwsza przeprawa poszła szczęśliwie. Wdrapał się chłopak na okręt po drabinie jak kot. Pan Konrad też dosyć zręcznie, rzeczy powciągano bez szwanku, a na szerszym pokładzie i serca przybyło... Zdawało się tu jakoś bezpieczniej.

Gdy rzeczy w kątku złożono, siadł węgrynek na tłumoczkę i począł się rozglądać po okręcie, a było się tu czemu przypatrzeć, i Konrad też ciekawie oczyma strzelał, bo dla nich wszystko to było nowym.

Okręt płynął aż z Carogrodu, a po drodze do różnych portów przybijał, nabrał też i wędrowców siła wszelkiego rodzaju, począwszy od tych, co do czystszej miejsca mieli prawo, aż do biedaków pościskanych na dnie i na tyle okrętu.

Twarzy ogorzałych, zawojów zbrukanych, strojów dziwnych było pod dostatkiem.

Kapitan, niestary jeszcze człowiek, ale obeznany z morzem i bywalec, wesołego usposobienia, czuwał pilno nad swym statkiem, a gdy mu się wypocząć godziło, brał za gitarę i podśpiewywał albo z podróżnymi baraszkował. Mężczyzna wzrostu tegiego, barczysty, ogorzały od słońca i morskich wyziewów, wyglądał po trosze na korsarza, choć nie zabawiał się tym rzemiosłem i uczciwie towarem handlował. Z Doganą czasem miał małe zatargi, ale to była domowa sprawa...

Oprócz niego obfite było towarzystwo i urozmaicone: dwóch brudnych Turków, którzy, podesałwszy sobie kilimki, siedzieli z nogami pod się podkurczonymi i palili fajki, nieustannie im nakładane przez małego Murzynka, bardzo zwinnego chłopaka; dwie Turczynki, zawinięte w muślin i okryte rodzajem namiotu, aby ich ludzkie nie dopatrzyło oko; kilku czarnych, ogorzałych Greków z nożami za pasem i – co niezmiernie dziwiło węgrynika – w białych spódnicach; kilku Włochów; dwóch na ostatek bogatych Żydów, którzy na uboczu, obstawiwszy się swoimi pakami, siedzieli osobno.

Był i braciszek kapucyn, chudy niezmiernie, bosi, w habicie łatanym, łysy zupełnie, który sobie w kątku się modlił.

Gdy kapitan obliczył się, że mu już nikogo nie brakło, dano znać do odjazdu. Wiatr był pomyślny i obiecywał statkowi podróż niedługą, łatwą, ponad brzegami ciągle, tak że prawie lądu z oczów tracić nie mieli. Pogoda też po gwałtownej burzy ustaliła się prześliczna, powietrze było wonne, świeże, chciało się je pić i łykać piersią pełną... Widok na sinozielone fale zachwycał. Zakołysał się wkrótce okręt po wyrwaniu kotwic, rozpięto szeroko żagle; powiał w nie wiaterek lekki i „Padre Antonio” unoszony falami pędził już z dobrą myślą ku królowej Adriatyku...

Już się byli nieco odsunęli od brzegów i triesteński amfiteatr wzgórzów piękną ich oczom malował się panoramą, gdy spod desek okrętu, rzekłbyś z głębin morza, ze śpiewką na ustach, z hałasem i szumem wyskoczyła jakaś postać, wyrwała się raczej, stając się jak zjawisko jakie przed oczyma zdziwionych podróżnych.

Wszystkich też wejrzenia na nią się obróciły; Turcy podnieśli zwieszane głowy, Grecy zaczęli muskać wąsy, Żydzi powykręcali twarze, węgrynek wstał aż na nogi, a pan Konrad osłupiał. Kapitan okrętu jakby na przyjęcie ochoczo plasnął w szerokie dłonie.

Jakże opisać to zjawisko wodne, powietrzne, bo niezmiernie wyglądające? – Było to dziewczę lat najwięcej piętnastu, średniego wzrostu, zręczne jak sarneczka, kształtów pełnych, ubrane dziwnie, ale tak cudownie piękne, że osłupienie Konrada całkiem usprawiedliwiało.

Wszyscy zresztą patrzali na to trzpiotowate dziewczę z jednakowym zachwytem. Kto widział wizerunek Beatryks Cenci w jednej z galerii rzymskich, ten łatwo sobie wyobrazi te drobniutkie regularne rysy niezmiernego wdzięku, którymi się uśmiechała mała czarownica.

Usteczka jej rumiane podobne były do rozkrojonej wisienki czy do dwóch świeżych róży listków, a oczy miała duże, czarne, śmiałe, zabijające ognistymi strzałami, pleć białą jak śnieg, włosy... no włosy – niestety! – były rude. Nie była to jednak ta barwa przykro czerwona, krzykliwa, ale coś na kształt brązu i złota, jak u Wenery Tycjana; drogi ten kolor, Weneccjankom ulubiony, którego sobie nadawać umiały sztuką, jeśli poskapiła im tej ozdoby natura.

Na dziewczęciu wszakże znać było, że sobie główki nie wypiekała na słońcu i nie wymęczyła warkoczy, które były obfite aż do zbytku, ogromne i długie, tak że zdawały się ciężyc małej główce, którą opasywały kilkakroć węzłem wielkim, misternie uplecionym, spadając na pulchny karczek biały.

Dziewczę ubrane było nie wiedzieć jaką modą, ale bogato i strojnie; na nóżkach pantofelki żółte, złotem szyte, i jedwabne szerokie ubranie tureckie, na to rzucona sukienka z musłinu, potem płaszcz cięższy aksamitny, galonami bramowany. Oprócz tego miała na sobie kaftanik rozpięty, szyty bogato, i pas z fręzlą złocistą, spływający do kolan, i czapeczkę na główce, a na rękach pierścieni, obręczów, a na szyi łańcuszków weneckich, jak pajęczyn... mnóstwo.

Znać było, że się czuła piękną i lubiła stroić, że wiedziała, iż wszędzie podziwienie obudzi, bo się jakoś zaraz zwycięsko obejrzała dokoła i z uśmiechem zwróciwszy się do kapitana, spytała go włoszczyzną wenecką, wskazując na Konrada, co by był za jeden.

– È un signore Polacco...

Zdaje się, że wiadomość o pochodzeniu podróżnego zaciekała dziewczę, które śmiało podeszło bliżej do Konrada, wzięwszy się jedną ręką w bok, i poczęło mu się przypatrywać, uśmiechając.

Mówiliśmy już, że Konrad był bardzo przystojnym młodym mężczyzną, rycerskiej postawy, a choć się na podróż nie stroił, nie wypadło mu też lada jako wyglądać, więc ubrany był dosyć bogato i smakownie. Miał na sobie suknię z węgierską adamaszkową z pętlcami złotymi, a na niej płaszcz bramowany bogato, który go dobrze osłaniał, czapkę z czaplím piórem, szablę piękną u pasa i turecki szal zamiast zwykłego przepasania.

Twarz jego smutna, poważna, zamyślona, oczy ognia pełne, usta wyrazem łagodności pociągające – tworzyły zeń piękny wzór dla malarza; Dolabella byłby go mógł pochwycić na jeden z tych szkiców, których tyle na papier wyrzucał...

Dziewczę zdawało się to uznawać, bo mu się też długo i z uwagą przypatrywało, a Konrad topniał, można powiedzieć, od jej wzroku. – Gdyby chwila dłużej, byłby go może nie wytrzymał, bo mu krew falami do piersi biła i głowy, a rumieniec krwawy oblewał całego. Nie wiedząc, co z sobą robić, bo mu i ręce zawadzać zaczęły, i nogi drzeć, i suknie dolegać, sięgnął ręką do wąsa i pokręcił go machinalnie.

Dziewczę widać samo zrozumiało, że sobie tego nieboraka jakby pod pręgierzem postawiło, i roześmiawszy się, pierzchło ku kapitanowi, który z boku poglądał wesoło na to stworzenie kapryśne, ale nie okiem kochanka... raczej troskliwego ojca i opiekuna.

Sarneczka poczęła potem przebiegać pokład, przeskakując liny, paki, wymijając siedzących, przypatrując się nieznajomym twarzom, uśmiechając się do jednych, krzywiąc na inne, jak pieśczone dziecko, któremu wszystko wolno.

Przybiegła do namiociku Turczynek, odchyliła oponę, włożyła główkę, coś poszeptala, roześmiała się głośno i znowu poczęła skakać po pokładzie.

Węgrzynek, który aż był wstał, wodząc oczyma za tym zjawiskiem, pociągnął z lekka za płaszcz swojego pana i zapytał go:

– Co to to jest, proszę jegomości? Czy to kobieta? czy... tak sobie?

Konrad się roześmiał, nie dziwiąc się pytaniu, bo istotnie dziwowisko to było przesłiczne, cudowne, a niełatwo określić się dające – tak sobie.

– To dziecko! – rzekł do węgrzynka.

– Dziecko! a jakiegoż to narodu? – cicho zapytał chłopak, oczów oderwać od niej nie mogąc.

– Narodu? ano Włoszka i Wenecjanka pewnie być musi – odparł Konrad.

– O! ot! półdiablę weneckie też! – rzekł w duchu Maciek – ale chyba cały diabeł!

Dziewczę, obiegłszy statek, powróciło na środek, zbliżyło się do kapitana, jakby szukając u niego opieki, ale twarzą zwróciło ku Polakowi i zapatrzyło na niego dłużej i poważniej.

– Cazita – szepnął Włoch do niej – nie patrzże się tak na tego młodzieńca, bo gotów oszaleć...

– O! kiedyż bo mi się bardzo ... bardzo podobał – śmiało odpowiedziała dziewczyna – jestem nawet pewna tego, że i ja mu się też musiałam podobać bardzo... bardzo...

– Cóż dziwnego? – z lekka klepiąc ją po ramieniu, rzekł kapitan – a komuż byś się ty nie podobała? miły ty mój szatanku! Ciebie i twoje oczy potrzeba by chować jak bazyliuszka, żeby ludzi nie zabijały.

– Mój ty miły – odparła dziewczyna – czyż ja zabijać mogę? ja, co w życiu jeszcze nikogo nienawidzić się nie nauczyłam, bo mnie wykołysała miłość... a tak mi dobrze było zawsze, że dałabym szczęście całemu światu, aby wszystkim ze mną śpiewał...

Kapitan, wciąż na nią patrząc, uśmiechał się czule, nareście powoli usta zbliżył do białego jej czoła i pocałował ją... prędko łzę ocierając, która się na męskim oku znalazła.

– Taką była pocziwa, śliczna, dobra, kochana matka twoja... i tak nam z nią na świecie dobrze było, ale Pan Bóg mi jej pozazdrościł i wziął ją do swoich niebios...

– Wszak my się tam kiedyś wszyscy razem znajdziemy – szepnęła Cazita – nieprawdaż? Matka Boska, przed którą lampę palę co sobota, wstawi się za nami, złęgo nie robimy tak bardzo wiele... a Pan Bóg dobry i łaskaw... my pobożni i prawi chrześcijanie... nieprawdaż? Ja ufam, że Matka Boska z otwartymi rękami wyjdzie przeciwko nam...

Kapitanowi znowu się łzy kręciły po powiekach, pocałował córkę.

– Nie mówmy o tym – rzekł cicho – nie mówmy... patrzaj no lepiej... jak piękne to morze nasze.

– E! morze! znam ja je dobrze – odpowiedziało dziewczę – wskażem się to ja z szumem jego oswoiła jeszcze w kolebce... przez cały ten czas, cośmy w Trieście były z ciotką, chodziłyśmy ciągle na brzeg albo na wschody katedry i pasłyśmy się tym widokiem, za którym tęskno nam było, wyglądając „Padre Antonio”. Ale tu morze jakoś wydawało się nam inne niż w Wenecji, tameśmy je wzięli w niewolę, a tu ono szumi swobodnie i śpiewa, i ryczy, i śmieje się, i gniewa... o! miły Boże! gdyby żywy człowiek... Ojciec – dodała ciszej, zwracając ku niemu twarzyczkę – pozwól ty mi popatrzeć na tego Polaka... nie widziałam jeszcze Polaka nigdy, nigdy, a ten jest bardzo ładny! Gdyby zagadać do niego, jakim by on mówił językiem?

Kapitan się uśmiechnął.

– Gdybyś ty doń przemówiła, dziewczyno – rzekł – zrozumiałby po włosku i po włosku odpowiedział... tobie cudów dokazywać nietrudno.

Cazita rozśmiała się, patrząc mu w oczy.

– Umie po włosku? – zapytała cicho.

Kapitan nie chciał znać odpowiedzi ani przecząco, ani potakując, milczał.

– Chodź ty ze mną – odezwała się – będę śmielsza; ty za mnie przemówisz do niego, chcę tylko posłyszeć dźwięk jego głosu... jestem ciekawą, bardzo a bardzo ciekawą... a taką mam naturę, że człowieka nie znam póty, póki mi głos jego nie zaszemrze w uchu i nie odbije się w sercu... głos więcej mówi niż słowo...

– Ale na cóż ci go bliżej poznawać – przerwał jej ojciec ze smutkiem – jutro ci z oczów zniknie ta twarz smutna i zapomnisz o niej. Tak w życiu naszym przesuwają się ludzie, jak te fale szumiące, musną, zaszumią i okręt je minie, a fala o brzeg się rozbije gdzieś daleko.

– Nie chcesz? – spytała tęsknie.

– Chodź – rzekł kapitan – chodź, tobie nic odmówić niepodobna... I prowadził ją za sobą ku Konrowi, który ujrawszy ich zbliżających się ku sobie, poczerwieniał znowu i mocno się zakłopotał.

Gdy stanęli przed nim, sama grzeczność wymagała ukłonu, zdjął więc kołpaczek z czaplim piórem i pozdrowił dziewczę milczące, które się weń wpatrywało jak w tęczę.

– To córka moja – począł kapitan trochę połamaną włoszczyzną, w której wenecki dialekt i mieszaninę różnych języków czuć było. – Znalazłem ją wypadkiem trochę w Trieście i odwożę do Wenecji. Dziecko, jak widzicie, jeszcze trzpiotowate, a już ciekawe podwójną ciekawością dziecka i kobiety... Otóż się wam przypatruje, bo Turków już widziała dużo, Greków dosyć, nawet Francuzów i Tedesków, ale z waszego narodu goście u nas rzadcy.

Pan Konrad zdawał się zbierać trochę na odpowiedź i z podziwem wielkim Cazity rzekł wreszcie czystą tokańską włoszczyzną, ślicznie brzmiącą w jego młodych ustach.

– Jestem Polakiem i zarazem Włochem – rzekł z wolna – a szczyć się tym, że należę do szlachty weneckiej i polskiej zarówno... widzicie więc we mnie, signorino, istotną osobliwość, bo Polaka-Włocha... a ja w was – dodał – większe daleko cudo, bom takiej piękności jakom żyw i nie oglądał, i nie marzył...

Cazita słuchała cała drżąca, zarumieniona, z biciem serca... ale już słów na odpowiedź nie znalazła, stała się nagle trwożliwą, prawie smutną, głos, który tak słyszeć pragnęła, niezmiernie głębokie, prawie bolesne uczynił na niej wrażenie...

Spojrzała z jakimś strachem na Konrada i nieśmiało wyrzekła po chwili:

– Jedziecie do Wenecji... a! zobaczycie tam daleko, daleko piękniejsze nade mnie... i żywe signory na gondolach i nieśmiertelne na obrazach naszych mistrzów... od tych pewnie oczów nie oderwiecie...

– Choćbym najcudniejsze widział – odparł grzecznie Polak – pierwszej Weneckianki widzianej w życiu do śmierci nie zapomnę.

Cazita bardzo była zaczerwieniona i skłopotana, bawiła się fręzlą swojego płaszczyka, spod długich rzes kilka razy rzuciła nań oczyma czarnymi, uśmiechnęła się, dziękując, ale ojciec ją odciągnął i sama czuła się dziwnie zmieszaną... pożegnała go więc lekkim ukłonem... Ale żegnając, zdręczyni jeszcze raz wpoila w niego wejrzenie, a co mu nim powiedziała nieopatrna, o tym prócz Konrada nikt, nawet kapitan nie wiedział.

Zrozumiał tę mowę biedny młody człowiek, bo się nią upił od razu, potarł ręką po czole, jakby chciał oprzytomnieć; a gdy znowu tęskne oczy podniósł ku niej, kapitan i jego córka – znikli.

Szmer tylko jej sukni posłyszał za sobą i dźwięczny, cichy uśmieszek dziewczęcia.

Wtem węgrynek za płaszcz go pociągnął.

– A! panie! panie! – zawołał – jesczem też, jako żyw, podobnej kobiety nie widział... Żeby człowiek umiał, to by ją sobie namalował, aby się na nią nieustannie patrzeć...

Konrad uśmiechnął się tylko.

Statek, gnany wiatrem pomyślnym, wydawszy szare żagle, ślizgał się po falach morza, jakby igrając z nimi; słońce złociło zielone wód bałwany, obwieszając je strzępkami złotymi... w oddaleniu to płaskie, to najeżone górami, jakby z chmur tkanymi śniły się wybrzeża, malując barwami powietrznymi... widok był zachwycający.

Na statku panowała cisza, ledwie przerywana rzucanymi niekiedy rozkazami kapitana i wykrzykami majtków.

Cazita znikła była, wsunęła się do namiotu kobiet tureckich i bawiła się tymi spowitymi w białe obsłony mumiami, usiłując z ust ich zakwefionych dobyć jakie słówko. Znudzone Turczynki równie ciekawe a rade jej, uśmiechały się, przypatrując dziecku, które brały za jakąś almę... Dwaj Turcy zza dymu fajek poglądali ku namiotowi, spod którego opony maleńkie

nóżki Cazity w pantofelkach żółtych migwały się dziwną pokusą. Oba cmokali ustami i głowami kiwali ku sobie znacząco. Z namiotu szalone śmiechy słyszeć tylko było.

W tej chwili spod pokładu, od wschodków wiodących do izby kapitana, ukazała się niepokojna głowa kobiety, która w innym rodzaju, ale nie mniejsze mogła uczynić wrażenie nad pierwsze zjawisko.

Głowa ta, której oczy zdawały się czegoś szukać po pokładzie, należała widocznie do podżyłej niewiasty, która może niegdyś była piękną, ale teraz stała się po prostu okropną.

Podobnych spotyka się wiele i w Wenecji, i po całych Włoszech, gdzie kobieta dojrzewa prędko, starzeje wcześniej i brzydnie niesłychanie. Zdaje się, że za karę może, te, które słyneły niegdyś z piękności, stają się potem najpoczwarniejsze.

Ciotka Cazity, jakkolwiek blisko spokrewniona z tą znakomitą pięknnością, nic a nic do niej nie była podobną. Na szerokich ramionach i karku grubym, pofałdowaną okrytym skórą, osadzone było to oblicze olbrzymich rozmiarów, kolorytu niepewnego, ciemnego, a rysów do zbytku wyrazistych.

Czarne niegdyś, krucze włosy pani Anunziaty, których część uciekła, a reszta wysiwała, ułożone były dość niedbale, nie pokryte niczym, ledwie z tyłu szpilką przetknięte. Wichrzyły się one w nieładzie wcale niemalowniczym. Duży nos, usta grube, cała dolna część twarzy porosła jak u dwudziestoletniego młodzieńca puchem czy mchami, okryta skórą zmarszczoną i dziwacznie pokrajaną, składały fizjognomią wybitną, niemiałą, chociaż wyraz jej dobrocią i łagodnością uderzał, tym dziwniejszą, im mniej spodziewaną na takim obliczu.

W Wenecji i Trieście, gdzie pani Anunziata miała krewnych, utrzymywało się dotąd podanie o wielkiej i wspaniałej jej piękności, ale historie opowiadane o tym sięgały lat już dwudziestu kilku. Ślady tych wdzięków pozostały chyba w oczach czarnych, wspaniale oprawnych, ale których wyraz wiele przygasał. W tej chwili właśnie oczy te niespokojnie biegały, szukając czegoś czy kogoś; na ostatek usta zniecierpliwione poruszyły się i tubalny głos odezwał:

– Cazita! Cazita! Cazita!

Za każdym powtórzeniem rosnał on, potężniał i stawał niecierpliwszy.

Spod opon namiotu, jak ptaszę furkające z gniazda, wyleciało dziewczę, śmiejąc się, przeskoczyło gruby zwój lin okrętowych, i nie zatrzymało aż na brzeżku, nad samą głową signory Anunziaty, którą zjawieniem się swym widocznie rozpromieniło.

– Patrzę na pokład, po kątach, wszędzie – po skrzynkach, po dziurach, a nie mogę tego trzpiota znaleźć – zawołała Ciotka, grożąc palcem po nosie. – E! ty, bałamucie jakiś niegodziwy, aż mi się serce ze strachu ścisnęło... nie wiedziałam, gdzie cię szukać...

– Ależ ciotko Anunziato – śmiejąc się odparło dziewczę – jeszcze w Trieście, gdym wpadła do ogrodu signory Marii, mogliście się trwożyć o mnie; ale tu... cóż mi się tu stać może na tym ciasnym statku, gdzie oko ojca czuwa nade mną?

– Co ci się stać może! – powtórzyła Anunziata – albo ja wiem, czego się ja boję; dosyć, że byleś mi z oczów znikła, lękam się o ciebie, nawet tu... nawet tu. Ot tak!

Rozczuliła się stara i uczuła potrzebę otrzeć rozczulenie fartuchem.

– Patrzaj no – dodała zwracając rozmowę – już dobrze z południa, może by się co zjeść dało... he? powietrze morskie zaostrza apetyt, zapytaj no ojca, i on może nie od tego.

– E! e! mnie się wcale jeść nie chce – szepnęło dziewczę, i chcąc być bliżej ucha ciotki, przypadło na pokładzie, a nachyliwszy się nad starą, mówić poczęło.

– Ciotko Anunziato, czyście wy kiedy widzieli Polaka?

– Polaka? nie, zdaje mi się, że nigdy – odpowiedziała ciotka. Był jeden w Wenecji niedawno, mówią, że bardzo bogaty, co zamiast pieniędzy woził z sobą cegły złote, ale mi go nie pokazali...²

– Otóż ja wam innego pokażę – szczebiotała Cazita – jest tu jeden, i taki piękny, ciotko Anunziato, taki piękny, że się na niego nie mogę napatrzeć...

Ciotka z oburzenia nad tym bezwstydem aż splunęła, uderzając dziewczę po rękach.

– Wstydz bo się ty, jakaś... Już ty mi szukać będziesz oczyma i wybierać pięknych mężczyzn! patrzajcie no ją! dam ja ci! ho! ho!

– Ciotko Anunziato – śmiejąc się, wcale nieustraszona groźby tymi, mówiła Cazita – ciotko Anunziato, otwórz dobrze oczy... patrz, tam, za mną... na pokładzie w lewo... dalej, dalej, stoi mężczyzna w czapce z piórkiem. Powiedzże mi, jak kochasz Madonnę, czy nie piękny?

Ciotka przechyliła się nieco, podniosła się nawet o jeden wschód wyżej, grube swe ręce sparła na pokładzie, przymrużyła powieki, dojrzała nareszcie czaple pióro i aż westchnęła biedna.

– Przystojna bestia... ale to pewnie heretyk – dodała, chcąc Cazitę odstręczyć. – Ci obcy ludzie, zwłaszcza od północy, w piątek mięso jedzą i do Matki Boskiej nigdy się nie modlą.

– Ale ten, to co innego, ciotko Anunziato – podchwyciła Cazita – to jest Polak i Wenecjanin razem, jego przodkowie wyszli od nas... tak! tak, sam mi o tym mówił najpiękniejszą włoszczyzną w świecie.

Ciotka aż ręce załamała.

– Patrzcie ją! niegodna, bezwstydną... toś już z nim gadała!

– Ciotko – śmiała się Cazita – chodziłam z ojcem... ojciec był przy rozmowie...

– Stary dudek – szeptała ciotka, ale dziewczę nie zdawało się słuchać i dodało szybko: – Wypytywałam ojca o Polaków, są dobrzy katolicy jak my, nawet mówił mi ojciec, że u nich królową całego kraju jest Matka Boska.

Anunziata pokiwała głową niedowierzająco.

– Może to i być zresztą – rzekła – wiesz przecie, że Signoria i lud Chrystusa Pana dawno ogłosili królem Florencji... ale nie wiem, czy oni są katolicy!

– O! niezawodnie! niezawodnie – spiesznie dorzuciło dziewczę – ale jakże się on wam wydaje? powiedzcie?

– At, niczego! niczego sobie – kiwając głową, rzekła Anunziata – ale widziało się piękniejszych; nieboszczyk doża mojego czasu, kiedy go obnosili koło Prokuracji po placu Św. Marka... o, to żebyś była widziała, jak wyglądał! No! a tak potem zestarzał... ot, jak i ja! – Westchnęła Anunziata. – Co ta piękność w człowieku znaczy? niewarta cekina... dziś jest, jutro po niej ani śladu...

– Słuchaj, ciotko Anunziato – zaczęła szczebiotać mała, zarzucając jej ręce na ramiona – piękność coś znaczy, mówi... Pan Bóg ją dał nie darmo... z rąk bożych wychodzimy wszyscy pięknymi... a świat nas męczy, męczy, aż się oczy wypłaczą i usta wykrzywią...

– Skąd ty to bierzesz, co mówisz? – odparła ciotka. – Czemu mnie to do głowy nie przyjdzie? Utrapione dziecko, mózg tak sobie tymi myślami wysusza. Oto chodź, nie patrz, nie myśl... a dam ci ryby, bułki, sera... zjesz i będzie ci z tym zdrowiej!

Miała posłuchać Cazita rozkazu, gdy ciotka zawołała, podnosząc głowę.

– Capitane Zeno!

Kapitan wydawał rozkazy, ale odwrócił głowę do dobrze znanego mu głosu.

– Cóż tam każe signora Anunziata?

– Każę, każę iść jeść, głód na morzu niedobry, a i wina szklanka ci nie zawadzi...

– A cóż ci podroźni jeść będą? – zapytała Cazita.

² Książę Radziwiłł.

– Muszą tam mieć z sobą coś w sakwach, a co nam z tego? – żywo odparła ciotka – przecież nie godzili się o jedzenie. Jeśli im głód dogryzie, niech poproszą i zapłacą... to są ludzie, których pieniądze już przeznaczone na to, aby się rozsypały po drodze, lepiej, żebyśmy my je wzięli niż kto inny. Ecco!

– A ja wiem – szepnęła cicho, ale żywo Cazita – że ojciec mi pozwoli zanieść polskoweneckiemu szlachcicowi *fiascone* wina, a choćby sera i chleba...

– Nie pozwolę, nie – rzekł, śmiejąc się, kapitan – ale mu je sam zaniosę.

– A czemuż nie ja? – spytała córka.

– Dlatego, dziecko ty moje – zawołał Zeno – że z serem mógłby i ciebie zjeść...

Rozśmieli się, ale wtem Cazita, bardzo zręcznie wyminawszy ciotkę, wśliznęła się na wschodki, spadła po nich jak kot w głąb statku i w chwilę potem wydrapała się nazad po nich z flaszką oplataną, serem i chlebem. Jednym susem stanęła przed Konradem, skłoniła mu się, uśmiechnęła, wskazała na ojca, tłumacząc pochodzenie daru... i zarumieniona, słowa nie rzekłszy, uciekła; wpadła nazad na wschodki, znikła... Kapitan Zeno uśmiechał się, ciotka gderała...

Tymczasem na pokładzie ta postawiona flaszka, ten chleb i ser, niewykwinny dziecięcego serca podarek... pozostał przed Konradem, który go tknąć nie śmiał, tak był niezmiernie wzruszony dowodem współczucia i dobrego serca dziewczęcia. Lica mu gorzały, serce biło, przecież nie spotkało to nikogo innego, tylko jego... jego jednego zatem... Zatem szły złotem tkane marzenia. Cazita była tak cudnie piękną, on tak młody!

Węgrzynek patrzył na to zdziwiony, ale trochę i dumny, że się na jego panu poznać umiano.

– Słuchaj no, chłopcze – rzekł do niego Konrad – rozwiąż no mi ty zaraz ten sepecik, co jest w miechu skórzanym, a żywo...

Chłopak ukląkł i zabierał się do roboty, nie wiedząc, o co chodziło, ale domyślając się, że pan po polsku miał zawdzięczyć ową flaszkę wina i chleba kawałek.

Tak było w istocie. Panu Konradowi przyszło na pamięć, że na wyjezdnym poczciwy Pukało, który niczego nie zaniedbał, co by w podróży przydać się mogło (czytając różne opisy wędrówek dla informacji – jak powiadał), wynalazł tam, że wszędzie małymi datkami wiele zrobić było można. Za pozwoleniem więc pryncypała nakupił różnych *ad hoc* fraszek, to jest *ad captandam benevolentiam* wschodnich narodów służyć mogących... między innymi dosyć wyrobów bursztynowych. Te bursztyny przypomniał sobie pan Konrad. Nie chciał on zbyt kosztownym darem obrazić kapitana i jego córki, a chciał polskim sercem poczciwym, czymś im przecie odwdziżyć. Na wierzchu w sepeciku leżał właśnie piękny różaniec bursztynowy z Męką Pańską zgrabnie wyrobioną. Zdało się Konradowi, że go przeznaczenie jakieś umyślnie położyło na oku, i dobył różańca, ściskając w dłoni, czekając tylko pory dogodnej, aby z niego ofiarę zrobić ślicznemu dziewczęciu.

Do Wenecji daleko było jeszcze, wiatr ku wieczorowi zwolniał, statek posuwał się leniwo, miał więc pan Konrad dosyć czasu, a gdyby nawet zawstydzona Cazita pokazać się już nie chciała, postanowił go dla niej oddać ojcu. Tak, ze spokojniejszym już sumieniem wziął się do wina, chleba i sera.

Węgrzynek byłby się chętnie o swoją też część tej biesiady upomniął, bo go dosyć wewnątrz zwiąjało, ale Konrad postanowił nie zostawić ani prószynki i z oczów mu było widać, że gotów był bić się o nie, gdyby mu je kto chciał odebrać.

Węgrzynek więc dobył swojego chleba kupionego w Trieście i pożywał go, odświeżając prozaiczną cybulą, która mu dość smakowała. Wzdychał jednak za ojczystą słoninką, przypiekana, kto wie czy i nie za gorącą misą krupniku – ale te były daleko...

Nieszczęściem nawet cudowny widok zachodzącego słońca, które coraz jaskrawiej złociło fale i malowało niebo najczystszyimi farbami swojej palety, nie nasycił chłopaka, który mu się przypatrywać nie umiał.

Wieczór na Adriatyku był istotnie czarowny, niebo w świątecznych swych szatach, morze w atlasach drogimi kamieniami sadzonych, powietrze przepojone wonią orzeźwiająca. Niekiedy wiatr od lądu przynosił jakby sny czeremch rozkwitłych i bzów rozpachniałych. Statek się ślizgał, niezbyt daleko trzymając od brzegów, uroczyste na nim panowało milczenie. Turcy odprawiali swe modlitwy, wielu znużonych podróżnych odpoczywało na pakach, kapitan patrzył opodal w stronę Wenecji, ojczystego swojego miasta, które kochał bardzo, którego był zawsze wiernym dziecięciem, za którym tęsknił w podróży i pilno mu je ujrzeć było. Przy najpomysłniejszym jednak wietrze dopiero nazajutrz, o dniu białym, mieli ujrzeć z morza dobywające się *campanille* i płowe wybrzeże Lido, na którym wśród ogródka i winnicy stał dom stary kapitana Zeno.

Cazita, połajana przez Anunziatę, usiadła w kątku, zasłoniła oczy paluszkami, i udając smutek wielki, śmiała się szczerze... jak dziecko.

Poczciwa ciotka ze swą rozczochną głową stała nad nią, wzięwszy się w boki, i dopełniała sumiennie, gderząc, obowiązków opiekunki.

– Madonna del Salute! Madonna delle Grazie! Otóż jak to dziś ta młodzież jest płochą – wołała. – Tak! tak! to ci się niczym zdaje, nieznajomemu, obcemu człowiekowi okazać niby zimną grzeczność tylko. Tak! tak! nic w tym nie widzisz zdrożnego? prawda! Cazita! Cazita! Ależ to tak, a nie inaczej gubią się wszystkie dziewczęta; jedno spojrzenie, jeden ukłon, uśmiech jeden, a szatan potrafi z tego korzystać. Zawiązał pętelkę i pociągnie cię nią do piekła! Tak! tak! *signorina mia*, tak! nic się to zdaje, mała rzecz na pozór, ale wielka być ona może w nieobrachowanych następstwach. Czytałaś historią pięknej Marii Cervi, którą sprzedają na Riva dei Schiavoni, cóż ją zgubiło nieszczęśliwą? upuszczona rękawiczka... Diabeł tę rękawiczkę pochwycił. Możesz być pewną, iż on na duszę twą nie czatuje w postaci tego pięknego młodzieńca, który – przyznaję – że jest wcale przystojny. Przypomina mi nawet nieco mojego poczciwego Apostolo... choć o wiele ma mniej wdzięku... i dużo od niego niższy wzrostem. No! widzisz, przyznaję, że piękny, bo uważam, że ruszasz ramionami – cóż z tego? Diabeł się przebiera za anioła, gdy chce duszę ludzką na zagubę wyprowadzić.

Cazita, nie mogąc już wytrzymać dłużej, parsknęła śmiechem. Ciotka rzuciła się prawie rozgniewana, mówiąc: prawie, gdyż tusza i dobre serce nigdy się jej bardzo gniewać nie dopuszczały.

– Tak to wy, wszystkie młode dziewczęta, starszych słuchacie... jednym uchem wleci, a drugim wyleci.

Cazita rzuciła się jej na szyję.

– Droga moja, nie bójże się o mnie – zawołała. – Szatan do mnie nie przystąpi... noszę krzyżyk na piersiach, pacierz mówię regularnie co rana, żegnam się przy obudzeniu zaraz...

– Wszystko to bardzo dobre – odpowiedziała nieco uściskiem udobruchana ciotka, całując ją w czoło – ale szatan mądrzejszy od ciebie.

– A Pan Bóg, ciociu, mocniejszy od szatana.

– Tak! ty masz zawsze na wszystko gotową odpowiedź! – odparła ciotka.

Na tym skończyła się rozmowa; dziewczęciu się już bardzo na pokład wyjść chciało, zaczęło się skarżyć na duszność i gorąco. Ciotka groziła na nosie, ale pieszczoszcze oprzeć się było trudno, a gdy zażądała czego, straszliwie była uparta.

Pomalutku Cazita przysunęła się ku wschodkom, skrycie wzięła za poręcz, cicho wstąpiła na próg ich i skromnie, niby tylko dla odetchnięcia świeższym powietrzem, poczęła posuwać się ku górze.

Ciotka dobrze już wiedziała, na czym się to skończy; ale nie miała serca się sprzeciwić. Udawała, że nie uważa...

Gdy pan Konrad z utęsknieniem poglądał w stronę, od której mógł się spodziewać ukazania się dziewczęcia, główka jej wychyliła się, pokazała, rozśmiała i znikła. I znowu wypłynęła ostrożnie raz, drugi, a z kobiecą przewrotnością zwróciła ku ojcu, jakby ją tylko ku niemu tak ciągnęła tęsknica.

Ojciec się jej też uśmiechał, tak dawno nie widział dziecka, a tak mu ono było drogim! I skinał. Na dole krzyknęła ciotka Anunziata, ale już było za późno, ptaszyna jednym skokiem na pokład furknęła.

Chciał zaraz korzystać z tego Konrad, ale bał się onieśmielić ją zbyt pośpiechem, zaczekał. Dopiero gdy ojciec z córką, gwarząc, rozchodzili się po pokładzie, z wolna z ukłonem przystąpił do kapitana i jego córki i powoli odezwał się kłaniając:

– Signor capitano! śliczna córka wasza biednego wędrowca z dalekich stron gościnnie przyjęła na pokładzie statku, ma więc i on prawo prosić, aby tę bardzo ubogą pamiątkę przyjęła od niego.

To mówiąc, rozwinął śliczny złocisty różaniec z bursztynów wielkich jak laskowe orzechy i oddał go zarumienionej Cazicie, która z obawą, radością i niepokojem jakimś na skinienie ojca go przyjęła.

Kapitan rękę Polakowi uściskał.

– Dziękuję wam ze szczodrość waszą – rzekł – lękam się tylko, by datek nie był za wspaniały.

– Proszę sobie nie wyobrażać, aby w naszym kraju rzeczy te kosztownymi były – odparł Konrad – wstyd mi małej jego wartości... Ale to owoc naszej ziemi, morze go u nas wyrzuca, jak wiecie, i morze go robi w swym łonie ze skamieniałej drzew żywicy.

Cazita przypatrywała się, uśmiechając, różańcowi i bawiła nim... niezmiernie jej było pilno pochwalić się przed ciotką, ale nim uciekła, odezwała się, wlepiając oczy w Konrada:

– Bądźcie pewni, że póki życia, tej pamiątki z waszego morza, waszej ziemi i waszej dobroci nikomu nie oddam, nigdy nie rzucę. Za was na nim modlić się będę.

Tych słów kilka wymówiła, okrywając się całą rumieńcem szkarłatnym, uśmiechnęła się, spojrzała raz jeszcze i po wschodkach jak uragan spadła do izdebki, wysoko nad głową niosąc zdobycz swoją, którą podrzucała i igrała po dziecinnemu.

Ciotka, która drzymała na poduszkach, zerwała się, przestraszona.

– Co się stało! – zawołała.

– Patrz! patrz! co mi za tę *fiascone* wina ofiarował piękny ów, polski młodzieniec... co za cudny sznur bursztynów... jaki śliczny krzyżyk przy nim!

Anunziata, która już była poczęła podziwiać bursztyny, zobaczywszy krzyżyk, puściła je z rąk i siadła widocznie zachmurzona.

– Cóż to! czy się wam nie podobało?

– Te dzieci to nic nie wiedzą! – zawołała Anunziata. – Powiem ci, to jest zły dar! zły dar!

– Jak to? cóż w tym może być złego? – przerwała Cazita smutnie prawie – ofiarował mi go przy ojcu, ojciec przyjął dozwolił, wszelkie formalności zachowane. Cóż złego?

– Czyż nie wiesz – dodała ciotka – że rzeczy świętych kawaler kobiecie dawać nie powinien, bo one są złą przepowiednią!

– Złą przepowiednią! – bledniejąc powtórzyło dziewczę. – Ani ja, ani on o tym nie wiedział pewnie. – I stanęła zamyślona. – E! ciotko Anunziato – rzekła po chwili – źle to ludzie wymyślili te nedorzecznosci; czyż może być co złego w tym, co święte i pobożne? Jużć szatan nie mógł zamknąć się w bursztynie, tak jak w nim czasem komary i muchy bywają zalane...

Ciotka potrzęsła głową.

– Kto to tam zbada biedną ludzką głową, dlaczego jedno zło oznacza, a drugie dobro wróży, czemu pogodny zachód dla żeglarza czasem burzę zwiastuje, a chmurny ranek dzień pogodny?

– Otóż ja się mojego różańca nie boję! – zawołała Cazita i całując krzyżyk, szepnęła: – Odtąd na innym się modlić nie będę...

I zarzuciwszy go sobie na szyję, dobyła zwierciadełka.

– Jest mi z nim bardzo ładnie! – rzekła – patrz, Anunziato!

– A w czymże tobie niepięknie, póki masz te lata! – mówiła stara – skomponuj co takiego, aby mnie w tym było pięknie, to dopiero sztuki dokażesz...

Cazita parsknęła śmiechem... i na tym się skończyło.

Szybko po zachodzie słońca noc zaczęła zapadać ciemna, gwiazdzista, a coraz chłodniejsza... zwinięto trochę żagli, podwojono ostrożności, odsunął się statek nieco od brzegów, zapalono w izdebce lampę przed Madonną, niektórzy z podróżnych powoli zaczęli się zabierać do snu.

Cazita rzuciła się na swe poduszki, wieczorną zmianę stroju poczynając od włosów i klejnotów, którymi była obwieszona.

Powoli pokład, dosyć ożywiony we dnie, stawał się coraz cichszym; snuli się po nim tylko majtkowie, przechadzał kapitan, doglądając, czuwał sternik u rudla; reszta nie lubując się w pięknej nocy, którą księżyc miał za chwilę rozjaśnić i uczynić przezroczyście-srebrną, kładła się spać, gdzie kto stał. Turcy na swych skórzanych poduszkach i kilimkach już drzemali, inni też podobniejsi byli, pozawijani w płaszcze, do martwego pakunku niżeli do żywych ludzi. Żegluga tak się zdawała bezpieczną, noc tak się zwiastowała pogodną, kapitan tak dobrze znał te wybrzeża, które dziecięciem na łódce, szamocząc się z bałwanami, opływał!...

Długo Konrad marzył, oparty plecami o swoje tłumoki. Bóg wie już tylko o czym... o morzu zielonym, o dziewczęciu białym, o Ziemi Świętej, o podróży długiej, o domu porzuconym, o kraju smutnym, o szczęściu niedostępnym, aż mu się oczy powoli zmrugać już chciały. Koło niego węgrzynek, w burkę uwity, przewracał się też z boku na bok, stękał i nie mógł przybrać się do snu, choć zwykle miewał sen łatwy i do zbytku się w nim nawet lubował.

Już było dobrze w noc, a Konrad, znowu rozbudzony, przyglądał się wschodowi księżyca, który z oparów morskich wstał czerwony, jakby z łaźni wychodził – gdy nagle węgrzynek się pochwycił z posłania, otrząsnął, przeżegnał i coś mrużyć począł.

– Cóż ci to? czyś niezdrów? – spytał pan.

– Juścić zdrów, proszę panicza – rzekł chłopak – ale co zasnąć, to ani weź.

– Przecież cię gdyby w kolebce kołyszą.

– I jać to sobie mówię, ale nie... ino oczy przymrużę, to mi się dwie twarze poczynają przekomarzać... jedna to jejmość siwowłosa, dużo brzydsza od Murzynowskiej, a drugie to półdiabłą weneckie ze swoją ślicznością, i człek zasnąć nie może.

– Któż? co? – spytał Konrad.

– A te dwie, co wylażą z dziury! – dodał Maciek – te dwie... człek jeszcze w życiu nic podobnego nie widział!

Paniczowi nie było lepiej, więc się rozśmiał.

– Ta druga, co to ja ją, z pozwoleniem pańskim, Półdiabłem nazywam – mówił węgrzynek – piękna jak sto diabłów, ale i straszna!

– Czymże straszna?

– Albo ja to wiem! – odrzekł Maciek. – Jakże to wytłumaczyć, czemu ocet kwaśno w gębie smakuje? Tak i to! Straszna ta i straszna, że strach... Człek by się na nią patrzył a patrzył; oczów oderwać nie sposób... a po duszy ciarki chodzą... Proszę panicza, u nas kobieta choćby najpiękniejsza, to będzie jakoś inna, będzie zawsze z przeproszeniem trusiątko, bojaźliwa, oczki spuszcza... zdaje się drży, kuli się, stracha i człowiekowi z nią raźniej, a ta! oho! Proszę

tylko panicza, jak ona się patrzy, to człowiek czuje, że go do szpiku przenika; a gdyby tak pod tym wzrokiem pottrzymała dłużej, to, dalipan, by zdechł.

– Otóżeś się rozgadał – rzekł Konrad, uśmiechając się – praw, praw, co ci na myśl przyjdzie; weselej mi, gdy tak gwarzysz. Cóż dalej, mój Maćku?

– A dalej, proszę łaski panicza – odparł Maciek zmieszany – dalej to już ja nic nie wiem, tylko mi jej strach... Myślę sobie, żeby szatan chciał człowieka spokusić na zło, to już by chyba inaczej się nie sprezentował.

Panicz rozśmiał się i westchnął; chłopak słowy innymi, wyrazistszymi malował wiernie te wrażenia, jakich na sobie Konrad doznawał. I on był bezsenny, wzruszony, a myślał bez ustanku o tych oczkach czarnych i słyszał śmieszek jej srebrny, i kręciła mu się po pokładzie cała błyszcząca, iskrząca, jak kiedy ją widział we dnie.

– Maćku mój – odezwał się Konrad wręczcie – przeżegnaj się, to cię mary odleca, a śpij do brze, bo jutro już dopłyniemy do miasta, z którego dalej przyjdzie żeglować do Ziemi Świętej... a będzie przy wyborze roboty siła i na wodzie niestatecznej kłopotu niemało, bo nie każdy dzień i nie każda noc tak spokojne i pogodne wypadną jak dzisiejsze.

Maciek posłuchał, przeżegnał się i legł, ale panicz nie zasnął. Próżno się przewracał z boku na bok, dobierał miejsca na kobiercu – oczy się już kleić nie chciały. Trzymała je też otwartymi i ciekawość; pierwszy raz był na morzu, a ta noc powitania trafiła mu się zachwycająca.

Cicho podniósł się księżyc, coraz stygnąc jakby i bledniejąc, bo z drugiej strony za łańcuchem gór, w prawo, powoli już się brzaski pierwsze dnia wiosennego marzyły i widniało coraz i morze daleki, zrazu zamglone, rozjaśniało się, a po nim, jak stado milczących łabędzi, niezliczone łodzie rybackie ze swymi żaglami białymi, szarymi, w pasy czerwone, snuły się jak wpół uśpione. Statek je wymijał co chwila, ludzie się pozdrawiali lekkim okrzykiem tylko i płynęli dalej.

Dzień coraz już szybciej nadchodził, szerzej rozstaczały się odbłaski jeszcze niewidomego słońca, i z łoża purpur i złota w jednej chwili wystrzelił brzeżek tarczy, rósł, a po falach przebiegło jak drżenie, jak muzyka promieni grająca świetnymi dla oka barwami, hymn blasków dziennych. Na horyzoncie księżyc, zawstydzony, jak biała został plamka, ale wszystek świat za to zajaśniał, rozwidniał; góry poczęły się rysować ostrzej. wody zieleniej wyglądały, piana była srebrzystsza, po szafirze niebios białe migało, zwijając się, ptastwo morskie... I łodzie, których przody zdobyły wizerunki świętych, przestały widma udawać, przyznały się do drewnianych osmolonych boków i konopnych sznurów, i wilgotnych sieci, którymi były poobwieszane.

Wszyscy jeszcze spali twardym snem poranka, Konrad, zachwycony, modlił się w duszy, błogo mu było... on jeden schwytał oczyma tę tajemniczą chwilę uroczystą stworzenia, mówiącą wyraźnie o Bogu do serca człowieczego, zdało mu się, że podsłuchał szept ziemi, kończącej się i modlącej przed tronem Ojca...

Kapitan nawet, obrócony ku sterowi swojego statku, drzemał, ale niebezpieczeństwa nie było, płynęli drogą znaną, wiaterek raźniej popędzał coraz, okręt zdawał się czuć i wiedzieć, dokąd płynie, ciągnęło go ku domowi, ku Wenecji.

Ledwie ukazało się słońce, wilgotna noc chłodna pierzchnęła gdzieś nagle ze swymi mroki i powietrzem zimnym; ciepło poczęło rozchodzić się coraz szybciej, tak że w godzinę zrobiło się gorąco. Śpiący rozbudzili się, poczuwszy, że ich inna atmosfera otacza. Turcy, obmywszy się, już modlili; dalej Żydzi rozpoczęli także głosić chwałę bożą; ostatni chrześcijanie, przeciągnawszy się, żegnali i mruczelili krótkie modlitewki, ziewając.

Od wschodków ujrzał Konrad nagle rozkwitłą, rozspaną, różową twarzyczkę Cacity.

Nie spodziewała się może, by ją kto tak nie przystrojoną zobaczył, ale śpioszek ze zwiniętymi włosy, które się porozplątywały i spadały w nieładzie na ramiona, jak sploty rośliny spływające z wazonu, śpioszek był inaczej, a zawsze cudnie piękny, piękniejszy jeszcze może,

niż gdy się przystroił. Na twarzy rumieniec snu wykwitał, oczy mniej były rozchukane jak we dnie, usta jeszcze ziewały, trochę białych, perłowych pokazując ząbków...

Wyjrzała bojaźliwie... ale zdumiona, gdy spostrzegła utkwiony w sobie wzrok Polaka, zawstydzona się bardzo, rączka machinalnie poprawiła włosy i schowała się. Jednak nie całkiem, chciała nie być widzianą, a patrzeć, jedno oko tylko na pół nad deski pokładu się wysliznęło.

– Czyżby nie spał? – myślała – czy się tak rano przebudził? czegoś się zadumał, a patrzy, o! ku mnie, ciekawy! dam mu buon giorno! E! nikt nie patrzy, ciotka śpi jeszcze, ojciec drzymie obrócony plecami, o Turków nie dbam, co mi tam obcy!

I wysunęła główkę śmiało, uśmiechnięta, i cicho, aby nikogo nie budzić, posłała mu *buon giorno signore!* które on więcej odgadł, niż posłyszał. Zdjął kołpaczek, skłonił głowę, a obejmując się wkoło, od ust posłał jej pocałunek!...

Sam nie wiedział doprawdy, jak się to zuchwalstwo stało, zawstydził się, ona mu pogroziła, ale niestraszno, popatrzała chwilę i znikła.

Oczy Konrada padły przerażone na starego chudego kapucyna, który na uboczu stał z różańcem w ręku i pogroził mu palcem, i pokiwał głową.

Konrad zawstydził się mocno.

Dopiero, gdy ochłonawszy od tego spojrzenia groźnego, rozmyślać począł nad popełnioną nieprzyzwoitością. Konrad przekonał się, że był bezwstydnym zuchwalcem... Ukłon mógł być dozwolony, naturalnie, ale ten ruch ręki do ust! o! to już było za wiele! to był prawie kryminał! Kapucyn miał słuszość, gdy groził, to mówiło wyraźnie we wszystkich świata językach – pocałowałbym cię, gdybym mógł. A jakież miał prawo panicz podróżny do tak poufałego zbliżenia?...

Było to złym, było szkaradnym, ale pan Konrad, tłumacząc się przed sobą, przypisał ten szal wpływowi bezsennej nocy i południowego klimatu. W kraju nigdy by był tego nie śmiał uczynić; Włochy znać mają swe prawa...

Zrodziła się też kwestia ważna, czy ona była za to gniewna, czy nie? czy widziała potępienie i groźbę chudego kapucyna? Była obawa zarazem i były znaki niektóre pocieszające, uspokajające... Stało po rozwadze i rachunku, że musiała być trochę obrażoną, ale niezbyt śmiertelnie.

Wypadało też rozmówić się z kapucynem, który właśnie ranną kończył modlitwę, i prosić go o rozgrzeszenie. Konrad zbliżył się do niego nieśmiało i w rękę go pocałował obyczajem naszym; księżyna uśmiechnął się łagodnie.

– Złapaliście mnie, ojcze, na mimowolnie popełnionej nieprzyzwoitości – odezwał się Konrad – alem złej myśli nie miał... Stało się to, sam nie wiem jak...

– Dziecko moje – odparł powoli kapucyn – dzieje się to tak zawsze mimo wiedzy, kiedy człowiek nie czuwa nad sobą. Zbrodnia niewielka, ale po co ci karmić myśli puste i w niej, i w sobie? Obcy jesteście, za godzin kilka rozdzieli was los znowu na wieki.

– To prawda – rzekł Konrad – ale nie godziź się Boga chwalić w dziełach Jego?

– Tak! tak! sofistykuj jegomość! Chwalcie Boga inaczej, to będzie bezpieczniej. – I począł się śmiać stary, klepiąc po ramieniu Konrada.

– Jużem w waszmości poznał Polaka – rzekł – a znałem dużo ziomków waszych i w Rzymie, i w Padwie, i na Szląsku, gdzie trochę gościł, wszyscyście poczciwi, ale tacy letcy... i płomieniści, że żal bierze, patrząc na was... jak upolować łatwo tę biedną zwierzynę.

– Ej! ej! – dodał wzdychając – ino się też pilnujcie, gdzie oczów czarnych dużo, a nie wszystkie tak niewinnie patrzą, jak córka naszego kapitana, która jest dzieckiem jeszcze...

– Nie bójcie się, ojcze – rzekł Konrad – choć Wenecja jest mi na pół ojczyzną, bo z włoskiej rodziny pochodzę, nie myślę tu bawić długo, tyle tylko, by się u grobu Św. Marka pomodlić i okręt dobrać, co by mnie zawiózł do Ziemi Świętej, do Grobu Zbawiciela...

Kapucyn popatrzał, śmiejąc się i potrząsając głową.

– Ty, moje dziecko, do Ziemi Świętej? A cóż to, ślub?
– Nie, pobożność i ciekawość razem.
– E! e! – dodał stary – wątpię ja, żebyście tam dojechali, uwięźnicie w Wenecji, zrazicie się trudnościami i niebezpieczeństwami... Ot! może i jakie oczy czarne nie puszczą.

Konrad się uśmiechał, ale te przepowiednie trochę go dotknęły.

– Czyżby ta podróż tak w istocie miała być ciężka? – zapytał.

– Jam ją odbywał dwa razy w życiu – cicho odparł kapucyn – raz świeckim jeszcze pokutnikiem, drugi już w sukni zakonnej... ale wierzaj mi – dodał – pomódl się tutaj, a nie zapędzaj zbyt daleko, jeśliś ślubu nie uczynił... mało kto cały powraca!

Konrad się zadumał. Staruszek znowu poklepał go po ramieniu, uśmiechnął się i rzekł:

– Dłużej o tym rozpowiedzieć mogę, przyjdźcie do mnie do Frari i spytajcie u furty o starego padre Serafino.

To mówiąc, dobył różańca i na nowo chodząc po pokładzie, zaczął szeptać ranne modlitwy. Konrad stał w miejscu zamyślony.

W tych dumach tak się zatopił, iż nie postrzegł, jak słońce dopominało się o zrzucenie opończy. Węgrzynek też już na pół upieczony, oczy przecierał i pacierz odmawiał ziewając. Wszystko na nowo żyć i ruszać się poczynało na pokładzie: Turcy pili kawę, którą im zgotował Murzyn, i palili tytuń; inni przekąsywali i popijali, co kto miał.

Konrad także zajrzał do swej flaszki i napiwszy się z niej, postrzegł jasno jak na dłoni, że Cazita bardzo się gniewać nie mogła, że się może nawet nie gniewała wcale, tylko dla przyzwoitości wypadało jej okazać pewne niezadowolenie.

Pod pokładem budziła się i ciotka Anunziata, a Cazitę zastała zadumaną głęboko, już czuwającą, ale jeszcze nie biorącą się do stroju. Cazita myślała także, co miało znaczyć to pocałowanie wysłane przez powietrze – czy się nim obrazić wypadało, czy uważać je za oznakę niewinności – więcej niż chwilowego uwielbienia...

– Nie mógł przecie mieć zły myśli młodzieniec, który mi wczoraj tak ładny różaniec darował?... to widoczne... gniewać się nie ma o co, ale trzeba też trochę być zimniejszą, bo to jakiś gorączka, choć z chłodnego kraju pochodzi! O! tak! muszę być bardzo ostrożną i baczną, chociaż zrażać go znowu nie ma potrzeby, nie! Tak by mi było przykro, gdybym go zraziła! ale ja to potrafię...

Po główce jej krzyżowały się myśli różne, tak poplątane potem, tak dziwne, że ich zesnuć w pasmo jedno nie umiała.

Ciotka zęgnęła się i modliła, poziewała, zaczynała gderać powoli. Cazita czesała długie włosy i wybierała nowe sukienki.

Cały ich paczek leżał przed nią.

Na pokładzie, poczawszy od kapitana, wszyscy twarzami obróceniu ku przodowi okrętu stali, oczyma sięgając w dal. Z kilku ust po cichu zerwało się: – *Ecco!*

Daleko, daleko, widać było piaszczystą ławę... to Lido, a nad nią, jak wysokie pnie drzew wyrastające proste, smukłe campanille. Kapitan rozeznawał już nawet San Giorgio, dzwonnice Św. Marka i ledwie dla drugich widoczny biały wierzchołek kopuły La Salute. Ale co chwila rozjaśniał się ten obraz, rosły dzwonnice, ponad ławą piasku poczęły wystawać mury.

– *Venezia! ecco Venezia la bella!* – zawołał głośno kapitan i odkrywszy głowę, witał ją ze łzą w oku; drudzy witali uśmiechami. Statek wszystkie rozpuścił żagle, spieszył zdyszany, pilno było i majtkom, i sternikowi, podróżnym.

Nigdy powolniej nie dościgamy celu, jak gdyśmy go już najbliżej. Naówczas zdaje się, że on ucieka, szydząc z niecierpliwości naszej, przed nami.

Na ostatek i Cazita wybiegła na pokład z dzieńdobrym dla ojca, choć już nie pierwszym na ustach. Tego dnia zapragnęła być zupełnie inną jak wczoraj – dlaczego? to tajemnica kobiety. Ubrała się całkiem czarno, nie włożyła klejnotów, nie powieszała łańcuszków, tylko burszty-

nowy jeden złościł się na sukni różaniec. I włosy zwinęła prościej, a była w istocie tym strojem do niepoznania zmienioną i znowu dziwnie piękną, a znowu całkiem inną – czarownica!

Wczorajszy trzpiotek nabrał powagi i spokoju, choć spoza ułożonych poważnie ustek młodość zaczajona uśmiechała się figlarnie. Przytuliła się do ojca.

Widać już było Lido. Kapitan z dala rozeznawał swój dom stary, murowaną kamieniczkę u brzegu morza, oplecioną winną latoroślą. Żałował, że wprost przybić tu nie mógł, trzeba było opłynąć wokoło i stanąć naprzeciw Dogany nieubłaganej.

Na statku, jak zwykle przed wysiądzeniem, ruch się zwiększył, pakowali się wszyscy: Turcy swoje towary, żony, kilimki i poduszki, kupcy ormiańscy i greccy tłumoki, Żydzi węzełki, majtkowie porozrzucane rzeczy.

Węgrzynek i pan Konrad stali i patrzyli, jedni nic nie robiąc, nie tyle im było spieszno, co innym, a daleko dziwniej. Chłopak już był tej, którą nazywał Półdiabłem Weneckim, zapomniał, bo miasto owe, wyrastające wprost z morza, zdające się pływać po nim, całe go pochwyliło. Kiwał głową, załamywał ręce, ruszał ramionami i co chwila się żegnał.

– A! święty Antoni! – wołał – to już chyba diabeł budował, nie ludzie; jakże my tu żyć będziemy mogli, kiedy ja pływać nie umiem.

Konradowi, gdy statek stanął, gdy już na ląd się potrzeba było wybierać, zrobiło się dziwnie smutno i pomyślał sobie:

– Już więcej może tej cudnej nie zobaczę towarzyszki... a póki życia jej nie zapomnę! Otóż to los człowieka... mignie mu słońko i zachodzi chmurą, i znowu ciemno, a ciemno na wieki...

Ani się domyślał, że Cazita szeptała ojcu na ucho, aby koniecznie podróżnego Polaka na rybę do siebie zaprosił. Nigdzie tak ryb nie przyrządzano morskich, jak u cioci Anunziaty, a potrzebaż się było pochwalić przedziwnym ich smakiem przed tym wędrowcem z daleka. To było koniecznością! obowiązkiem, a za różaniec wypłatą długu...

Ojciec był trochę zazdrosny, trochę się lękał, ale trafiła na dobry humor, powracał do kraju z korzystnej i szczęśliwej podróży, jakże było pieszczonemu odmówić dziecięciu?

– Co on tam sobie o nas pomyśli? – rzekł do córki – gotów posadzić, że my go łapać chcemy... żeś ty płocha zalotnica, a ja podstępny awanturnik...

– A! ojczel! ojczel! jemu widać z oczów, że podejrzliwym nie jest!

– A ty czytasz w oczach jego?

– Jak w otwartej drukowanej księdze. Napisano w nich, że pocziwym jest, a pocziwi o niepocziwość drugich nie posądzają.

– *E vero!* – rzekł z uśmiechem Zeno, całując ją w głowę – zostaw to mnie.

– Bo ją go zobaczyć muszę! – dodała stanowczo choć zarumieniona dziewczyna – pokażę mu moje piękne conchille, a jeśli ma matkę lub siostrę, dam mu z naszego morza różaniec dla siostry lub matki...

– Albo dla żony! – dodał śmiejąc się kapitan Zeno.

Dziewczę stanęło jak rażone tym domysłem, ale pocałunek posłany z rana wnet rozproszył podejrzenia. Była pewną, że żonaty, nie byłby śmiały jej posłać tego rannego całusa.

– O! on nie jest żonaty! – zawołała śmiejąc się.

– A skądże ty to wiesz tak pewnie? – pytał ojciec.

– No, wiem – odparła śmiało – dosyć, że wiem.

Musiał ojciec spełnić uparte żądanie córki, ale ostrożniejszy od niej, chciał to uczynić niby sam z siebie. Odprawił ją do izdebki, chodził długo, nareszcie, jakby przypomniawszy sobie coś, zbliżył się do Konrada i podał mu rękę.

Otóż i nasza wspólna ojczyzna – rzekł, wskazując na miasto – mamy się nią prawo pochłubić; wydarliśmy ją morzu i uczynili panią jego, a podziwem świata. Zabawicie tu pewnie, nie zapomnijcie o domu kapitana Zeno. Każdy gondolier tę starą kamieniczkę naszą łatwo wam

pokaże. Będziemy wam z serca radzi! Ciotka Anunziata obiecuje dla was zgotować rybę taką, jakiej drugi raz w życiu jeść nie będziecie!

Mówił, a Cazita z daleka oczyma mu dała do zrozumienia, że należała do spisku, że wiedziała, o co proszono. Konrad skłonił się, szczęśliwy bardzo, ona go pożegnała uśmiechem i nie dostrzeżonym skinieniem głowy... a tuż, tuż i zamęt wylądowania się poczynił.

– Gondola! signori! gondola! – krzyczeli w czerwonych czapkach przyplływający przewoźnicy.

Czarne łódki, podobne do jaskółek z lotu i kształtu smukłego, okrążyły statek... zrzucano pakunki, spuszczała się pilniejsi po wschodkach i linach. Przed podróżnymi roztaczała się w całej swej wspaniałości, słońcem ozłocona Wenecja, naówczas jeszcze pani Adriatyku, choć już podupadająca. Pałac Dożów, Salute, Kanał Wielki, pałace, wieżyce, kopuły, kościoły... I krzyku ludu dochodziły od Riva dei Schiavoni aż tutaj. Roilo się przy Piazzecie...

Nasi podróżni z podziwu nad tym cudem prawie o sobie zapomnieli; węgrynek odmawiał „Pod Twoją obronę”, gdyż zdało mu się, że pierwszej nocy, pierwszej burzy całe miasto morskie wody pochłonać muszą.

– Co dziw, to dziw! – szemrał w duchu – ale wolałby ta siedzieć doma... nie najadłbym się tyła strachu! Ano pełniusieńko ludzi, ta i co robić... może się to zbędzie strachem, ale doma było siła bezpieczniej...

Pan Konrad miał sobie wskazaną *antica locanda* na wybrzeżu; zwała się ona „Croce di Malta”, ale nie ta była, co dzisiaj.

Gospody też ówczesne w ogóle do terażniejszych nie były podobne; sztuka przyjmowania i odzierania podróżnych empirycznie, instynktowo się wykonywała i nie miała jeszcze tych form pewnych, systematycznych, jakie przybrała dzisiaj. Dawne locandy i osterie były to jeszcze niby domy gościnne, a nie najemnicze zajazdy. Toteż zaledwie się nastreczył podróżny gospodarz zaraz starał się go poznać, ocenić, wymiarkować i wchodził z nim w poufały stosunek, a był zwykle pokornym, zapobiegliwym, przyjacielskim, serdecznym i niezmiernie usłużnym. Słynęli oberżyści z bystrości umysłu niepospolitej, zwłaszcza w sposobach korzystania rozlicznego ze swych gości. Przymiotu tego nie stracili i dzisiaj, różnica jest w tym tylko, że dawniej odzierali kłaniając się, a dziś drą i łają. Postęp widoczny.

Locanda „Croce di Malta”, acz dosyć uczęszczana nie była bardzo wspaniała, ale ówczesny jej właściciel signor Beppo Zanaro, słynął z tego, że umiał każdemu dogodzić, każdego poznać, przypochlebić mu się i w potrzebie wmówić, że było w „Croce di Malta” lepiej niż w rajju.

Beppo Zanaro, którego gondolierowie zwali poufale Il Gran Ladrone, był mężczyzną olbrzymiego wzrostu, tuszy odpowiedniej, czerwony, błyszczący, wesolej twarzy i wyparzonej gęby. Dawniej znakomity kucharz, dziś ograniczał się zwierchnym tylko nad kuchnią nadzorem, mając wiele ważniejszych spraw na głowie. Dobry humor i uśmiech na ustach, jak klucze u pasa, należał do atrybucji jego stanu.

Zaledwie gondola przybiła do brzegu, a z niej ukazał się kołpaczek z czaplim piórem, Zanaro, który czatował we drzwiach gospody na podróżnych, nadbiegał aż do wschodków z czapką swą pasową w rękę. Jednym rzutem oka poznał w przybywającym znakomitego, a zatem i majątnego cudzoziemca, był więc szczęśliwszy, weselszy, grzeczniejszy niż kiedykolwiek.

Podał rękę wysiadającemu.

– Eccellenza! – zawołał z zapalem – mam się za szczęśliwego, iż tak znakomitego patrycjusza pierwszy w Wenecji powitać mogę... Dom mój, osoba, wszystko jest na wasze usługi. Nie chwale się – dodał trzepiąc bez ustanku – nie ujmuję drugim ich zalet, ale nich powie Wenecja cała, niech poświadczy Rzeczpospolita, niech sława mojego domu, głośna po świecie... dowiedzie waszej ekscelencji, iż lepiej trafić nie mogliście. Przyjmujemy samych tylko

najdostojniejszych gości, i to nie w widokach podłego zysku, ale dla honoru zbliżenia się do ich osób, dla przyjemności służenia im... Witam was, witam i proszę! proszę za mną! najlepsze pokoje! najwykwintniejsza gondola... najtroskliwsza usługa...

Konrad milczał, uśmiechając się, węgrynek poglądał z ukosa na tego wyginającego się w łamanych ukłonach olbrzyma, czerwoną jego szlafmycę i błyszczące oblicze.

Na skinienie oberżysty niesiono już rzeczy do „Croce di Malta”, a ile paczków, tyle obdartusów się znalazło do posługi; szereg był wielki, od wschodów do drzwi ciągnął się nieprzerwany, każdy coś pochwycił i niósł, aby mieć udział w zarobku... Ostatni dźwigał w triumfie kawał podartej rogoży.

– Bądźcie spokojni – mówił gospodarz, poprzedzając gościa z odkrytą głową – nic tu nie zginie, ja ręczę... Jak się stanąć podoba waszej ekscelencji? w sali i oddzielnym apartamencie, czy w kilku pokojach wesołych, lepiej jego *incognito* zachować mogących?

– Jak najskromniej – rzekł wreszcie Konrad, którego włoszczyzna zdziwiła Zanara.

– Wszystko na rozkazy! pojmuję miłość ciszy, spokoju i zacisznego kątku! wasza ekscelencja masz gust, którym się i ja szczęję! ale pozwolicie spytać, z jak dalekich krajów szczęśliwe wiatry tu tak dostojnego dały nam gości!

– Jadę z Polski! – rzekł Konrad.

– Z Polski! – w dłonie klaskając, zawołał Zanaro, udając zachwycenie – O! jakżem szczęśliwy! Z oblicza to waszego odgadywałem, na tym czole maluje się szlachetność waszego narodu, który ja kocham i wielbię! Pozwólcie, abym kraj szaty waszej ucałował. Eccellenza...

– Ale choć Polak – dodał z uśmiechem Konrad – jestem zarazem Włochem i Wenecjaninem... familia moja pochodzi...

– O Boże wielki! – oburącz uciskając piersi, krzyknął Zanaro – a to cud! a to szczęście niewysłowione! Pozwólcie, bym wam się przypatrzył, bym się nasycił wami... bym niegodnymi usty imię wasze wygłosił.

– Lippi de Buccellis! – rzekł Konrad.

Gospodarz łzę otarł wzruszony; już mu tchu brakło.

– A! – rzekł ciszej – tylko patron mój, Oblubieniec Marii, mógł mi tak wielkie i rzadkie dać szczęście... Widzicie uczucie, jakiego doznaję... rodzinę Lippi, główny ród Buccelich znam, znam z dawna, wiem ich zasługi i dzieje, nowym się one blaskiem na ziemi polskiej okryły.

Skłonił się.

– Dość – rzekł – nie chcę was utrudzać wyrazem uczuć moich, cieszę się, że tak dostojna osoba trafiła pod dach uczciwego człowieka... Oddadzą mi też sprawiedliwość w Wenecji, żem tu pośród tysiąca szalbierzy i oszustów sam jeden czysty jak szkło naszej fabryki w Murano... Spocznijcie eccellenza! – dodał, wprowadzając go do pokoiów pierwszego piętra, dosyć wspaniałych, choć nieco obrukanych – dom cały, ja, rodzina moja... na usługi wasze... sam zajmę się instalacją...

Węgrynek stał osłupiały, pewien będąc, że trafili szczęśliwie, albo na krewnego, lub na starego przyjaciela domu. Konrad był zmieszany... Gospodarz już czuł się panem, ale chciał okazać się łaskawym, i po chwili usunął nieco, przyrzekając tylko obiad godzin samego doży.

Jakoż w godzinie obiadowej nadszedł sam, zapraszając eccellenzę, i dając do wyboru albo samotny posiłek w pokoju, lub honorowe miejsce u swej *tavola rotonda*.

– Eccellenza może być pewną – dodał, że nie śmiałbym wzywać go do naszego stołu, gdybym nie był pewien, że towarzystwo, jakie się zbierze, powinno mu być miłym... Mam tylko znakomitego lekarza niemieckiego, powracającego z Padwy, który zapragnął *miraviglia* grodu naszego oglądać i signorę Boccatorra, sławną śpiewaczkę, jadącą na dwór cesarski, dokąd

została wezwana, wraz z kawalerem Gerardi, który jej w drodze towarzyszy... Będę też miał przyjemność przedstawić ekscelencji waszej Annę, żonę moją, i córkę Magdalенę...

Spodziewając się, że wyjść będzie musiał, pan Konrad był już przybrany jak należało, miał na sobie żupanik wiśniowy atlasowy i kontusik czarny aksamitny, pas siatkowy złoty i bogatą karabelę na rapciach jedwabnych, karmazynowo ze złotem przerabianych. Do tego czapeczkę karmazynową z piórkiem, w której mu było bardzo do twarzy...

Trzeba przyznać, że malowniczo i pańsko się prezentował Lippi, tak że we własnej ojczyźnie trudno by go kto poznał za Włocha; krew polska i życie nasze już go na innego przerobiło człowieka. Na płótnach Weronezjusza tylko coś podobnego doń z twarzy w dawniejszych czasach znaleźć było można. Wenecja ówczesna znacznie już podupadła, a upadek każdego narodu nawet z fizjognomii jego wyczytać się daje.

W salce na dole zgromadzeni już byli goście signora Zanaro, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmowała niestychanie strojna panna Zenobia Boccatorra, Włoszka, rodem z Mediolanu, brunetka, słuszna, wspaniałej postawy, dumnego wejrzenia, pogardliwej minki, ale w istocie zachwycającej piękności. Był to raczej piękny posąg niż kobieta, w której by się na pierwszy rzut oka rozkochać można, lecz niepodobna było nie zdziwić się jej olśniewającemu blaskowi. Włoszka wiedziała snadź o tym dobrze i pyszniła się sobą... Poza nią stał towarzysz i stróż tego skarbu wiezionego na dwór cesarski... cavaliere Gerardi, dobrze dobrany, by zazdrości ani podejrzenia nie wzbudził, mały, garbaty, z twarzą od ospy oszpeconą, wyrazu zimnego i złośliwego.

Dalej trochę doktor Niemiec, człowiek młody, przystojny, ożywionej twarzy, uśmiechał się grzecznie do signory Zanaro, gospodyni domu, osoby już nie pierwszej młodości, z pięknymi czarnymi wąsikami, podwójnym podbródkiem i tuszą wspaniałą, poza której robrońem kryło się pisklątko domu, córka jedynaczka, Magdalena, biała, rumiana, ni ładna, ni brzydka, ale wesołej twarzyczki i filuternych nad wiek oczów.

Wszystkich wejrzenia zwróciły się na wchodzącego Polaka, nawet signora Zenobia obdarzyła go dosyć łagodnym skinieniem główki... a Magdusia nie spuściła go już z oka tak się jej – strój (jak mówiła) podobał.

Zasiedli do stołu, pierwsze miejsce śpiewaczka, kawaler Gerardi, nasz Polak, dalej reszta towarzystwa. Gospodarz, acz miał krzesło, nie siedział, aby czuwać nad kuchnią i podawaniem potraw... Niewiele też mógł jeść, bo mu się gęba od gadania nie zamykała. Miał mówić o czym, o Wenecji, o Polsce, o porze, o dostojnych przybyszach, o historii grodu i historii domu. Konrad mało się odzywał... był milczący. Niemiec, który doskonale się był w Padwie wyuczył po włosku, Zanaro i gadatliwa Magdalena śmiali się i zabawiali wszystkich w czasie biesiady, która wcale złą nie była, ale dla cudzoziemca dziwną trochę.

Każdy mniej więcej tłumaczyć się musiał, zręcznie wyciągnięty na słowo, z powodów przybycia do Wenecji; czynili wszyscy mniej więcej szczere wyznania, których znać signor Zanaro na coś potrzebował. Gdy kolej przysła na Polaka, opowiedział otwarcie o pochodzeniu rodziny, o tęsknocie, która go z kraju wyгнаła, i o zamiarze udania się do Ziemi Świętej.

Usłyszawszy to, gospodarz począł bardzo głową kiwać i ramionami ruszać.

– Niech mnie Bóg uchowa, abym ja, człek pobożny, katolickich rodziców dziecię – rzekł powoli – miał waszą excellenzę odwodzić od tak pobożnej myśli; mam sobie wszakże za obowiązek oświadczyć wam, że podróż ta ani jest łatwą, ani konieczną dziś, gdy tych samych odpustów dostąpić można, zwiedzając inne kościoły.

– Ale cóż może zastąpić widzenie Palestyny – rzekł Konrad – poznanie ludzi i krajów nowych!

– Zapewne – odparł gospodarz – młodość ma takie pragnienia, lecz ja, com się napatrzył już w życiu dużo odjeżdżających stąd z promieniejącymi twarzami, a wracających żółtych i tęsknych podróżnych, nikogo sumiennie na niebezpieczną tę wędrówkę namawiać nie mogę...

Ni liczę tych, których pożegnałem u brzegu *a rivederci*, a których chyba na innym świecie zobaczę.

To mówiąc westchnął z miną bolesną i znać było, że nadzieja wypróżnienia podróznego mieszka polskiego uśmiechała mu się, a boleśnie dlań było dać go na łup niewiernym.

– Nikt was o podróży do Jeruzalem – rzekł Zanaro – lepiej objaśnić nie potrafi nade mnie, com już seciny wyprawiał; tędyć z Europy ciągną niemal wszyscy, z wyjątkiem niewielkiej liczby Francuzów, co się z Marsylii wyprawują. Pora właśnie po temu – mówił dalej – wiosną zwykle pielgrzymki się przedsiębiorą, a na Boże Ciało przybywają do nas mnodzy pątnicy z całego świata. Jest też o tym czasie naw dosyć do wyboru, które stąd płyną do Cypru, Aleksandrii w Egipcie, Aleksandrii Syryjskiej, czyli Aleksandrety, lub do Trypolis... A choćby kto tu i okręt, i kapitana jak najstaranniej sobie wybrał, w czym bym ja mu mógł być pomocą, któż zaręczy, że w Aleksandrii, Cyprze, Aleksandrecie, gdzie się drugi Zanaro nie znajdzie, równie trafi szczęśliwie!

– Dość powiedzieć – dodał gospodarz cicho – iż ktokolwiek się w tę drogę wybiera... bez testamentu nie jedzie. Z Turkami i Maurami nie ma żartów, a choroby i wypadki po ludziach chodzą, nie po kamieniach. Żegna się ze światem kto na okręt siada... spowiedzią i wiatykiem opatruje.

O! – rzekł Niemiec doktor, uśmiechając się niedowierzająco – przecież tyłu przynajmniej powraca, ilu nie... signor Zanaro.

– A może więcej ginie, niż wraca! – odparł znacząco Il Gran Ladrone – ale ponieważ zacząłem już o tym, spodziewam się, że mi dokończy dacie, jeśli signorinę – grzecznie zwracając się do Zenobii dodał – nie nudzi ten przedmiot.

– Owszem, i ja jestem ciekawa – odpowiedziała chłodno Boccatorra – mówcie.

Naprzód tedy podróżny musi się stąd o pozwolenie wyruszenia w pielgrzymkę starać u legata Stolicy Apostolskiej; jeśli bowiem *anathema* rzucone na tego, kto by wyjechał, nie dopełniwszy tej formalności.

– A tóż z jakiego powodu? – zapytał Niemiec.

– Powód bardzo ważny – rzekł Zanaro – bo legat naprzód potrzebuje, aby mu okazał podróżny najmniej sto czerwonych złotych. Trafiało się bowiem, że się zapędził ubogi, za którego księża franciszkanie musieli potem w Jerozolimie i Ramie opłacać haracz należny, a są księża z jałmużn żyjący i wielkim to dla nich bywało ciężarem.

– A! – zawołał Niemiec.

– Dalej następuje – mówił Zanaro – ważna, nader ważna sprawa, w której bez gospodarza ruszyć się nie można; wynajęcie statku do Cypru, lub Aleksandretty. Nie obmawiam nikogo – szeptał zniżając głos – ale kapitanowie statków trafiali się i tacy, co nabrawszy dobry ładunek ludzi, potem go niewiernym sprzedawali, będąc z nimi w zмовie, i jakby przez korsarzy napadnięci wśród morza...

– O! – przerwał cavaliere Gerardi – to by było ohydny.

– T w istocie okropne! szkaradne, niegodne imienia chrześcijańskiego – dodał Zanaro – ale tyle poczwara chodzi i pływa po świecie! Jeśli się tej tragedii uniknie – mówił dalej wzdychając – pocznie się tedy zdzierstwo w Jaffie, dla różnej starszyny tureckiej, dla Mucharów w Ramie, w Jeruzalemie... poczną przyczepki, zasadzki, niebezpieczeństwo moru, kłótni, napadu, a za nicze liczyć długą nawigację i życie nędzne na statku?

O tym przy stole zamilczę... – dokończył Zanaro. – Nie chciałbym też, by dostojny mój gość szczerze interesowanie się jego losem i poszanowanie, jakie na pierwsze wejście obudził we mnie, fałszywie mógł sobie, uchowaj Boże, tłumaczyć.

Konrad skłonił głowę; uśmiechały mu się w tej chwili młodziuchna Magdusia figlarnymi oczkami dosyć zepsutego dziecka i misterniej a ostrożniej, ale niemniej wyraziście, majestatyczna signora Zenobia...

Ale te dwie napaści kobiece na jego serce, ten tylko sprawiły skutek, że mu przypomniały prześliczną ową towarzyszkę podróży, Cazitę Zeno, córkę kapitana.

– Nie lękałbym się wcale tej podróży – odrzekł pod wrażeniem wspomnienia – bośmy w ojczyźnie naszej przywykli niczego się nie obawiać, a niebezpieczeństwa pociągają nas więcej, niż odstręczają – gdyby mi się też trafił tak poczciwy i dobry kapitan statku jak ten, który mnie tu przywiózł z Triestu...

Zanaro podniósł głowę zaciekawiony.

– Eccellenza pozwoli spytać o jego imię? – rzekł żywo.

– Był to wracający ze Stambułu właściciel „Padre Antonio”, kapitan Zeno.

– Zeno! Zeno! powrócił więc! – zawołali razem gospodarz, żona jego i córka. – Kochany, zacny poczciwy, nieoszacowany Zeno... Szczycę się jego przyjaźnią – gorąco rzekł Zanaro – znam go jak brata, kocham jak rodzonego. Ma dom na Lido, stary dom, stary, ale krzepki statek, starą siostrę, Anunziatę, i śliczny kwiatusek, córkę.

Tu Zanaro pięć złożonych palców ręki do ust przyłożył i pocałował je, cmokząc.

– Cudnej piękności Cazitę...

Mimowolnie Konrad się zarumienił, czuł, że mu twarz jakby ukropem zapłynęła; obawiał się nie bez przyczyny, aby tej wywieszanej chorągwi obłązonego serca nie postrzeżono. Zanaro przelotnie spojrział nań i filut domyślił się wnet wszystkiego, ale udał, że nic nie wie.

– Czyście czasem nie jechali razem z ciotką Anunziatą i piękną Cazitą – rzekł niewinnie – bo, jeśli się nie mylę, miały na niego czekać w Trieście.

Konrad kraśniał jak dojrzewająca wiśnia; zmięszał się.

– Tak – rzekł w końcu odważnie – płynęliśmy razem.

– Więc się już nie dziwuję, że waszej ekscelencji tak miłym wydał się kapitan Zeno, tak dogodnym jego statek i tak krótką zapewne podróż na nim. Ha! ha!

Magdalena i signora Zenobia spojrzały trochę z ukosa na Polaka, który oczy spuszczał jak winowajca na uczynku schwycony.

– Zaprawdę – nie ustając paplać, mówił Zanaro – Wenecja ma krocie piękności i nigdy w nie ubogą nie była, ale Cazita...

– Cóż to znowu! – przerwała urażona pani Zanaro – co to pleciecie? Cazita jest ładna, ruda myszka, a kto ma szczęście przy swym stole przyjmować taką piękność, jak signora Zenobia, której równej na obrazie nawet nie znaleźć... no, i komu Bóg dał tak nieszpętną córkę jak wasza, ten...

Zanaro uderzył się szybko z jednej i drugiej strony po twarzy i wypoliczkował, uznając swój występ.

– Winienem – rzekł – ale nie zaprzeczycie, że Cazitana... śliczna. Cóż wy mówicie, eccellenza? waszego jestem zdania nad wszystko ciekawym?

Konrad, któremu tak wprost strzelono w piersi tym zapytaniem, znowu się zapłonił i zmięszał.

– Są – rzekł powoli, wykręcając się – różne piękności niewieście, których jedną miarą mierzyć się nie godzi, oblicza obudzające uwielbienie – skłonił głowę przed signorą Zenobią, która mu się tak wdzięcznie uśmiechnęła, że cavaliere Gerardi usta aż zakąsił – są twarze budzące braterskie uczucia... – spojrział trochę ku Magdusi, która skrzywiła usta – są wreszcie i niezbyt pięknych może rysów, a straszliwie niepokojące człowieka i niezapomniane dlań twarze... – Spuścił oczy na talerz, kobiety spochmurniały, gospodarz chrząknął, nastąpiło głuche milczenie.

– Mam cię, kawalerze – powiedział sobie w duchu Zanaro – już mi się nie wykręcisz... a że do Jerozolimy nie pojedziesz, kochanku, za to rękę.

Czas tedy był wstawać od stołu i ruszyli się wszyscy. Signora Zenobia głośno mówiła, że będzie w teatrze, prawie zapraszając do swej łoży Konrada. Magdusia bąknęła, że pojedzie na Lido.

Lido te kilkakrotnie powtórzyła znacząco.

– Jeśli pojedziesz na Lido – dodał gospodarz – toć nie wytrzymacie, abyście nie odwiedziły ciotki Anunziaty i Cazity. Kłaniajcie się im ode mnie.

Konrad odchodził powoli.

– A od was? – spytała figlarnie Magdusia Zanaro – a od was, eccellenza?

– Nie śmiałem was o to prosić, signorino – rzekł Lippi – ale jeśli łaska, proszę, pokłońcie się wszystkim ode mnie także.

– Wszystkim? – cicho spytało dziewczę. – jam myślała, że tylko tej wieczny niepokój budzącej twarzyćce?

Konrad nie miał odwagi plątać się więcej, uśmiechnął się, nisko uklonił i poszedł z gospodarzem, który go nie odstępował. Dopytywał, czy nie potrzebuje gondoli, czy nie zechce oglądać miasta, czy nie weźmie przewodnika na plac Św. Marka i Piazzettę, a w istocie do dna badał i usiłował poznać gościa; nie przyszło mu trudno prostodusznego usidlić człowieka...

Następne dni przeszły szybko na oglądaniu miasta, które dożywało razem z Rzeczpospolitą dni swoich i świetności starej... Dla cudzoziemców z daleka, z tej jeszcze ziemi, na której sztuka nigdy z nieustannie wzbierającego pączka nie miała czasu zakwitnąć – wszystko tu było dziwem i cudem... wszystko nauką nowego jakiegoś i niezrozumiałego życia. Konrad wprawdzie przygotowanym był czytaniem i myślami do pojęcia swej drugiej ojczyzny; fizjognomia jej nie była mu obcą, ale między opisem, a rzeczywistością tyle się wciska niepochwyconych rysów...

Gorzej było z węgrynką, który, jakkolwiek gra tu rolę podrzędną, jakkolwiek prosty sobie Maciek nie może nas nie obchodzić. Węgrynek bez języka, bez przewodnika i tłumacza, choć go Konrad wszędzie z sobą woził, aby się chłopczyśko nie nudziło, był jak na niemieckim kazaniu ciągle. Trudno mu było przy każdym objaśnieniu całą teorią niepojętych dlań zjawisk wykładać. Maciek z otwartymi ustami patrzył, podziwiał, ale nie rozumiał ani krzty.

– Już to ja, proszę jegomości – mówił drugiego wieczorem – to tak jestem ciągle by senny, aże mi się czasem zdaje, że to wszystko, na co człowiek patrzy, mara jakaś... Ale co osobliwości, to osobliwości, proszę jegomości, co rarytne, to rarytne... Aż strach, aby tego morze nie pochłonęło której nocy; bo nie wiem, czy pan zważał, ale dalipan, tu żadne domostwo i żadna wieża prosto nie stoi... gdyby pijane to na tę stronę, to na tamtą niby się wałają... no, ale z dopustu bożego do czasu to stoi... A, i z pozwoleniem pana, kobiety, niech ich wszyscy diabli wezmą; młode, by anioły piękne, a stare brzydsze od diabłów... Czy to może być, żeby z takich pięknych panien wyrastały tak srogo szkaradne baby! Chyba stąd kobiety młode gdzie wywożą, a stare...

Nie dokończył machnąwszy ręką; i widząc, że pan się śmieje, sam też śmiać się począł.

Wezwał pan Zanaro wedle zwyczaju eccellenzę do stołu, a węgrynek, który już był się posilił i dobrze wina napił, sam pozostał.

Było mu zalecono pilno, ażeby stancji strzegł i z domu się sam, dla nieumiejętności języka, nie oddalał. Ale węgrynkowi robiło się nudno, a ruch na Riva wzywał go i nęcił. Przed oknami kuglarz właśnie hecę z małpą wyprawiał i olbrzymia kobieta grała na bębnie, jak tu było wytrzymać?

– A co mi się ma stać, jak wyjdę? – rzekł do siebie – juścić bez rozpytania nazad do gospody potrafię, bo i wiem, że się „Malta” zowie! A tuć nic nie ukradną, bo trzosa gdzieś na przechowanie oddane, a drzwi się dobrze zamykają... pan nie zaraz powróci...

Jak rzekł, tak uczynił, ale się węgrynek nie rozrachował dobrze z następstwami wycieczki. Nim zszedł z piętra po cichu, kuglarz i olbrzymka znikli, lud się rozszedł, na placyku nie było już co robić i na co się wyszczerzyć. Węgrynkowi świerzbiały pięty strasznie.

– Ano, pójdę przed kościół Św. Marka – rzekł sobie – to się podziwię tym złocistym obrazem, bom takich, jako żyw, nie widział.

Drogę znał trochę i przez placyk pociągnął bardzo przyzwoicie na sam plac, przeżegnał się przed kościołem, zdjął czapkę, zdrowaśkę odmówił, a począł się przyglądać, a przyglądając się i dumał.

– Po co to oni cztery konie na kościele postawili? Chyba to te, którymi św. Marek przyjechał przez morze – odpowiedział sam sobie i westchnął.

Tłumaczenie własne uspokoiło go co do koni, ale wpatrzywszy się w jeden z mozaikowych obrazów, mocno się zgorszył znowu i okrutnie zadumał. Spostrzegł na nim doskonale wyobrazonego świeżo zabitego – wieprza³. Tyle razy o Bożym Narodzeniu i przed Wielką Nocą oglądał podobne na folwarku, myśląc o przyszłych kielbasach, że nie mógł się omylić.

Nie znając legendy, nie rozumiejąc, co tam wieprzowina robiła na kościele, Maciek posmutniał...

– Kie to licho zrozumie! – rzekł, ręką machnąwszy – kto go sobie namalował, niech sobie na niego patrzy...

Odszedł zgorszony od kościoła, a tu go zegar ze swymi sztukami, bijący właśnie, zatrzymał. Tuż przez bramę widać było ciasne uliczki na Merceriach. Gdy zegar przestał bić i sztuki wyprawiać, Maćkowi się okrutnie zachciało wejrzeć tam w głąb tych ciasnych szyi, obstawionych sklepikami.

– Kiegoż bym licha nazad nie miał trafić! – rzekł w duchu – ano pójdę, zajrzę.

A miał na sobie, jak przystało, odzież nowiusienką z węgierską, z cienkiego sukna całe ładną, i pasik kowany, i czapczkę, magierkę piękną, i wyglądał bardzo przystojnie; ludzie się też na niezwykle strój poczęli trochę gapić. Szczególniej jeden jakiś wielki drab, ponurej twarzy, krok w krok za nim ciągnął, a z oka go nie spuszczał.

Ale Maćkowi nie było to w głowie i nie spojrział nań nawet. Zaraz za bramą, która od Prokuracji prowadzi w ciasne uliczki Mercerii, węgrynkowi wpadły w oko sklepiki, jeden dziwniejszy nad drugi... Rupiecie tam były wszelakie, których on użytku zrozumieć nie mógł. Gdy się tu zagapiwszy, stoi, pchnął go ów drab mocno. Maćkowi krew buchnęła do głowy, bo był gorączka. więc też pięścią oddał. Drab zaraz przystanął, a tuż i do noża. Maciek odstał nieco zuchowato, choć do boju. ale bezorężny, wkoło patrzy, co by pochwycić, aby garść nie była próżną.

Ale Włozysko, zmiarkowawszy, że chłopaka nie zje w kaszy, zamiast się doń porwać, jął okrutnie hałasować i krzyżeć.

– *Ladrone... canaglia...* i gorsze jeszcze wyrazy posypały się gradem. Maciek też usta otworzył i w długi nie chcąc zostać, nuż go po polsku bezcześcić. Na ten wrzask tłum ze wszystkich sklepików jął się zbierać, gromadzić, oblegać, tak że ciasne owo przejście całe się wnet ludźmi zatkało.

Im głośniej wrzeszczał drab, wywijając nożem, tym Maciek też serdeczniej mu dopiekał. Oba się nie rozumieli, ale doskonale domyślali się, że to nie musiały być błogosławieństwa.

Już się na to zabierało bardzo, że zbiry obu ich do więzienia pochwycić mieli, gdy w pośrodek między zwaśnionych wcisnęła się osobliwa figura.

Był to mały, błydy garbusek, z głową ogromną a łysą jak kolano i błyszczącą, przyodziany dziwacznie, bo w koszuli tylko, spodeńkach letnich, z bosymi nogami w pantoflach i w skó-

³ Weneccjanie wykradając ciało św. Marka, okryli je wieprzowiną, aby odstręczyć od ściślejszego przegłądania urzędników granicznych. Jeden z obrazów na kościele to przedstawia.

rzanym, od pracy świecącym z założonym fartuchu... Na nosie miał ogromne okulary mosiężne, a że te widać tylko do roboty mu służyły, patrząc na świat spuszczał głowę, aby wyżej nich nagimi oczyma mu się przyglądać, więc też i głowę osobliwszym sposobem wykręcał. Zza fartucha wyglądało mu godło rzemiosła jego, kopyto drewniane, a w ręku (ręce miał żyłaste i olbrzymie mimo niewielkiego wzrostu) trzymał szydło i dratwę.

Garbus, zerkając zza okularów na obie strony, wciąż jedno ucho ku Maćkowi nastawiał, a co go doleciało przekleństwo, to się uśmiechnął; na ostatek, jakby zniecierpliwiony, przypadł do Maćka, porwał go za rękę żyłastą dłonią i pociągnął wlokąc za sobą do małego sklepiku, którego drzwi zatrzasnął.

W ulicy wrzawa była ogromna, ale szewc ani słuchał jej, obrócił się do węgryzka i – Maciek o mało z podziwienia nie struchlał – po polsku go ofuknął.

– Czegoż to się tak samopas po ulicach włóczycie w obcym mieście? he?

Węgryzek ręce złożył.

– A! Matkoż ty Boża! skądże wy po polsku umiecie?

– A tobie co do tego, smyku! – rzekł szewc – mów! coś to zrobił? skąd idziesz i po coś tu wlaź w to osie gniazdo?

– Mój dobrodzieju, panie szewcze – odparł Maciek – jam se na przechadzkę wyszedł z „Malty”... drab mi pierwszy dał racją, tom ci mu oddał pięścią, jak się patrzy, a ta bestia zaraz hałasu narobiła.

– Czyjżeś ty jest? – zapytał szewc żywo.

– A pana Lipińskiego z Robnina.

– I jakież was tu lichy przygnało?

– No, toć do Ziemi Świętej jedziemy.

– Siedźże, trutniu, cicho a czekaj! – odparł gospodarz i otworzył drzwi.

Przed progiem tłum jeszcze i ów drab cisnęli się i krzyczeli okrutnie. Szewc na górnym wchodku, stanąwszy poważnie, wyglądał jak na kazalnicy. Skinął ręką... umilkło wszystko, odchrząknął...

– Czego chcecie! próżniaki, mazgaje, trutnie, psy Najświętszej Panny! he? czego? Leonardo, ty będziesz wisiał, ja ci mówię, że wisieć będziesz, jeśli ci pod czerwonym słupem na Pia-zecie łba nie utną. Zaczepiłeś niewinnego chłopaka, sługę możnego pana polskiego, który ci tego płazem nie puści... Ja przeciwko tobie sam świadczyć będę... pierwszyś go kułakiem uderzył... chciałeś odrzeć lub klótnię wykupnem skończyć, ale złamanego denara nie weźmiesz, a ja cię osadzę w więzieniu, ja, ja, jakem Jacopo Nani, he! słyszysz!

Poparł tę mowę, jak przystało obyczajem włoskim ogromnymi ruchami rąk żyłastych, a w końcu tak się pięścią w piersi grzmotnął, że mu się aż okulary zsuwać poczęły, niebezpiecznie zjeżdżając, poprawił je wszakże szybko i miał tę pociechę, że wysiłek nie został bez skutków, bo drab, mruczając, wszął się w tłum, a ciżba powoli rozplywać się poczęła.

Dopiero Jacopo Nani zwrócił się do węgryzka z uśmiechem.

– To twoje szczęście, chłopcze – rzekł – że się ta awantura stała przed sklepem moim, bo-byś z niej cało nie wyszedł i alboby cię odarto, albo zbito. Gadajże mi teraz, skąd wy tutaj!

– A! mój dobrodzieju! – odparł węgryzek zmieszany – gęby nie otworzę, dopóki się nie dowiem, jakim sposobem wy po polsku umiecie, toć... to...

Szewc siadł powoli na stołku, ręce opuścił i zza okularów spojrzął na chłopaka z uczuciem; w oczerwienionych powiekach kręciła mu się łza... głos miał też drżący.

– Hej! hej! – zawołał – dziwno się wam zdało naszą mowę posłyszeć z takiego rozbitego jak ja garnka. ależ i mnie, i mnie, com jej tyle lat nie słyszał... mało serce nie pękło...

Szewc otarł czoło i oczy...

– Toście wy też z Polski? – spytał węgryzek.

– A juście! – odpowiedział szewc – alem nie od dziś wywędrował, a wypchnęło mnie nie-szczęście... Z którychże wy stron?

– Od Poznania.

– A jam od Krakowa, moje dziecko... od tego starego dziaduszka naszego, nad którym Wawel na straży stoi, kędy mogiły Wandy i Krakusa... Jużem ja tu lat dwadzieścia na tych Włochach i mowem zmienił, i wrósłem tu, i nawykłem, a gdy zasnę, to mi się śni hejnał z Mariackiej wieży i śpiewa w duszy... aż płaczę... Oj! nie daj Boże włóczyć się po obcych i cudze wycierać kąty...

Maciek stał i słuchał, i jemu to znowu jakby snem się zdawało... byłby się też zasłuchał może nie wiedzieć dopóki, gdyby nie przypomniał, że pan od stołu powrócić może i jego, i klucza nie znaleźć.

Przyznał się tedy zaraz panu Jakubowi, który, z kołka wzięwszy starą wytartą aksamitną, spłowiałą kurtę, rzekł:

– choćbyś i trafił do „Malty”, ja cię na Riwę przeprowadzę, aby znowu nie opadli te zbó-je... a pilnuj się mi, chłopcze, i sam nie chodź, bo cię tu co złego spotka.

Domawiał tych wyrazów szewc, gdy przez drzwi z głębi wyjrzała kobieca główka. Wę-grzynkowi się w oczach zaćmiło, taka była piękna. Nic nie widział, ino parę czarnych źrenic ogromnych i śmiejące się białymi zębami usta, ale te ząbki go od razu za serce pochwyciły.

Szewc, jak tylko spostrzegł ciekawą, tupnął nogą i począł łajać po włosku.

– A nie pójdziesz ty mi precz! szatanie ty jakiś! a czego to tu wyglądasz? a co tu ciekawe-go? schowaj ty mi się zaraz, a prędko, bo kulakiem napędzę.

Maćkowi serce mdlało, a wpatrzył się w nią i ona w niego tak, że Jacopo nierychło potrafił przepędzić niebożątka.

– O mój dobrodzieju! – krzyknął Maciek, gdy znikła – a cóż to za śliczne dziewczątko, a cóż to za malowana twarz.

Szewc milczał niby głuchy.

Niestety! była to córka jego Marietta, o którą w ciągłym był i tak niepokojem. Przybyło mu kłopotu. Czuł, że to spotkanie bez kozery nie będzie.

– Co ty tam po kątach patrzysz – zawołał – co ci tam po dziewczętach, he? jeszcześ węża nie dostał; ot zabieraj się ze mną.

– Ale proszę pana majstra, kto to taki? – nalegał Maciek.

– Kto? – odparł szewc, podnosząc na niego oczy – królowna neapolitańska... a teraz chodź!

I wyciągnął go na ulicę milczący, a odprowadziwszy do placyku, chciał porzucić.

– Mójże zbawco kochany – wstrzymując go i całując w ramię, rzekł Maciek – ja was nie puszcę, żebyśmy się nie widzieli. Toć i wam miło być musi swoich zobaczyć?

– Jeszcze my się spotkamy – chmurno odpowiedział szewc – ale ty mi na Mercerie się nie włócz, bo cię diabli wezmą.

I odszedł. Maciek spuściwszy uszy po cichu, jak zmyty, wrócił do „Malty”. Szczęściem, że tu nie postrzeżono jego wycieczki, bo Konrad, poszedłszy do stołu, jeszcze był nazad nie wrócił.

A były powody ważne, dla których się tak opóźnił.

Ci sami goście, co dnia pierwszego zebrani byli w pokoju, gdy Gran Ladrone wprowadził eccellenzę, jedna im tylko nowa przybyła postać, nieobojętna zdaje się dla signory Zenobii, chociaż ona go niby nie знаła, a on na nią ani patrzył. Udawanie jednak tak było po obojgu widocznym, że tylko cavaliere Gerardi mógł się na nim nie poznać. Przybysz był bardzo pięknym mężczyzną, lat zaledwie trzydziestu, strojnym wytwornie i jak ze stroju wnosić było można wielkim panem lub wielkim w odegrywaniu państwa artystą.

Zanaro po cichu szepnął Konradowi, iż dostojny gość jest principe Alessandro di Ponte-Vecchio, krewnym papieża nieboszczyka, bogatym Rzymianinem, jadącym z ważną misją na dwór cesarski, o czym wszakże najgłębsze milczenie zachować wypadało.

Principe tą razą posiadał Polaka i znalazł się po drugiej stronie signory Zenobii, która, wciąż od niego głowę odwracając, tego dnia z szczególną uprzejmością rozmawiała z cavalerem Gerardi. Za to przy Konradzie znalazła się Magdalena Zanaro ze swoim filuternym śmieszkiem, którym obdzielała doktora Niemca, Polaka, a rada była obdarzyć i principe, ale principe patrzył dziwnie jakoś wciąż w sufit, choć sufit nie był złożony i malowany jak w Pałacu Dożów.

Zanaro też tego dnia z osobliwszą pieczołowitością zajmował się cavalerem Gerardi i traktował go „eccellenzą” za każdą łyżką.

Signora Zanaro miała tego dnia minę poważną kobiety bardzo przyzwoitej, a zmuszonej wiedzieć o intrydze, której jej domyślać się nie wypadało. Mówiła o rzeczach obojętnych, o osychaniu Canal Grande, o Bucentaurze, o bliskim święcie Bożego Ciała i jego wspaniałościach... Principe di Ponte-Vecchio był zadumany i obojętny.

Ledwie skończyli *brodo*, na którego pochwały wysilił się sam gospodarz, bo w istocie on sam tylko mógł je chwalić, Magdalena pochylała się ku Konradowi i szepnęła:

– Nie byliście na Lido?

– Ja? dotąd nie...

– Czekają was tam z rybą – zaczęła się śmiać – ciocia Anunziata...

Konrad się zarumienił.

– Kapitan Zeno! – dodało dziewczę.

– Szczerzem im obowiązany.

– I nikt więcej! – zawołała Magdzia.

– A! – rzekł Konrad.

– Tak! tak! ktoś trzeci to się może na was gniewa.

– Na mnie? – spytał Lippi – za co?

– Ja to tam tego nie wiem – szepnęła dziewczyna.

I zamilkli, a po chwili znowu Magdusia się ozwała:

– Widziałam śliczny różaniec...

– O! niepiękny – przerwał Konrad, pomieszany...

– Jakże wiecie, kiedyście wy go widzieć jeszcze nie mogli? – odparła żywo Magdalena, zaczynając się śmiać. – Mylicie się, mylicie... to różaniec z konch morskich i koralu, przeznaczony dla kogoś, ale nie wiem, dla kogo...

– Filut dziewczyna! – pomyślał Konrad.

W tej chwili, mimowolnie oczy zwróciwszy, dostrzegł, jak signora Zenobia, która bardzo żywą wiodła rozmowę z cavalerem Gerardi, ręką w tył zwróconą od księcia di Ponte-Vecchio, patrzącego zawsze na sufit, brała wciśnięty jej nader zręcznie bilecik. Przypomniało mu to, że był w kraju intryg i zdrad niewieścich, i postanowił się mieć na baczności, ale to nie przeszkadzało nader ostrożnie po południu popłynąć na Lido.

Sądził, że tego obowiązku grzeczności względem kapitana Zeno dopełnić wypadało.

Magdusia, której oko manewr bilecikowy dostrzegło także, poczęła się bardzo śmiać, chwyciwszy chusteczkę do ust, ale śmiech złożyła na przypomnienie jakiegoś niewczesnego.

– Spodziewam się – szepnęła sąsiadowi – że pan nie wydasz tajemnicy?

– A wy? – odparł Konrad.

– Ja bym to może zrobiła, gdyby... gdyby mi się to na coś przydać mogło – szepnęła po cichu – ale muszę jeszcze czekać dwa lata. Tak mówi ojciec i matka, mam dopiero czternaście... ale skończonych... Więc cóż mi to szkodzi!

I puste dziewczę popatrzyło na Konrada, kładąc palce na ustach.

Zanaro gadatliwszy był jeszcze niż kiedykolwiek; dziwne wyplatał historie. Nie wiedząc, jak rozmowę wprowadził na kapitana Zeno.

Znać dlatego, aby uwagę Polaka odwrócić od tej pary, która była na pozór dla siebie obojętną, jak w istocie bliską myślami i sercami. Oczywiście przygotowywało się coś tajemniczego, do czego służyła i serdeczność signory Zenobii dla cavaliere Gerardi, i gadatliwość gospodarza, i przybrana powaga młodego principe di Ponte-Vecchio.

Nie wiadomo, jak się to stało, ale ku końcowi obiadu książę w bardzo żywej i serdecznej był rozmowie z kawalerem, posłannikiem cesarskiego dworu. Signora Zenobia z dosyć kwaśną miną patrzyła na to. Komedia odegrywała się z prawdziwie włoskim do intrygi talentem.

Od *tavola rotonda* rozchodząc się, goście rozmaite potworzyli projekta. Cavaliere z księciem pojechali razem gondolą. Signorę Zenobię głowa bolała. Konrad, nie mówiąc nic nikomu, nie zaglądając nawet do mieszkania, powierzonego straży Maćka, wysunął się na wybrzeże, skinął na gondoliera i szepnął mu na ucho: – Lido.

Na Lido bywały zawsze najlepsze kąpiele; gondolier się nie zdziwił, a nikt więcej nie słyszał. Magdusia tylko, filutka, domyśliła się i wyszpiegowawszy kierunek, w jakim posunęła się łódka, z okna plasnęła w dłonie. Konrad ani dostrzegł ją, ani uszów jego nie doszedł śmieшек wpółdziecinny.

Dzień był wiosenny, prześliczny, ciepły; lekki wiatr marszczył zaledwie wód powierzchnią, błyszczącą od pomarańczowych promieni zachodzącego słońca. Kanały pełne były czarnych gondoli, zwijających się na wszystkie strony; z dala dochodziły urywane śpiewy młodszych przewoźników, powietrze pełne woni, wesela, świeżości, życia. Oddychając nim, wciągało się ochotę i siłę do życia, spokój i ufność jakąś, rozwianą ponad światem w tej chwili jego wiosennego rozkwitu.

Dziwnie też piękną, uroczą wydała się Wenecja Konradowi, w którego duszy jakby przypomnienie rodzinne, praojcowskie odzywało się; czuł, że to wszystko gdzieś w przedświecie znał, widział i ukochał.

Po krótkiej przejażdżce gondola przybiła do piaszczystego, pustego prawie wybrzeża na Lido... Wyglądało ono smutniej, dziczniej niż samo miasto; domki były stare, niskie, niepokazne, ludności prawie nie widać, spoza dachów domostw sterczały maszty łodzi drzemiących pod wyspą... Poobalane mury, ogródki, na których zieloność się wila bujna, gdzieś uczepiona górą winna latorośl, przy drzwiach rosnąca, obrazek Madonny, wyglądający nad drzwiami, rozweselały nieco dość opuszczoną ławę piasku i morskich kamyków.

Nietrudno się było dopytać o domek kapitana Zeno, pierwszy przechodzień z wiosłem na ramieniu pokazał go Konradowi... Stał on w prawo, nad samym morza brzegiem, i znać nie od dziś dnia rozpoczął życie; kilka pokoleń lepiło tę budowę tym piękną właśnie, że niespodzianą przedstawiała linie, załomy, wyskoki, dające jej niezmiernie malowniczą powierzchność. Dookoła opasywały ją wschodki, poczepiane słupki, galerie, winne gałęzie i rozpięta na jednej ze ścian cytryna, której pień stary żenił się z suchą latoroślą winną i liście się mięszały razem. Z pośrodku gęstej zieleni, do której i bluszcz-pasożyt się przymieszał, tu i owdzie wyglądało okno, wychylały się drzwi ciemne, przez które sięgnąć było można do głębi dziwnie skleconego domostwa.. Gość przychodzący musiał się dobrze namyślać, kędy wniknąć do środka, kilkoro bowiem równouprawnionych drzwi z obrazkami Madonn i Świętych zdawały się go wzywać zarówno, a nic głównych nie oznaczało. Byłby też może Konrad w niepewności pozostał, gdyby go u muru otaczającego ogródek nie spotkała miła niespodzianka... spostrzegł osłoniętą kapeluszem słomkowym, dobrze sobie znaną z „Padre Antonio” twarzyczkę Cazity, która mu się uśmiechała wdzięcznie.

– A! przecieżście sobie przypomnieli obietnicę waszą – zawołało dziewczę – ale przychodzicie właśnie, gdy ojca mojego nie ma w domu... Co za szkoda! jak będzie żałować. Szczęściem, spodziewamy się go pewnie przed wieczorem, pojechał tylko do Scola di San Rocco na

radę, doczekacie się go pewnie. Dam znać cioci Anunziacie! wejdźcie, proszę, tam, tam, tymi drzwiami, nad którymi jest Św. Franciszek i Antoni, opiekunowie nasi domowi... ja zaraz przybiegnę poza murem... i wprowadzę was.

Stało się, jak rozkazała Cazita, i nim Konrad ze drzwi po wschodkach wszedł do sieni, już ona, drugimi wbiegłszy do domu od ogrodu, witała go zarumieniona i wiodła po wschodkach dalej na górę, do paradnych pokojów, którymi się jej pilno było pochwalić. Zwabiona jej głosem szczebiotliwym, ciocia Anunziata, z głową siwą w nieładzie, zjawiała się także na przyjęcie gościa, któremu mniej daleko rada była niż siostrzenica.

Pokoiki na górze, które kilka pokoleń marynarzy przystrajało, wyglądały trochę dziwnie może, ale ładnie. Był tam sprzęt różnych lat, zwierciadełka weneckie, szkła stare z Murano, konchy z różnych wybrzeżów, kilka dawnych pobożnych obrazów, stołki rzeźbione i szafy dębowe, i wschodnie kobierce nie wytworne, przecież nęcące oczy. Z okien cudny widok na morze, wpośród którego rzędami stały powbijane pale, a na najbliższym z nich rodzaj ołtarzyka drewnianego z Matką Boską... Na opalowych falach, ze złotymi odbłyśki, snuły się barki rybackie i statki z drzewem, i łódki z warzywem i zielenią. Cazita otworzyła okno, przez które do wnętrza zajrzała ciekawa gałąź winnej latorośli.

– Patrz pan – rzekła – oto ten sam statek odpoczywający na kotwicy, ze zwiniętymi żaglami, to nasz „Padre Antonio”. Jak tam teraz cicho i spokojnie, żywej duszy na pokładzie, a za dni kilka, najdalej za tygodni parę, ruszy on znowu, zabierając nam ojca, i z ciocią Anunziatą zostaniemy same w tej pustce na oczekiwaniu i modlitwie.

Ciotka tylko pomrukiwała, widocznie przerwana sješta popołudniowa jeszcze jej oczy kleiła i ustom odebrała siłę do rozmowy, kiwała głową, tłumiąc ziewanie natrętne. Za to Cazita ożywioną była jak nigdy, a w domu własnym czuła się śmielszą i panią, wiedziała, że na niej leżało przyjęcie gościnne.

Strój dziewczęcia nie tak wytworny, dość prosty nawet, nie ujmował jej wdzięku, czynił ją może ponętniejszą jeszcze. Cała twarzyczka gorzała przechadzka i skwarem dnia spędzonego na powietrzu, w wyziewach morza i spiece ogrzanych piasków.

– Zaprośiliśmy was wprawdzie na rybę z ciocią Anunziatą – rzekła – bo nikt tak ryby nie umie przyprawiać jak ciocia, ale drugi raz musicie, bo od tego nie odstępimy, przybyć na nasz przysmak; dziś już za późno... ryby świeżej nie ma, przywiozą ją dopiero rano. Przyjmujemy was, jak na okręcie, szklanką wina i chlebem.

To mówiąc, pobiegła do szafy i poczęła się sama krzątać przy stole... Ciocia Anunziata jeszcze do życia całkiem rozbudzoną nie była. Konrad, onieśmielony, wpatrzony, niewiele mógł mówić.

– Wam się tu pewnie wyda pusto, może nudno, może dziko – mówiło dziewczę – ale ja moje Lido kocham i jest mi tu dobrze i wesoło. Patrzę na całą Wenecję z tego okna – dodała – z tego na morze... tu San Giorgio... tam campanilla Św. Marka... Salute... Dogana... wyspa Św. Heleny; z drugiej strony... w dali domki na Giudecca... ot i część Canal Grande... Ci, co żyją w samym mieście, tak go, jak my, dobrze nie oglądają.

Przy tym cicho tu i spokojniej... i mamy drzewa, zieloność, ogródek, a obróciwszy się widać morze... nasze lazurowe morze... Tylko w zimie, gdy burza ryczy, domek się nasz trzęsie i fale biją o mury prawie, i noc całą słychać zagniewaną wodę mrużącą i rozbijającą się o wybrzeże, ale myśmy do tego przywykły... Ja usypiam wśród tego szumu spokojna, bo oko boże czuwa nad nami... Nie myślcie też – mówiła prawie nie ustawając – żebyśmy my tu na Lido zawsze tak pustelnicze wiodły życie; kilka razy do roku mamy *fierę*, cała Wenecja zbiega się na Lido, przekupnie, garkuchnie, kuglarze, muzyka, tańce... o! i jest bardzo wesoło. Ale nam dużo szkody w ogrodach narobią zawsze.

– Więc tu cały rok żyjecie? – spytał Konrad.

– Ojca najczęściej nie ma w domu – odpowiedziało dziewczę – ojciec musi zarabiać na morzu ze statkiem, a gdyby i mógł spocząć, to już tak przywykł do tej włóczegi po wodzie, żeby nie wytrzymał. Czasem, gdy dłużej posiedzieć mu przyjdzie, znać już po nim, że się nudzi, a gdy odpływa, twarz jego zaraz promienieje inaczej... Naówczas, gdy żagle statku „Padre Antonio” znikną nam z oczów, zaczynamy się z ciotką modlić o jego powrót szczęśliwy i czekać, aż się nam znane jego żagle pokażą znowu... Czasem odwozi nas ojciec do Triestu, do krewnych, i tam czas jakiś przesiedzimy, ale zwykle ja, ciocia i stary sąsiad Pietro, którego opiece jesteśmy powierzone... pilnujemy domu. Ale nie myślcie, byśmy się nudziły, jeździm do miasta na odpusty, na regaty, na muzykę, na plac Św. Marka, mamy dużo znajomych.

– A! prawda – przerwał Konrad – wszak i rodzina Zanaro z „Croce di Malta” znajomą wam jest także, a Magdalena jest przyjaciółką waszą.

– Dobre dziecko! – odparła Cazita – ale dziecko jeszcze, ja więcej niż o rok przecie jestem od niej starsza! – Wymówiła to z pewną dumą.

– Zanaro wielki filut – dodała Anunziata – nie powiadam, żeby był zły lub nieuczciwy człowiek, ale bardzo przebiegły i ze słabości ludzkich nawykł korzystać.

Konrad, wspomniawszy ranek, uśmiechnął się.

– Magdzia będzie kiedyś ładną – dodała Cazita – nieprawdaż?

– I pewnie nie ustąpi ojcu w przebiegłości – dodał Konrad – z oczów jej patrzy.. większa nad wiek dojrzałość.

– O! to prawda – potakiwała ciotka Anunziata – ale w gospodzie, między obcymi, niepodobna się jej było długo dzieckiem uchować.

I pomruczała coś niezrozumiale ciotka, ruszając ramionami.

– Cóż to szkodzi, że trzpiotowata, wesoła i przebiegła – przerwała Cazita – wszyscy nam ciągle mówią, że jesteśmy przez mężczyzn oszukiwane; to lepiej, że się ma na baczności i gotuje do obrony.

– Czyż wszyscy mężczyźni – spytał Konrad – tak złą u was sławę mają?

– Ja nie wiem; przynajmniej naszego kraju panowie nie odznaczają się cnotą wierności i ciągle sama ciocia powtarza, ażeby się ich strzec, bo są wielcy oszuści.

– O! o! nie tylko nasi, moja kochana – dodała ciotka – wszyscy oni jednacy z końca w koniec świata, wszyscy czyhają tylko na zgubę naszą.

– Muszę się też ująć za płęć moją – odezwał się Konrad – nie wiem, jak tu w Wenecji się dzieje, ale u nas w Polsce myśmy dobrymi mężami i stałymi wielbicielami. Nie słyhać u nas skarg i żalów na mężczyzn, więcej może na rodzaj niewieści.

– O! to słowo w słowo jak wszędzie – rzekła Anunziata. – Kobiety na mężczyzn, mężczyźni narzekają na niewiasty, a słabsze my, zawsześmy pokrzywdzone.

Konrad się uśmiechnął. W czasie gdy ciocia sobie gderała, oczy młodych, niepamiętne przestróg siwizny, grały scenę z odwiecznego miłości dramatu, prolog ów czarowny poznania, cichą rozmowę pierwszą bez słów, a tak wyraźną. To ona, to on spuszczały źrenice, to ona wybiegała nimi gdzieś w dal, udając obojętność, to on patrzył w stronę, nie chcąc być natrętnym, a potem powoli wracali do siebie i usta się uśmiechały, i wejrzenia badały, i sprzeczały znowu, i godziły drżące a bojaźliwe.

– Wyście mnie obdarzyli kosztownym i pięknym upominkiem z waszego kraju – odparło dziewczę – ja nie mogę zostać dłużną, choć ubogim datkiem muszę się wam wypłacić. Mam i ja – rzekła – różaniec dla was, ale skromny, z konch naszych morskich, ubogi. Wszak macie siostrę? – dodała rumieniając się.

– Tylko jedną siostrę – rzekł Konrad, jakby zrozumiał pytania znaczenie – tylko siostrę jedną, ani matki, ani z kobiet nikogo. Ale my Polacy mamy zwyczaj i mężczyźni modlić się na koronkach.

Ciocia Anunziata zamilkła. Cazita dobyteła swój różaniec z morskich muszelek drobnych i zawstydzona, podała go Konradowi, który pochwycił jej rączkę i mimo że mu się wyrывała trochę, ucałował ją usty gorącymi. Pocałunek ten, pełen poszanowania, był zarazem tak pełny ognia, iż dziewczę usiąść musiało, tak się nim poruszonym uczuło. Cała jej twarz oblała się rumieńcem, ale oczy były wesołe, choć nie tak już śmiałe jak przed chwilą.

Szcześnie, wśród tej chwili zakłopotania głos powracającego z narady Bractwa Św. Rocha, kapitana Zeno dał się słyszeć na wschodkach. Rozradowane dziewczę podbiegło naprzeciw niego.

– Ojczel! ojczel! – zawołała – mamy gościa.

– Już wiem – rzekł kapitan.

– Jakim sposobem?...

– Na drodze spotkałem Zanara, a Zanaro wie o wszystkim, nawet dokąd płynie gondola jego gości, choć nikomu o sobie nie mówi... Witam was – rzekł, wstępując na próg – witam, ale ciocia Anunziata nie dopisze nam z rybą dzisiaj.

– Jużemy się ułożyli – podchwyciła dziewczyna – że Polak nasz musi na rybę przybyć raz drugi, i to rano.

– Juścić by się ryba znalazła – odpowiedziała ciotka – ale ani lada jakiej dać, ani lada jako nie mogę cudzoziemcowi, który może ją raz tylko w życiu jeść będzie. Chciałabym, żeby smak jej powiózł z sobą do kraju i całe życie go pamiętał.

– Nie potrzeba ryby na to, żeby mi gościnność wasza nigdy z pamięci nie wyszła – odpowiedział Konrad cioci, ale patrząc na siostrzenicę – nie zapomina się obcemu przyjacielsko podanej dłoni i tak miłego, jak wasze, przyjęcia.

Cazita wejrzała smętnie na niego.

– A cóż z waszą dalszą podróżą? – zapytał kapitan – macie-li już statek?

– O! nie jeszcze, nawet ani pewności, że pojedę; wszyscy się uwzięli mnie straszyć.

– No, to już i ja dodam swoją radę – rzekł Zeno – wiem z najlepszego źródła o morowym powietrzu w Jaffie wybuchłym; pójdzie ono karawanami po całym Wschodzie. Nikt teraz nie popłynie z Cypru do Aleksandrety ani do Trypolis. Potrzeba wędrówkę pobożną odłożyć na raz inny.

– Ale czyż to rzecz pewna? – spytał Konrad.

– Tak pewna, że ja, com zamierzał znowu na Wschód płynąć, dalej jak do Cypru nie sięgnę – rzekł Zeno – nie chcę ani ludzi tracić, ani sam na pewną niemal śmierć narażać... i wy zostańcie w Wenecji. Na Boże Ciało, jak zwykle, karawana pielgrzymów nie wyruszy, odstraszy ich powietrze... Potem, potem już nie ma zwyczaju wybierać się do Ziemi Świętej i nie ma tak dobrych zręczności, posiedzicie chyba do drugiej wiosny.

Konrad posmutniał, spuścił głowę.

– Sam jeszcze nie wiem, co zrobię – rzekł – pojedę do Padwy, poszukam, czy mi tu jacy, choć dalecy krewni nie zostali, zobaczą choć ten dom, w którym się pradziad mój urodził i wychowywał, a potem... – spojrzał na Cazitę ukradkiem – zobaczymy! Trzeba też będzie i do domu powracać!

– Tak prędko? – spytał Zeno – tak prędko? a po cóż było jechać? musicie przecie poznać *Venezia la bella*, swoją dawną ojczyznę, a jeśli zechcecie tylko obejść kościoły, podziwić się obrazom, przypatrzeć ludziom, pokłonić pięknościom, obejrzeć cuda... dużo na to czasu będzie potrzeba.

– O Wenecja! – prędko przerwała Cazita – gdybyście weszli tylko na wieżę u San Giorgio albo Św. Marka, gdzie tak wygodnie bez wschodków można tańcząc zabiec, dopiero byście zobaczyli, jaka rozległa, jaka cudowna, ile kościołów, placów, a wszędzie pamiątki, co krok osobliwości. Wszystko przecież obejrzeć musicie.

– Będę się starał – rzekł Konrad – i nie zbywa mi na ciekawości, ale smutno, że do Ziemi Świętej się nie dostanę.

– E! życie długie! – przerwał Zeno – nie teraz, to potem... wyście młodzi, zresztą rok upływa szybko, szczególnie w Wenecji i w waszym wieku... na przyszłą wiosnę o morze sły-chać nie będzie. Tylko dałbym wam jedną dobrą radę – dodał kapitan, ale się zawahał.

– Proszę o nią – rzekł Konrad.

– Jeśli dłużej tu pobycie – zniżając głos dodał Zeno – czy koniecznie w gospodzie przebywać musicie? Zanaro jest zapewne wśród oberzystów dobry jeszcze człowiek, ale nikt od niego z nie opróżnioną nie wyszedł kieszeni. Poczciwy, ale filut. Nie chciałbym mu krzywdy czynić, pozbawiając tak dostojnego i pożądanego gościa, jednak wolę wam niż jemu uczynić przysługę.

– Znaczej gdzie lepsze miejsce? – zapytał Konrad.

– O! ja... nie, ale później, gdy się z miastem obeznacie, nad Canal Grande pełno domów pustych, a w domach rodzin zubożałych, znajdziecie łatwo do najęcia kątek i stół taniej niż u pocziwego Zanaro, który przywykł trochę ze skóry odzierać.

Konrad ścisnął za rękę kapitana, uśmiechając się...

– Dostrzegłem ja to już sam – szepnął – ale obcemu w miejscu nieznanym, trudno sobie dać rady...

– To się obeznacie – odparł kapitan, jakby się nagle pomiarkował; – zresztą niepilno to jeszcze... a Zanaro was nie puści łatwo...

Gdy ojciec to mówił, twarzyczka Cazity to rumieniła się, to bladła, spodziewała się podobno innego końca rozmowy... ale ojciec surowo spoglądał na nią i nagle przerwał...

Ciocia Anunziata wyprowadziła Cazitę na jakąś naradę, zapewne względem ryby i zaproszenia Polaka na śniadanie, aby już raz się go pozbyć, a Zeno dodał, obejrzawszy się, gdy zostali sami:

– Nie chciałem tego mówić przy córce, ale Zanara nie darmo zowią gondolierowie Il Gran Ladrone, lis to szczwany, a wyście młodzi; pełno u niego pięknych twarzy, gdy takiego jak wy mającego gościa potrzeba przytrzymać... miejcie się na baczności... Nawet córki się popsuć nie obawia... stary wyga... ale... dość...

Weszła Cazita z ciocią.

– Otożeśmy uradziły – zawołała – na przyszły piątek będzie doskonała ryba, Pietro wcześniej ją zamówi i starego, pocziwego rybaka... więc prosiemy cavaliera na piątek przed południem.

– Tylko się proszę nie późnić, bo ryba zła będzie – zawołała ciocia Anunziata – a już ją sama muszę przyprawiać, bo mi chodzi, aby była taka, jaką aniołowie tylko jedzą w niebie.

– Jeśli w niebie jedzą! – rzekł uśmiechając się Zeno.

– A juściz! – ofuknęła na to niedowiarstwo ciocia – spodziewam się, że muszą, jeśli gdzie, to tam być z postem i rybą!

Pewną będąc, że obroniła religijnego dogmatu, ciocia przybrała minę surową... Cazita uśmiechała się dziwnie, Zeno spuścił oczy.

Nasz gość spojrział przez okno; widział, że wieczór szybko nadchodzi; jemu oddalić się wypadało, a tak tęskno, przykro było ten cichy kątek i tych pocziwych ludzi i te oczki, co mu tyle mówiły, opuścić. – Wziął za kołpaczek...

Cazita spojrzała i dużo tam coś przez wejrzenie jej skromne weszło do jego serca. Nie było to dziś owe trzpiotowate, wesołe dziecko, które pierwszy raz z takim *brio* wyskoczyło na pokład okrętowy; jakąś mgłą zamyślenia zachodziły czarne jej źrenice, czoło powlokła zaduma, a choć usta się uśmiechały, to jakby tylko ze starego nałogu. Ledwie dosłyszane westchnienie spod warg koralowych się wyrwało.

Konrad żegnał do piątku, Zeno, wzięwszy swą domową czapkę czerwoną wenecką, odprowadzał do gondoli, a z okienka spomiędzy zielonych liści cytryny i winnej latorośli twarzyczka nań patrzyła Cazity, to się chowając, gdy się ojcowskiego wejrzenia spodziewała, to błyskając oczkami, gdy mogła go uniknąć, a spojrzeć jeszcze na piórko u kołpaczka...

– O! niegodziwy – rzekła sobie w duchu – niegodziwy! nie klęka, nie zaklina się, nie płacze, nie mówi, prawie nie patrzy, a czaruje mnie oczami! I tak po nim tęskno, jakby już w niebie Madonna nasze pierścionki pomieniała!

Konrad rzucił się w głąb gondoli na czarne poduszki i doświadczył po raz pierwszy, jak w tej łódce marzyć dobrze kołysanemu falą, niesionemu wiosły szybkimi.

Ani się spodziewał, gdy go wysadzili na Riva, naprzeciw tej „Croce di Malta”, która wraz ze swym otoczeniem, po małym domku na Lido, wydała mu się niemal brudną, a nadto gwarliwą i nieznośną gospodą.

W progu stała śmiejąca się Magdalenka, szpiegując powrotu, a Maciek, zamyślony, z kłuczami, oparty o uszak, oczekiwał także na pana, medytując nad swą przygodą. Dziewczę z tego niemego Polaczka, młokosa, śmiało się i rade było z nim pofiglować, ale Maciek tą razą był poważny, jakby wrócił z cmentarza. Myślał o szewcu... a co gorzej o diabelskich czarnych oczach tej królowej neapolitańskiej, którą widział na progu sklepiu u szewca.

– Co mi pan dasz? – spytała Magdzia wracającego – jeśli zgadnę, gdzie byłeś?

– Niewielka to sztuka – odparł Konrad – gondolę widać z daleka, a panienska jesteś zbyt grzeczną, żebyś nie dorozumiała się, że będąc winien wizytę, oddać ją musiałem.

– *Poverino!* – litując się, rzekła Magdusia – biedaczek! musiał! prawda! Jak spełnienie tej powinności drogo kosztowało? nieprawdaż? – I poczęła się śmiać.

– Za co mi dokuczasz? – spytał Konrad w dobrym humorze – ojcu się poskarżę.

– Znać, żeś nie Wenecjanin – dodało dziewczę figlarnie – bobyś nie skarżąc się nikomu, czternastoletniej dziewczynie dał naukę, ale teraz to już z tego nic nie będzie, bo ucieknę...

Uśmiechnęła się, wyciągając szyjkę ku niemu, i już jej nie było.

– Nie wieszysz temu, kto na jej białe ząbki popadnie! – rzekł do siebie Konrad. Ale wtem zobaczył stojącego, jak na pokucie, Maćka, osmutniałego widocznie, i spytał go po polsku, lekko zakręciwszy za ucho:

– Cóż ci to chłopcze? czyś chory?

– A! gdybyć chory! proszę pana, to by to jeszcze nic – rzekł Maciek – człek by się wódki z pieprzem napił albo co, to by i przeszło, ale tu w tym mieścisku, to człek z rozumu zejdzie.

– No! co ci tam nowego?

– A cóż proszę jaśnie pana, tać to i jo miałem już awanturę!

– Ty? awanturę?

– Juści się przed jaśnie panem taić nie będę, jeszcze mi się we łbie kręci.

– Całyś wyszedł? – spytał troskliwie Konrad.

– E! no, jeszczeć mi nic, tylko po głowie świdruje.

– Gadajże, co to było?

Maciek wziął klucze i prowadząc pana do mieszkania, tak począł:

– Jak jegomość poszli na obiad, przyznaję się, że mnie skorciało troszkę sobie wyjść na powietrze, zwłaszcza że pod oknami drab baba w bęben biła, a jak żyw nie widziałem takiej okrutnej kobiety i jeszcze z bębniem, tak ja myślę sobie, wyjdę ino na próg; ale nimem się z tych przeklętych wschodów stoczył, już nie było kobiety ni bębna. Nudno mi się zrobiło, myślę sobie, pójdę przed Św. Marka zdrowaśkę zmówię, co mi ma być? Ta i poszło się... Popatrzyłem na kościolisko, straszecznie bestia piękna, ino nie rozumiem, dlaczego na nim świnię namalowali, otoczywszy złotem...

Konrad się począł śmiać.

– Ano, to tam fracha ta świnia, z przeproszeniem pańskim, ale proszę no posłuchać, co dalej... Stanąwszy ja przed kościołem, myślę sobie, gdyby człek trochę się po ziemi przeszedł, bo aż nogi pozakłękały, tylko się ustawicznie pływa a pływa... A co mi się ma stać, jak pójdę w uliczkę króciuszko i nazad powrócę? Zegarzynsko było, a figurki na nim tańczyły, gdyby w szopce; nacudowawszy się idę, ta idę, patrzę, drab okrutny jakiś za mną. A co mi tam do niego? myślę, on idzie, ja idę, idziewa we dwóch, ta i po wszystkim... Ano czegoś idąc bestia prychna, a ociera się blisko, widocznie szuka racji. Trzeba jegomości wiedzieć, że ja mu temu chłopu, daj Boże brodą do pasa dostać, tak to wyrosło niepoczciwe jakieś zielsko... ale, myślę ja sobie, żebyś ty był jak ta wieża, to ja cię się nie zlekne. Idę w uliczkę, a dziwuję się łachmanom i ciasnocie, bo co brudno to brudno, kiedy ja sobie najspokojniej się gapię, ten mnie pod bok i jak zacnie krzyżeć a łajać, a wydziwiać! Jezu Mario! prawda, że nie rozumiał, tylko jedno *canaglia*, ale jam tego do siebie nie brał, tylko do kanałów, ale też go nie poszczędziłem i jak pocznę sypać mu od kpów albo jeszcze lepszego, tak tylko co do bójki nie przyszło... Ale drab noża dobył, a przy mnie i kozika nie było, myślę sobie, aby co złapać, to mu cisnę w chrapy... A tu jak się pocznę obdartusów ciżba, dzieci, bab, różnego luda cisnąć, tłok, tak ani się ruszyć. Widzę, że będzie źle, bo gromada na jednego, toć pewnie swój za swoim pociągnie, i już tylko patrzę, gdzie by się przyprzeć, aby z tyłu mnie nie wzięli, aż wylatuje mały szewczyzna, stary, w okularach ze sklepiku pod bokiem. Ino popatrzał, kiedy nie chwyci mnie, i cisnął do kramu, a drzwi zatrzasnął.

Pomiarkowałem, że tu już był bezpiecznym... dopierom odetchnął... widać Pan Bóg się ulitował, że mi tego starowinę zesłał. Stary, słyszę tylko, ode drzwi jak pocznę sam łajać, lud mu się zaraz ustąpił; kiedy powróci do izby, proszę jegomości, o mało na wznak nie padłem, wszak po polsku do mnie zagadał.

– Co pleciesz! – krzyknął Konrad – szewc Włoch po polsku?

– A toż to jest, proszę jegomości, że Włoch, a nie Włoch, nie przymierzając, jakby to sam pan, co Polak a nie Polak, tak i to... bo z Krakowa rodem.

– Czy ci się śni?

– Ale ba! kiedy mnie aż tu przyprowadził i dobrze nałajał, za com z domu się sam ważył... A com jeszcze u niego widział – dodał ciszej.

– Coż się ty tam zobaczył jeszcze? – spytał Konrad.

– Ano, taką dziewczynę, z pozwoleniem pańskim, że jak żyw jeszcze podobnej nie śniłem nawet... ino że to nie dziewczyna, a on powiada, że królewna neapolitańska...

– Zwariował – rzekł poważnie, z politowaniem Konrad, przystępując do niego – zwariował albo się upił.

– Nie, proszę jegomości – odparł smutnie Maciek – jeśli to wariacja, to nie wiem, ino mi się nie zdaje... ale co wina, to nie tykał!

– Gdzież? co? jak?

Maciek począł na nowo.

– Co ja tu z tobą będę bałakał – zawołał Konrad, biorąc kołpak – trafisz do szewca?

– A jakby nie! – porwał się chłopak – choć po nocy.

– Prowadź! – rzekł krótko Lipiński.

Nie tracąc chwili, wyszli z gospody. Węgrzynek przodem biegł, oglądając się na pana. Mięli wieżę i bramę, weszli do Mercerii, ale tu już trochę zmierzchało. Gdzieniedzie błyskały lampki pozapalane pod obrazami Madonn. – Maciek z daleka poznał na wschodkach siedzącego swego szewca, a poza nim o stopień wyżej, przecudowną, czarnobrewą Mariettę.

– Otóż i on, i królewna neapolitańska – krzyknął do pana.

Ale ledwie ją mógł obejrzeć Konrad, szewc, który chłopaka poznał, skinął na córkę, aby uszła, i dziewczę musiało się skryć w głąb domostwa, przez szparę tylko posyłając ku przybyszom wzrok ciekawy.

– Panie majstrze! – krzyknął Maciek – oto i mój pan.

Szewc wstał, zdejmując czapeczkę.

– Przyszedłem wam sam podziękować za to, żeście mi chłopca szalonego nie dali stłuc na miazgę; alem zrazu całej historii mało wiary dawał.

Jakub skinął, aby weszli. Niespodzianie przystąpiwszy do drzwi, zetknął się z ciekawą Mariettą, która do drugich uciekła. Tymczasem goście weszli do sklepiku, gdzie już lampka tłała przed Najświętszą Panną i Św. Antonim. Tu dopiero, gdy za sobą zamknął od ulicy, do kolan się schylił pan Jakub przybytemu, a czule i z serca; od wielu lat stroju i twarzy swojej nie widział, nie słyszał mowy, naraz odzywało się w jego duszy, co dawno miał za umarłe, i łzy mu powoli ciekły z powiek, ale ich za okularami nie było szczęściem widać. Stał fartuchem stolek i posadził na nim pana Konrada... głosu mu brakło zrazu na powitanie.

– Bóg wam zapłać – rzekł wreszcie – że ubogą dziurę moją chcieliście nawiedzić. Chłopiec nie skłamał, Polak jestem, ino dawno ze swojej się ziemi wyszło, a długo po obcych włóczyło, dużo biedy najadło i biedzie się jeść dało, aż tu wiatr przypędził na tę smrodliwą uliczkę, na stare lata; ale to, mój dobrodzieju, swoja już chata, po nieboszczce żonie, po której mi ino ten muru kawałek i córka została.

Szewc mówił i płakał, język mu się plątał z radości, że swoją mową się mógł odezwać, a co chwila za kolano ścisnął Konrada.

Tymczasem Maciek, stojąc w kącie, dopatrzył szpary we drzwiach, a w szparze czarnego oka i taki był do niego pobożny, jakby się obawiał utracić jednego wejrzenia. Odbywało się to w sekrecie; szewc był zajęty gościem.

Z szewca nietrudno było dobyć jego przygody; po długim odpoczynku język mu świerbiał, jął więc opowiadać, i jak z Krakowa uciekał, i jak na Szląsku się bawił, i jak potem, podniemczawszy, do Wiednia się dostał, a koniec końcem zawieruszył aż do Wenecji. W historii tej w istocie wiele było biedy, trafunków, ale co najosobliwsza, że niepozorny szewczyzna znalazłszy służbę u wdowy pani majstrowej Nani, na ostatek ją poślubił, a ta mu kamieniczkę, prawda tylko o dwóch oknach od ciasnej uliczki, zostawiła wraz z córką. Od ożenienia swego Nanim się nazywał i tak go tam już ludzie ochrzcili, a zwłoszczał i przywykł do swojej budy, tak że tu już czekał, rychło mu wybije ostatnia godzina.

Jedyną troską była córka Marietta, i nadto piękna, i niezmiernie, jak ją nazywał, ciekawa.

– Toć to pewnie ta – rzekł ciszej Konrad – co mi ją Maciek nazwał królową neapolitańską.

– A cóżem mu miał powiedzieć – odparł szewc – tak mi ją oczyma jadł, żem musiał go czymś odpędzić.

Nuż tedy rozpytywać, nuż w gawędę; a szlachcic, jak się stęskni za swymi, czemu by i z szewcem pogawędzić nie miał; dosyć że tak poszło do nocy. Tylko że w Wenecji, zwłaszcza wiosną, nocy nie znają, rychlej we dnie zasną. Maciek przez szparę ode drzwi patrzył ciągle, mało nie oślepl.

Powiedział też i szlachcic majstrowi, jak i po co przybył, co go tu sprowadziło i jakie miał nadal zamiary.

Nani głową pokręcił.

– Do Ziemi Świętej ani myśleć, kiedy wam tu już prawią, że mór panuje – rzekł powoli – ale i tu wam trzeba ostrożnie, bo miasta nie znacie, a choć ja sam w nim jak swój już, ale straszniejszej jamy dla cudzoziemca nie ma – dodał – jak Wenecja. Świeci się to, świeci, a wesoło wygląda; mało kto jednak bez płaczu stąd odjechał. Kobiety – wyjąwszy moją żonę nieboszczkę, a daj Boże, córkę – istne diabły... młodemu człowiekowi chyba z zawiązanymi chodzić oczyma.

Konrad się uśmiechnął i westchnął razem.

– Gospodarza też spod „Krzyża Maltańskiego” – mówił szewc – znam dobrze... ano! i o tym by dużo gadać jeszcze. Zabić, nie zabije, jak to się tu w tych Włoszech trafia często;

okraść, nie okradnie, ale z kieszeni wyłudzić i za poły różnymi sposobami w domu przytrzymać potrafi. Więc się jegomość strzeż, chceszli na czas i cały do domu powrócić – dodał szewc.

– No! a wy? toć pewnie też myślicie kiedyś na swoją ziemię wrócić także?

W milczeniu podniósł głowę Nani... Łzy mu płynęły ciche po fałdach wyżółkłej twarzy.

– Marzyło się to – rzekł – dawniej, niegdyś, marzyło, z dnia na dzień odkładało, ale mój dobrodzieju, postaw ino człowieka na jakiej chcesz ziemi, to jak drzewo do niej przyrośnie, już go potem chyba wichur wyrwie z niej. Jeśli się zatęskni, to się obraca jak słonecznik w tamtą stronę, z której wyszedł, ale oderwać się... nie ma sposobu. Mnie tu i dziecko i ten kawałek muru przykuł; co ja bym robił z tą dziewczyną, jakbym ją na suchy ląd wyprowadził... ona by zmarniała, a ja z nią. I po co tam iść? ino groby... A kto by tam człowieka poznał? Gdyby w zaduszny dzień ludzie wstawali, to jeszcze...

Spuścił głowę stary, okulary mu spadły, podniósł je i otarł milczący. Panu Konradowi zrobiło się też czegoś smutno; a że mu się różne rzeczy po głowie snuły, znalazł się na języku i kapitan Zeno.

– To wy zapewne znacie już tu całe miasto, od tylu lat mieszkając?

– Tak, prawie jak całe, bo człek – rzekł szewc – należy do bractwa, do cechu, do swojej gminy, to się tam różni ludzie spotykają.

– A z innych wysp? – spytał Konrad.

– Gdzie niektórzy znajomy – odparł Nani – ale o kogoż pytać chcecie?

– Tak, dla ciekawości, o kapitana Zeno.

– O tego, co ma ładną córkę! dom na Lido! nie znałbym go – odpowiedział szewc – ale koło jego domu zawsze się jarmark sadowi co rok, a ja mojej Marietty byle jarmark i odpust nie utrzymam i na łańcuchu... Samej nie puszczę, muszę się z nią stary wlec, boby to przepadło między ludźmi, żeby człek nie pilnował. Otóż jak i znam kapitana i Cazitę! Ej! ej! – dodał – już tam wasze oko padło, ot i bieda!

– Nie posądzajcie, bo nie ma ani o co, ani dlaczego – zawołał Konrad – prosta to ciekawość, przybyłem tu na jego statku.

– I z córką, jakbym się patrzył – szepnął szewc – nie chybi...

Konrad się uśmiechnął; Nani patrzył z politowaniem jakimś.

– O! miły Boże! – zawołał – toście wy przepadli...

– Nie bójcie się, nie bójcie – począł się bronić Konrad – nic się złego, uchowaj Boże, i nie stało, i nie stanie... Cóż mówią o kapitanie Zeno?

– To poczciwy człowiek – rzekł jakby mimo woli Nani – nic nie mówią, bo złego nie mogą ludzie, a dobrego mówić nie lubią... Tylko to wiem jedno – dodał po chwili – że stara ciotka Anunziata ma krewniaka, wielkiego zawadę, który gdzieś mieszka na lądzie niedaleko... i tego chce z Cazitą ożenić...

Konrad nic nie odpowiedział, ale mu się zrobiło jakoś przykro.

– A co mi tam do tego! – zawołał – niech ich sobie żeni, kiedy chce...

To mówiąc wstał.

– Bóg wam zapłać – rzekł – żeście mi chłopaka ratowali, gdybyście co ode mnie przyjąć chcieli...

Szewc skoczył jak oparzony.

– Stój! paneczku! stój, nie rzecz słowa, którym byś mi popsuł radość widzenia Polaka. Choć chudopacholsko wyglądam, ale...

Uderzył się po boku...

– Jest tam cekinów para... Chcecie mi dowieść dobrej woli?

– Ano? i owszem, o to chodzi – rzekł Konrad.

– Więc mi się dajcie odziać ino i nie powstydzcie się przyjąć moje zaprosiny, wypijemy razem *fiascone* dobrego wina, które ja tu znam pod Prokuracjami u starego Castiglio? no co?

– Zgoda! – zawołał Lipiński – który choć staropolski szlachcic, na cudzej ziemi już się czuł bratem, choćby szewcowi Polakowi. Inaczej by może było w Polsce, ale w Wenecji...

Szewc pobiegł, a tak chyżo, że dopadłszy drzwi, nim Marietta od nich pierzchnęła, odkrył wielką jej zbrodnią, oczkowanie nieprzyzwoite z Maćkiem; był gniewny, ale popędziwszy dziewczynę, odłożył gderę na jutro, a sam się co rychlej przystroił...

Wyglądał tak na Wenecjanina, żeby go nikt w świecie nie poznał, iż się nad Rudawą gdzieś rodził, a włożył suknie od niedzieli, aksamitne z guzami, i czapkę nową zwieszistą, i buty nowe, aby ziomkowi wstydu nie zrobić...

Maćka zaraz z rozkazem pilnowania domu odprawił Konrad, a sam z majstrem, pełnym poufałego uszanowania, poszedł pod Prokurację. Znaleźli wiechę starego Castiglio, który im przy stoliczku na placyku Św. Marka, naprzeciw swojego domu, wystawił ową *fiascone* wi-na...

Noc, bo już się było późno zrobiło, prześliczna, gwiazdzista, księżycowa, półprzeźroczy-sta, orzeźwiająca, wywabiła z domów, co żyło na placyk Św. Marka. Roił się ludem jak nigdy we dnie. Strojne kobiety, kawalerowie, podżyłe damy, duchowni wszelakiej barwy, mnóstwo cudzoziemców w strojach malowniczych snuło się po marmurowych posadzkach placu, który na tę ciżbę wydawał się za mały.

Wszystko się rozbudzać zdawało dopiero do życia. Kuglarze pokazywali sztuki, muzycy próbowali głosów, niewiasty o złocistych warkoczach wabiły oczyma, śmiechy, gwar, rozmowy, śpiewy rozlegały dokoła, a Św. Marek, osrebrzony księżycowym światłem, patrzył na swe dzieci, staruszek, zza kandelabrow, w których zwinięte dawnych posiadłości drzemwały sztandary. Tu dopiero życie ludu weneckiego poznać było można, charakter jego, wesołość, przebiegłość i cnotę, i zepsucie. Bo też jednej i drugiego było zarówno.

Patrycjusze ocierali się o gmin, urzędnicy o nędzarzy... wieczór, chłód i wesele na chwilę równały wszystkich. Nani był doskonałym tłumaczem dla cudzoziemca, wiedział on historią niemal wszystkich zrujnowanych patrycjuszów, którzy po nocy jeszcze wyglądali na magnatów, a za którymi nie widać już było dawnej ciżby klientów; nazywał po imieniu tych, co niedawno wkupili się do złotej księgi za sowitą opłatą, pokazywał kobiety sławne z wdzięków i zalotów, opowiadał dziwne przygody młodych i starych, usta mu się nie zamykały, zwłaszcza gdy trochę je wino w żywszy ruch wprawiło.

Konrad słuchał... był oto dłań nowe i po trosze przestraszające, nic podobnego w kraju o uszy się jego nie obilo; dumął na tym ludem, tak jakoś inne, szumne i niebezpieczne życie wiodącym... Szewc paplał, ale mówiąc, spoza okularów rzucał oczyma na wsze strony tam i sam i znać coś dostrzegł, co uwagę jego zwrócić musiało, bo się parę razy wzrok jego pod ciemnymi galeriami Prokuracji zatrzymał i poszedł, a śledził kogoś i wracał niespokojny.

Konrad zajęty widokiem placyku i zabawy, nie uważał na to i nie zobaczył też signora Zannaro, który zza kolumny ostrożnie palcem wyraźnie parę razy nań wskazał młodemu, słusznemu, przystojnemu mężczyźnie... Nieznajomy ten, płaszczem okryty, z kapeluszem na oczy nasuniętym, zdawał się uważnie wpatrywać w Polaka, i począł po chwili dokoła stoliczka, przy którym siedzieli, krążyć. ale zobaczywszy znać, że Konrad nie był sam, usunął się w tłum i zniknął.

Nani widział wszystkie jego ruchy, choć właściwym uznał udawać, że wcale nań nie patrzy; ale gdy po chwili nieznajomy przepadł, zapomniał o nim prawie...

Choć noc już była, nie chciało się odchodzić, tak wesoło tu było na placu Św. Marka. Zmniejszył się wprawdzie tłum, powoli część jego na Piazzetę, do gondoli, na Mercerie i w małe uszła uliczki; zostało jednak pod Prokuracjami przy latareńkach gwarzących par i gromadek dosyć i snujących się jeszcze postaci samotnych lub po kilka pozbieranych. Ale *fiascone* skończono, Konrad postanowił odejść, pożegnał uprzejmego szewca i skierował się ku „Krzyżowi Maltańskiemu”.

Nani powoli ciągnął ku swojej uliczce – niespokojny był, prawdę rzekłszy, zawsze o Mariettę, a tą razą ciężył mu jeszcze gniew nie wygderany na sercu.

Ledwie kilka kroków postąpił ku kościołowi Św. Marka Konrad, gdy w blasku księżycowych promieni niespodziane zatrzymało go zjawisko...

Ciocia Anunziata pod rękę z Cazitą. Cazita go poznała z daleka i prosto ciągnęła ku niemu, uśmiechnięta, wesoła. Ciotka zdawała się oburzoną tym zuchwalstwem, ale oprzeć mu się nie mogła; mimo wysiłków widocznych i targania na bok... Cazita już rzuciła – *Buona sera!* – w powietrze, Konrad je pochwycił i rozmowa się poczęła. Na twarzy Anunziaty malował się gniew płomienisty, ale milczący...

Poczęli przechadzać się razem.

– Nieprawdaż, że na całym świecie nie ma takiego placu, takiego kościoła, takiej nocy i tak szczęśliwego i wesołego ludu? – poczęła Cazita.

– A! przesłizne – odparł Konrad, zachwycony, nie umiejąc się już powstrzymać... włoskie nań znowu działało powietrze – ale mi się to wszystko dopiero teraz tak cudownym wydaje, gdy was tu zobaczył.

– O! kłamać niepięknie!

– Skłamałbym, mówiąc inaczej, grzeszyłbym, gdybym milczał.

– O! o! – przerwała Anunziata – w waszym to kraju, jak widzę, umieją kobietom pochlebiać.

– Myślałaś pani, że nam serca pozamarzały?

– Nie – zawołała ciotka – ale że się powolniej otwierają i że więcej szanujecie i uczucia, i kobiety.

– Sroga nauka! – rzekł Konrad trochę urażony – więc milczę.

Cazita spojrzała nań, płacąc mu wejrzeniem ciotczyne połajanie.

– Nie gniewajcież się, szanowna pani – dodał gość grzecznie – czasem się słowo wyrwie jak ptak z klatki.

– Nie trzeba drzwiczek mu odmykać, to nie polec! – rzekła ciotka poważnie – a co szkody narobić może! – Potrząsła głową. – Ej! ej! pusta z was młodzież, nie tak to za naszych czasów bywało. Mój nieboszczyk, świeć Panie nad jego duszą, pięć lat patrzył na mnie, słowa się nie ważąc powiedzieć.

– Szanowna pani – odparł Konrad – nie wszyscy mają tak dobrze zamknięte usta. Ale raczcie mi powiedzieć, przez te pięć lat czyście nie domyślali się nic? czyście go nie rozumieli tak dobrze, jak gdyby co dzień wam jedno powtarzał?

Ciocia uderzyła go z lekka wachlarzem po rękę.

– Cichoż! psotniku jakiś! cicho! bałamucie, gorszysz mi dziecko...

Ale czy ją wspomnienie nieboszczyka rozstroiło, czy łagodność Konrada znalazła w jej sercu furtkę do wyrozumiałości, dosyć że nie zważała prawie, iż Cazita po cichu, śmiejąc się, szeptała coś do Polaka, a Polak jej żywo, gorąco odpowiadał.

Ciotka zamyślona patrzyła na niebo gwiazdziste, szukając w nim może swojego nieboszczyka.

Rozmowy tego rodzaju, gdy je spisywać przyjdzie, należałoby notować jakimiś osobnymi znakami, tak je trudno ująć w słowa, określić znaczenie, które im uśmiech, głos, ruch nadają. Zostają one nawet w pamięci dwojga ludzi, jak jakaś muzyka, której się pomni melodią na zawsze, nie wiedząc, z czego się składała.

Ciocia nareście przypomniała oczekującą u brzegu na Piaziecie gondolę, a Konrad odprowadził je aż do łódki. I gdy wiosła odniosły na kanał gondolę, zapatrzył się na posrebrzone wody, na świecąca ognikami jak gwiazdkami Giudeccę.

Stał tak a patrzył, gdy go ktoś uderzył po ramieniu z lekka.

Odwrócił się, przed nim był płaszczem okryty, w kapeluszu na oczy nasuniętym, słusznego wzrostu mężczyzna, z postawy sądząc, młody... nieznajomy...

– Przepraszam – rzekł – pan mnie nie znasz, ja zaledwie wiem, żeś cudzoziemiec i kto jesteś, ale jeśli to panu zbyt przykrości nie zrobi, prosiłbym go o chwilę rozmowy.

Konrad nie był ani podejrzliwym, ani tchórzem, jakkolwiek noc była późna, a plac się opróżniał, miał swą szablę u boku, nie uląkł się więc bynajmniej dosyć podejrzanego zaproszenia.

– Służę panu – rzekł – ale mam ten zwyczaj, że lubię wiedzieć, z kim mówię, i chcę być znanym temu, kto mnie zaczepi. Jestem szlachcic wenecki i szlachcic polski Konrad Lippi de Buccellis... do usług.

Skłonił się.

Nieznajomy zdjął kapelusz z głowy i odkrył twarz piękną, młodą, męską, ogorzałą, rysów szlachetnych.

– Ja także – odparł – ani imienia się swojego nie wstydzę, ni ukrywać lubię. Jestem Gabriel Antonio Sabrone; nie szlachcic, ale obywatel wenecki i posiadacz kawałka ziemi należącego do Rzptej.

– Czymże służyć mogę szanownemu panu? – zapytał Konrad.

– Rozmową tylko, przejdziemy się jeno chwilkę po tym placu, który świeżo przebiegał pan w tak miłym towarzystwie. Rozmowa nie potrwa długo, jam wieśniak i człek otwarty.

– Słucham – rzekł Konrad.

– Ciocia Anunziata – odezwał się Sabrone – jest moją krewną po dziadzie, signora Cazita daleką moją powinowatą. Los i dobre imię ostatniej, jak się łatwo domyślicie, wiele mnie obchodzi. Wyraziłem się dosyć jasno?

– Dla mnie zupełnie dostatecznie – odparł Konrad. – Nie znam dobrze obyczajów waszego kraju, choć do niego należę, ale w czymże mogłem lub losowi signoriny, lub jej dobrej sławie zagrozić?

– Gdyby już groźnego co było – zawołał Sabrone – mówilibyśmy inaczej. We Włoszech, wy wiecie lub domyślacie się, nie tylko usta, w ostateczności i może mówić umięją... Nic jeszcze nie grozi, ale signore Corradino, szczerze... nie bałamucicie wy mi kuzynki?

– Nie miałem i nie mam tej myśli – odparł Polak. – W naszym kraju, w mojej przybranej, drugiej ojczyźnie, w Polsce, mężczyzna stara się poznać kobietę; jeśli mu się podoba, zbliża się do niej pełen poszanowania; jeśli ją pokocha, oświadcza się; jeśli kochanym jest, żeni się. My innych bałamuctw nie znamy.

Wyrzekł to z pewną dumą i zapałem. Sabrone poprawił kapelusz.

– To co innego – rzekł – jesteście więc na jakim punkcie tej ciekawej historii polskiego kochania?

– W przedmowie – odpowiedział Konrad.

– A gdy się dzieło nie podoba, myślicie je porzucić? he?

– Signore Sabrone – zawołał Konrad – jak się u was żenią? z zawiązanymi oczyma?

– Słuchaj, polski szlachcicu – kładnąc mu rękę na ramieniu, odpowiedział Antonio – jam wieśniak i nie dowcipkuję, powiem ci wszystko od razu... ja kocham Cazitę i chcę się z nią żenić.

– Dopowiedzże mi – rzekł Konrad – czy ona?...

– Ona! ona! – szepnęła ponuro Antonio – otóż nie wiem, ale ja, sam będąc, mogę mieć nadzieję... Jestem młody, trochę piękniejszy od diabła... i na Madonnę – dodał gwałtownie – ja ją kocham, ona mnie nie dziś, to jutro kochać musi.

– Signore Sabrone, tej racji nie rozumiem – z przekąsem trochę rzekł Polak.

– A ja ją rozumiem tak dobrze – szybko dorzucił Wenecjanin – że jeśli mi się koło niej plątać będziecie...

– To co? – spytał Konrad.
– Domyślcie się.
– Nie chcę się domyślać niczego, co by waszej czci uwłaczało; sądzę, że mnie wyzwiecie na rękę... no! to się bić będziemy.
– Jak? na szable? na rapiry? na szpady? na pistolety? – zapytał, szydząc, Włoch.
– Jak zechcecie.
– A! nauczcie się wcześniej bić na noże, bo ja inaczej nie umiem i walczyć nie będę. Signore Corradino! tak! my się nie bijemy inaczej! Ręka obwija się płaszczem, w drugą bierze się nóż, i...

To mówiąc, zza pasa dobył żelazo i przed oczyma Konrada błysnęła klinga krótkiego, ostrego sztyletu. Nie myśląc i nie zastanawiając się, Polak już miał w mgnieniu oka dłoń na szabli, sama mu ona wyskoczyła z pochew i świsnęła ku górze.

– Stój! gorączko! – rzekł, nóż chowając, Sabrone – to była tylko lekcja *coltellaty*, schowaj szablę do pochwy, aby cię zbiry nie ujęły. Bić się dziś jeszcze nie będziemy, ale... pamiętaj! do zobaczenia!

To mówiąc, oddalił się tak szybko, niknąc w galerii Pałacu Dożów, od którego stali niedaleko, że gdy schowawszy żelazo do pochew, Konrad się obejrzał, był już sam jeden, a wiatr od morza chłodnawą rozplomienioną twarz mu głaskał, jakby go chciał za niegrzeczność tego napastnika przeprosić...

Drżąc jeszcze podwójnym wrażeniem rozmowy z nią i z signorem Sabrone, Konrad powoli skierował się ku Rivie i swej gospodzie.

Wrota jej, niezbyt oddalone, pełne jakoś były ludzi... pochodni, zgiełku. Widocznie niezwykłego coś się tam trafić musiało. Konrad sądził, że signor Zanaro przyjmował pewnie najmniej jakiegoś udzielnego księcia.

Ludzie biegali żwawo, głosy się rozlegały, pośpiech jakiś i niepokój był widocznym. Trochę przytomniejszy, byłby Konrad poznał, że tu nie chodziło o przyjęcie niczyje, ale widocznie o przygodę nieszczęśliwą, bo z pośrodku zgiełku słychać było wyrzekania i przekleństwa, jęki i szlochy, krzyk gospodarza, płacz gospodyni, głośnie łajania i swary.

– Cóż to się tam stać takiego mogło? – spiesząc, pytał się sam siebie Konrad.

Gdy się o kilka kroków do gospody zbliżył, mógł już rozeznaczyć w pośrodku tłumu złożonego z całej niemal ludności domu, zwiększonej parkanem przechodnym od ulicy, kawalera Gerardi z najokropniejszym gniewem wybuchającego przeciwko panu Zanaro, który z założonymi na piersiach rękami, cierpliwy, wspaniałomyślny, wielki majestatem spokoju, znosił krwawe miotane nań obelgi... Poza nim stojąca żona, podparta w boki, gniewna, szarpała na sobie suknie, a Magdusia rada, że na coś przydać się mogła, czynnie walczyła z napastnikiem. Doktor Niemiec i Maciek należeli do spektatorów, razem ze służbą i mieszkańcami gospody. Na uboczu stał błądź, stronę kawalera trzymający widocznie, principe Alessandro di Ponte-Vecchio, ale mało się mieszał do waśni. Nie widać też było signory Zenobii Boccatorra, przyszej śpiewaczki, *prima donna assoluta* cesarskich teatrów...

– Nie myśl, stary szalbierzu – wołał kawaler Gerardi – aby ci tym razem bezkarnie ująć mogło. Wiedziałeś niezawodnie, mam dowody, żeś pomagał do ucieczki Zenobii z Polakiem. Złapiemy ich oboje... pomścimy się zniewagi cesarskiego posła, upomnim u Rzeczypospolitej. Natychmiast wysyłam skargę do doży, do Rady Dziesięciu, kuriera do Wiednia, szpiegów na wszystkie strony, dopędzimy, dostaniemy ją spod ziemi...

I kawaler Gerardi tupął nogami, skakał w miejscu, łamiąc ręce.

– Wielmożny pan wiesz, że za signorę Zenobią zapłaciłem długów trzy tysiące talarów bitych, że dałem jej na ręce dwa tysiące cekinów na garderobę... a podróż... a moja powaga... Gdyby nie współnictwo wasze, nigdy by nie mogła nawet zdrajczyni pomyśleć o ucieczce!

Ale to nie ujdzie bezkarnie! to nie przejdzie ci lekko! mospanie Zanaro ani dumnemu temu Polakowi, który tak dobrze grał rolę niewinnego i obojętnego!

W chwili gdy Gerardi mówił o Polaku, Konrad przebił się przez tłum i ukazał oczom wszystkich... Kawaler Gerardi poskoczył ku niemu zajadle zrazu, ale widząc go spokojnym i zdziwionym tylko, obejrzał się wkoło i wstrzymał.

– Gdzie jest signora Zenobia? – zawołał, nieco zmieszany, do Konrada – pan, pan musisz o tym wiedzieć.

– Ja sędzę, że pan byś to raczej wiedzieć o tym powinien – odparł Polak bardzo spokojnie.

Zanaro, wzięwszy się za boki, począł serdecznie śmiać. Gerardi wybuchł nowym gniewem i przyskoczył do niego.

– Ty! ty mi odpowiesz za wszystkich!

Niektórzy z otaczających poczynali się śmiać także, co nadzwyczaj jątrzyło małego garbusa, nie wiedzącego już, co począć. Zwrócił się znowu do Polaka.

– Gdzie jest signora Zenobia?

– Bardzo mi przykro, że panu na to odpowiedzieć nie umiem, ale z jakiego powodu sądzisz pan, że ja o tym wiedzieć mogę lub powinienem?

– Wszystkie pozory są na pana! oddalenie się jego... tajemnicze porozumienie!

– Moje? kiedy? z kim? – spytał Konrad.

– Oszalał! – wołała tymczasem gospodyni – oszalał! a czemuś kobiety nie umiał pilnować! ha! stary sopranisto, którego za stróża dają pannom dojrzałym! Czemu swego obowiązku nie pełnisz jak należy, chodząc pod patynkiem swej belli?

– Ta kobieta mnie znieważa! – krzyknął, porywając się do szpady, której nie miał u boku, Gerardi.

Magdusia powtórzyła jego ruch, szukając niby także szpady u swego boku i stając w gotowości do pojedynku; śmiech homeryczny rozległ się dokoła.

Principe del Ponte-Vecchio, który milcząco przypatrywał się tej scenie, widząc, że przyjaciel jego, Gerardi, o mało nie dostaje konwulsyj, ujął go za rękę powoli i odprowadził na bok, starając się uspokoić, szepcząc mu coś do ucha.

– W istocie Gerardi usłuchał jego rady i z wolna z nim razem wysunął się z tej kupy ludzi, widocznie bardzo dlań nieprzyjaźnie usposobionej.

Zanaro stał jeszcze w heroiczej swej postawie obrażonego na honorze, z dumą znoszącego obelgę, która go dotknąć nie mogła, człowieka. Magdusia szydziła, jejmość za ich dwoje się gniewała, słudzy żartowali i śmieli się.

– Na Boga, cóż się stało? co chciał ode mnie ten człowiek? – zapytał Konrad – co to jest? co to znaczy?

– Eccellenza! – zawołał patetycznie oberżysta – to znaczy, że signor cavaliere Gerardi jest szalona pałka i że ludzie zawsze są niewdzięczni, a sami będąc winni, grzech swój na cudze radzi zwalają barki... signora Zenobia Boccatorra znikła, posądzono pana, żeś ją uprowadził, bo pana jednego brakło. Znikła nie tylko osobą swą, ale z garderobą, cekinami i całym mie-niem, należącym po części pono do wysłańca i szkatuły Jego Cesarskiej Mości. Interes brzydki! ohydny, a do tego niebezpieczny. Lecz że się to trafiło na terytorium Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, nie idzie zatem, by cesarz wydał nam za to wojnę... Kawaler Gerardi, sopranista, jak moja żona powiada dowcipnie, dodany za stróża, źle spełniał swe obowiązki, dał się, cerberem będąc, uwieść słodkim, miodowym słówkom panienki, pozwalał jej samej jeździć, kędy się podobało... Zaszły zapewne znajomości i ktoś, co sopranem nie śpiewał nigdy, porwał jejmościankę i uwiódł... kędy? To wiedzą tylko gwiazdy przyświecające ich podróży.

To mówiąc, Zanaro się chytrze uśmiechał; znać było, że w tej ucieczce, która z tłumokami tak cicho się spełniła, i on udział mieć musiał potajemny, ale zapłacony, milczał...

Najmniej Gerardi posądzał księcia de Ponte-Vecchio, a przecież... co znaczył bilecik przy stole? Z drugiej strony, jakim sposobem, gdy Zenobia znikła, ów książę spokojny pozostał i towarzyszył jako pocieszyciel obżałowanemu kawalerowi?

Były to tajemnice weneckie, intrygom owych czasów i tego miejsca właściwe, których Konrad w prostocie ducha ani się nawet silił odgadnąć.

Posłano po farmaceutę i cyrulika, aby przerażonego kawalera uspokoił lekarstwami, a wedle metody włoskiej i krwi mu przede wszystkim upuścił. Nikt tak starannie nie chodził około nieszczęśliwego, jak ów zacny książę de Ponte-Vecchio, który sam go wyreczył w porzysłaniu depeszy, kurierów, doniesień i nie położył się spać, aż ujrzał nieco uspokojonego posła cesarskich teatrów, błogim snem po małej dozie opium odpoczywającego.

Naówczas rzucono tłumoczek jego do gondoli, Zanaro odprowadził do brzegu, widziano, jak coś chował do kieszeni – a zręczni wioślarze popędzili przez Canal Grande i mniejsze uliczki wodne w jakiś ciemny z nim zakątek.

Mówiono, że nazajutrz przez Padwę przejechało bardzo szczęśliwych młodych ludzi dwoje, których śmiechy wesołe słycać było na staję od wiozącego ich weturyna.

Ale przebudzenie kawalera Gerardi było nader smutne. Spał wprawdzie blisko do południa, ciężkim snem zmorzony, lecz gdy oczy otworzył, pierwsza rzecz, którą ujrzał, były depesze wczorajsze i listy powyprawiane, jak sądził, spokojnie na stole leżące. Służący, którego zawołał, domagając się swego przyjaciela księcia de Ponte-Vecchio, oznajmił mu, że ów książę jeszcze wczoraj wieczorem, nie wiadomo dokąd, odpłynął... list tylko zostawiwszy. Rzucił się na to jedno chciwie Gerardi, ale jakże okrutnie zdziwić się musiał, czytając w nim:

Najszanowniejszy Panie!

Signora Zenobia Boccatorra i ja składamy ci najpowinności dzięki za wszelkie ułatwienia, jakie niezręcznością swą i łatwowiernością nastroczyłeś nam do podróży. Zaopatrzeni szczerze w pieniądze, garderobę, potrzebne papiery, udajemy się razem spędzić wesoło kilka miesięcy czasu tam, gdzie nas najdłuższa nawet ręka wasza doścignąć nie potrafi.

Uchybiłbym sobie i Waszej Ekscelencji, gdybym zawdzięczając Jego zaufanie dla mnie, nie przyznał mu się, iż tytuł księżęcia nosiłem tylko na scenie; w życiu zaś powszednim byłem i jestem *primo innamorato*, chudym pacholkiem i szczerym Signory Zenobii wielbicielem, w chwilach gdy innych wielbicieleli nie miewa...

Racz Wasza Ekscelencja przyjąć od nas obojga zapewnienie szczerzej wdzięczności i wysokiego szacunku, z jakim itd.

Paolo Gaetani

pospolicie zwany

Povera Canaglia

artysta dramatyczny

Po przeczytaniu tego listu musiano raz jeszcze wezwać cyrulika, aby kawalerowi miszkę krwi popsutej upuścił, panowało bowiem naówczas we Włoszech i trwa poniekąd do dziś dnia przekonanie, iż wszystko złe z człowieka z krwią odchodzi.

Zanaro, którego zupełna niewinność ku wieczorowi była dowiedziona, przebaczywszy winy porywczemu kawalerowi, pilnie strzegł jego łoża. Oderwał się jednak od niego na chwilę piątego dnia, aby odwiedzić nieco smutnego Konrada, który zamyślony chodził po swym pokoju, poglądając kiedy niekiedy na stojącego w kącie z nosem spuszczonego biednego Maćka.

Wszedł mimo olbrzymiego ciężaru, jaki na sobie dźwigał, na paluszkach, drzwi zamknął po cichu, jakby były watowane, odchrząknął miękko i łagodnie, aby nie nastraszyć, a gdy wzrok Konrada padł nań, znalazł na twarzy wyraz ujmującej słodczy i łagodności.

– Mogę zapytać o zdrowie? – rzekł z melodyjną intonacją gospodarz – wasza ekscelencja wydajesz mi się zadumanym, smętnym! nie mógłbym spytać o pobudki tej posepności, na którą, spodziewam się, wesoła nie zasłużyła Wenecja?

Konrad popatrzył nań długo, a przez ciąg tego wpatrywania się Zanaro starał się wydawać aksamitnym, aby wzrok gościa spłynął po nim, jak najmiłsze zostawując wrażenie.

– Nie spodziewam się – rzekł Zanaro, rękę kładnąc na sercu, śpiewnym głosem, szukającym drogi do duszy – abym mógł na wasze zaufanie zasłużyć, najszlachetniejszy panie, ale gdybyś mi chciał otworzyć głąb serca twojego... jeśli się nie mylę, zranionego, może by biedny Zanaro znalazł jakie na utrapienie lekarstwo?

– Skądże wnosicie, że mam utrapienie? – spytał Konrad.

– Oblicze waszej ekscelencji, nieprzywykłe do tajenia uczuć, które wewnątrz się zakradły, zdradza niepokój. Gdybym śmiało odgadywać jako człowiek doświadczony, a wziął na uwagę wiek wasz, gotów bym się domyśleć nawet, iż niepokoju przyczyną jest ładna twarzyczka kobieca. A co, *non e vero*?

Konrad się uśmiechnął poważnie.

– Kochany panie Zanaro – rzekł – wy w waszym kraju przywykliście do łatwych i płochych miłości, my tylko do poważnego kochania raz w życiu!

– Tym ci gorzej – odparł Zanaro – co u nas jest chorobą lekką, u was grozi śmiercią; tym ci gorzej; potrzeba prędkiego i skutecznego ratunku.

– Ale ja nie jestem wcale zakochanym – mówił dalej Konrad.

– Suchotnicy także, wedle opinii powszechnej, nie czują się nigdy dogorywającymi na godzinę nawet przed zgonem.

– Ponieważ chcecie mi radzić, a ludzi znacie dobrze, radźcie, signor Zanaro.

Gospodarz, w tył założywszy ręce, dyskretnie na palcach się zbliżył, nastawiając ucha.

– Płynąc do Wenecji na statku „Padre Antonio” – rzekł Konrad – poznałem bardzo w istocie piękną i zajmującą córkę kapitana Zeno.

– Cazitę! anielską Cazitę! – kręcąc głową rzekł zasmucony widocznie gospodarz.

– Zaproszony byłem raz do nich na Lido, a że ryba, którą mnie uczęstować chciano, nie nadeszła, mam drugie na dziś zaprosiny. Widzieliśmy się raz jeszcze i mówiliśmy ze sobą na placu Św. Marka. Oto wszystkie grzechy moje. Signora Cazita podobała mi się bardzo, ale my Polacy nie zwykliśmy, nawet gdy kobieta serce nam porwie, zdawać się na jej łaskę. Jesteśmy żołnierze, walczym do końca.

– Z kobietą nawet? – spytał zdumiony gospodarz.

– Nie, z sercem własnym – rzekł Konrad. – Signora Cazita podobała mi się, powtarzam, ale to młodzieńcze uczucie, to kwiat, z którego może nie będzie owocu.

Na te słowa signor Zanaro ręką sobie usta zatulił i począł, nie wiedzieć czego, prychać. Konrad, poważny, nie zważał na ten śmiech niewczesny.

– Wyznaję – mówił dalej – że bliżej i lepiej chciałbym poznać córkę kapitana... Tymczasem dowiaduję się, że ciotka jej chce ją wydać za jakiegoś krewniaka, który mi już grozi żelazem, jeśli się do niej zbliżyć będę starał. Krewny ten...

– Zowie się Sabrone! – dorzucił Zanaro.

– Z jednej strony – rzekł Konrad – jestem z tego narodu, który niebezpieczeństwo przynęca się, nie odstrasza; z drugiej, nie chciałbym nikomu czynić przykrości i wstrętu, sam nie będąc pewien, czy to, co mi się wydaje miłością, nie jest płochym głową zawrótem... Cóż mi radzicie, signor Zanaro?

– Żelazo jest ostre – rzekł gospodarz – oczy niewieście przeszywające, ale miłość jest potrzebą i darem bożym. Z tym Sabrone mogłyby zająć układy pewne, w najgorszym razie... Sabrone nie jest nieśmiertelnym...

Gospodarz chrząknął, dając coś do zrozumienia, czego Polak przypuścić nawet nie umiał.

– Mam więc pojechać na rybę, czy pięknym listem się wymówić?

– Piękny list jest czasem wybornym posłem i doskonałym w sprawach serca pośrednikiem, ale... czy mówią lepiej jeszcze... Sabrone może o tej wyprawie nie wiedzieć.

– Zdaje mi się, że o niej wie...

– Delikatna materia? – spytał Zanaro – co mówi serce?

– Iść, bądź co bądź – zawołał Konrad – toż samo mówi mi szabla u boku, a tym szlachetnym żelazem, kochany panie Zanaro, mogę ściąć i najmocniej na karku siedzącą głowę... Dało ono tego dowody i dłoń, co je trzyma, także.

Zanaro kwaśno na szablicę brzęczącą w pochwach szerokich popatrzał.

– A znacie wy prawa nasze? – zapytał.

– Nie dobędę szabli, nie przymuszony do tego, ale jej nie schowam suchej. Pijaczka jest i lubi krew ludzką.

– Smutne przypuszczenia, nedorzeczne, rzekłbym – odezwał się Zanaro – gdybyś nie wasza ekscelencja występował z nimi. Do tego nie przyjdzie. Na rybę pojedziesz wasza wielmożność i oście nie połkniesz, spodziewam się. Znam Sabrona, wiem, gdzie staje, gdy do miasta przy pływa, uprzedzę go lub zatrzymam.

– Nie, powiedz mu waszmość pan tylko – dodał Konrad – że krzywdy jego krewnej ani myślę, ani wejrzeniem nie uczynię, a sobie też wyrządzić jej nie dam. Odstrecać jej od niego nie chcę, niech lepiej płynie ze mną. Poślijcie po niego.

Zanaro spojrział na szlachetnego młodzieńca, skłonił się i wyszedł powoli.

W pół godziny szedł, wiodąc z sobą owego przystojnego nieznajomego, co się jako Sabrone na placu Św. Marka Konradowi przedstawił.

Lippi podał mu rękę, którą tamten przyjął i ścisnął zrazu się wzdragał.

– Signor Sabrone – rzekł – jestem zaproszonym na Lido; nie chcąc być niegrzecznym, popłynę, ale proszę was na świadka rozmowy i współzawodnika. Jedźmy razem.

Włoch był pochmurny.

– Po co – zawołał – nowi ludzie w oczach kobiet zawsze są lepsi od starych... Nie chcąc nawet, bałamucić ją będziecie.

– Za jakże płochą ją macie!

– Masz słuszność, winienem, jedźmy – odparł żywo Sabrone – służę wam...

Nie mówiąc do siebie słowa, siedli razem do gondoli. Dzień był wietrzny, woda nawet w zacisznym kanale dąsała się i rzucała, łódka z nią skakała, srebrnymi obrzucana bryzgi; ale słońce świeciło jasne, wesołe... Konrad muskał węża, Sabrone patrzył nań i chwycił się za pas co chwila, źle mu jakoś było. Dobili nareście do brzegu, przyciągniono łódź, wyskoczyli oba.

Z okna domku dawno już widać było główkę złocistymi włosy okrytą i parę czarnych ocząt na anielskiej błyszczących twarzyczce, która zdawała się to kryć, to znów ciekawie wyglądać. Dwie białe maleńkie dłonie podniosły się do góry i uderzyły jedna o drugą... znikła...

W progu domku powitał ich kapitan w wykwintnym stroju marynarza włoskiego owych czasów, z dosyć wesołym obliczem; ale gdy poznał zbliżającego się Sabrone, zasepił się nieco... Podali sobie ręce w milczeniu... Ciocia Anunziata z patelnią w dłoni wyjrzała oknem, zobaczyła niespodzianego gościa i głośno śpiewać poczęła. Czasy długo nie było widać.

W najparadniejszym pokoju nakryto już było do stołu, stały opłatane flaszki, śliczne murańskie kielichy z kręconego dwukolorowego szkła, talerze fajansowe malowane, dzban z wodą, cytryny i *frutti di mare*.

Kapitan zawołał Cazity, która wyszła poważna, ale widocznie nadaśana, spojrziała na kuzynę pogardliwie, na Polaka gniewnie, na ojca podejrzliwie, główką im skinęła i przy oknie usiadła, nie znalazłszy nic lepszego do czynienia, patrząc sobie na dalekie morze...

Sabrone, najodważniejszy, pierwszy się do niej przybliżył.

– Cóż to pięknej kuzynce? – spytał – czy nie moja przytomność taką chmurą pokrywa jej twarzyczkę?

– Moglibyście być prorokiem, tak doskonale zgadujecie – szepnęła mu po cichu.

– Ale ja mam wymówkę... signor Polacco, którego przypadkiem poznałem na placu Św. Marka właśnie tego samego wieczora, gdyście go tak miłą upoili rozmową, sam mnie zaprosił na rybę cioci Anunziaty...

– A! a! – ozwało się dziewczę – moglibyście wyśmienicie pójść na rybę do kuchni... Ciocię Anunziatę tam zastaniecie nad patelnią, będzie wam lepiej może rada niż ja...

Posłuszny, choć z gniewem na twarzy, Sabrone skłonił się i poszedł do kuchni, wprost do cioci Anunziaty.

Z kuchni daleko rozchodził się i zapach smażeniny i głos starej poczciwej kobiety, która chciała nucić, tak była w dobrym humorze.

W progu spotkała swojego ulubieńca śmiechem i dygiem.

– Antonio! jakież ty rozumny! czy cię patron twój natchnął, żeś dziś właśnie tu przybył!

– Nie, ten Polak przywiózł mnie z sobą.

– Polak? – spytała – znasz go?

– Zanaro mi go pokazał, trochęśmy już pogadali z sobą – dodał, uśmiechając się znacząco – znalazł on bezpieczniejszym mieć mnie za świadka...

Ciotka zamyśliła się, pokręciła głową.

– No, to się wiem, czego obawiać! – rzekła – a byłam w strachu! przyznaję ci się.

– Jakże cię przyjęła? – spytała po chwili

– Jak zawsze... jak psa... ciociu Anunziato.

– Najlepszy znak! – rzekła stara.

– I odprawiła mnie precz do kuchni.

– Nic lepszego! – zawołała Anunziata – tyś młokos. Z tych małżeństw łatwych a gorących zawsze prawie biedy i nieszczęścia; trwałe przywiązanie rodzi się tylko z kłótni. Ja mojemu nieboszczykowi takem nieraz podrapała twarz... do krwi... a wierzaj mi, pokochałam go potem szczerze...

Sabrone się uśmiechał... Ciocia Anunziata krzątała się około ryby.

– Chciałem Polaka nastraszyć nożem – rzekł cicho – ale to mi się nie udało. Zanaro powiada, że mu się zwierzył, iż jednym cięciem swej szabli łby ścina.

– Polacy są bitnym narodem, to pewna – rzekła ciotka – alem nigdy nie słyszała, żeby głowy tak łatwo chrześcianinom z karków strącali. Zawsze potrzeba z nim być ostrożnie... i nie tak się znowu obawiać jego miłości. To błyskawica, co przeleci po niebie, nic nie zapali i zagaśnie... Dziecku się podobała nowa twarz... niech się przypatrzy, a dostrzeże, że mój Sabrone i ładniejszy, i lepiej na męża stworzony. – To mówiąc, nieco zatłuszczoną dłonią uderzyła go po twarzy.

– Przypominasz mi czasem nieboszczyka! – westchnęła. – Ale idźże precz, bo rybę przysmaż. Święta Panno di Salute! umarłabym ze wstydu, gdyby mi się nie udało... idźże precz, Sabrone!

Antonio zniknął za drzwiami.

Na górze po odejściu jego zaświeciła pogoda, uśmiechnęły się czarne oczęta. Kapitan nie przeszkadzał rozmowie; poszedł był po pewne stare wino, od którego sam miał klucz, bo je przed laty sześciu przywiózł był sam z Grecji i strzegł jak oka w głowie.

– Po coście mi przywieźli Antonia? – spytało dziewczę.

– Ażeby nie myślał, że się boję z tym, co tu czynię i mówię.

– Ależ powinniście wiedzieć lub domyśleć się, że ja go nie lubię!

– Za co, signora Cazito?

– Za co? ale za to, że mi go ciocia Anunziata stręczy na męża, a ja męża chcę sobie wybrać sama. Mówiłam to ojcu dawno, a ojciec dobrze wie o tym. Przy tym Sabrone mnie kochać nie może; ja wiem tylko, czemu... – Zamilkła, patrząc na morze.

– Powiedz mi pan, spytała po chwili, zmieniając rozmowę – to morze, które wyrzuca śliczne owe kamyczki złociste, z jakich się składa mój różaniec, jestże tak piękne jak nasze?

– Jam je raz widział tylko – odparł Konrad – nie mamy go, jak wy, wiele, w jednym miejscu brzegu wykrawek. Mówią, że dawniej mieliśmy drugiego brzeżek... Nasze morza nie mają lazurowych barw ani błysków Adriatyku, bo u nas inaczej świeci słońce i inne niebiosa zasklepione są nad ziemią.

– A! powiedzciez mi, bom bardzo ciekawa, jak wygląda ta ziemia wasza? Prawdaż to, jak mówi ciocia Anunziata, że straszne okrywają ją puszcze, że pełno w nim potwór dzikich, że lasy szumią straszliwie, a w lecie, gdy nimi wiatr kołysze, trąc gałęzie, zapalają się i naówczas pożarem płoną przestrzenie niezmierne, a ludzie i zwierz giną w płomieniach.

Konrad się uśmiechnął smutnie.

– Nigdy o niczym podobnym nie słyszał – rzekł – palą się puszcze, ale w nich człowiek ani zwierz żaden jeszcze życia nie stracił. Te lasy nasze są piękne, zielone, wonne, a wyglądają jak szerokie ogrody szmaragdowymi poprzerzynane łąkami. Płyną środkiem srebrne rzeki i mruczą cicho, lata ptastwo wesołe z piosenką na dzióbku. Cicho na tamtej ziemi... a z lasów wyszedłszy, to złoty łan pszenicy lub żyta jak fala się kołysze. Niejeden raz żyła nim i Wenecja głodna.

– A macie piękne kwiaty? – spytało dziewczę.

– Cudowne! wonne, śliczne – mówił Konrad. – Prawda, że na kilka miesięcy w roku natura u nas zasypia, śnieg okrywa wszystko jakby białym rąbkiem jednym. Naówczas zamiast liści, drzewa się stroją w brylantowe perły zamarzłej wody, rzeki okrywa lód zielonawy, ptastwo odlatuje, zwierz zasypia w norach; człowiek tylko czuwa, czekając wiosny. Ale jakże cudna to wiosna, gdy jej godzina wybije! Jednego poranka wiatr ściąga z niebios szarą chmurę zimową, odsłaniają się błękity, słońce zza nich wygląda obmyte, diamentowe, śniegi w potokach zbiegają z gór i uciekają, opłukując rdze zimy, myjąc łąki, rzeźwiąc ziemię uspioną; tryska z niej w oczach zieloność, kwiaty otwierają się nie czekając na liście, tak im spieszo wiosnę powitać; drzewa pękają, powietrze wonią życia się przejmuje i ptastwo stadami powraca. Nie zna wiosny, kto jej u nas na północy nie widział; u was ona przychodzi leniwo i już jest zeschła i gorąca, gdy ledwie świtać poczyna. Nasza płaci nam miesiące ciemności i ciszy...

– Ale możecież wy żyć, nie słysząc szumu fal, nie patrząc na morze? – spytało dziewczę – nie tęsknicież wy za tym głosem bożym, który mówi do nas przez rozhukane wody i ciszę morską?

– U nas odzywa się on szumem lasów i pół szelestem, niebem i chmurami, a drobne rzezułki nasze gwarzą też małym głosem o tym samym wielkim Bogu!

Cazita spojrzała na lśniące fale Adriatyku.

– Zdaje się – rzekła po cichu – że ja bym nigdy gdzie indziej jak tu żyć i oddychać nie mogła! Poiż i rzeźwi tak powietrze wasze, jak te słonych wód wyziewy?

– Mnie – odpowiedział Konrad, patrząc na nią – nawet tu tęskno za naszymi bory i zapachem świeżej roli, podobnym do woni jakby świeżo upieczonego chleba... ja tu nawet śnię o zieleni, o kwiatkach i o szerokich polach...

– Tak! to musi tak być! – odparła smutnie dziewczyna – każdemu to najmilsze, co tuliło jego dzieciństwo, co rozkołysało młodość. Nie! nie! ja bym umarła, gdyby mi Adriatyk pacierz swój wiekuisty do serca podawać przestał.

I spuściła głowę milcząca.

– A wy? – zapytała po chwili.

– Ja nie wiem – rzekł Konrad.

– Wyście przecie dzieckiem Wenecji i brzegów tego morza.
– Tak, ale wykołysanym w lasach i u cichych brzegów jeziora... a wierście mi, szum i plusk jego wód słodkich nigdy uszy nie zapomną.

– Nawet tu, nad Adriatykiem? – pytało dziewczę.

– Nawet tu, przy oczach twoich – odparł żywo; zrywając się z siedzenia Konrad, bo mu stanął w pamięci nagle jego stary dwór, wizerunek ojca i matki, gdakanie zegaru, co im policzył godziny życia, i szum drzew ogrodowych, i dźwięk kaplicznego dzwonka, i chrapliwy a serdeczny głos starego Dalifura, i szczenie nawet podwórzowego przyjaciela domu, który poważnie powierzone swej straży państwo całą noc obchodził, warcząc a niekiedy nawołując.

Gdy błyskiem przeleciało mu to wspomnienie po głowie, a potem obejrzał się dokoła i zobaczył twarz dziewczęcia promienną, sine morze, gałąź winną w oknie, a kapitana z butelką i kluczami w rękach, ciotkę Anunziatę z półmiskiem ryby wchodzącą tryumfalnie i Antoniego Sabrone, który jej towarzyszył – zdało mu się, że marzy we śnie.

Dwa te światy tak były różne, tak od siebie dalekie, tak mu się zdały nieprzejednane i niepogodzone, że nawet wejrzenie czarnych oczów Cazity nie spoiło ich z sobą.

Łza stoczyła się spod męskiej jego powieki... wszyscy ją dojrzeli, bo nie krył się z tą świętą rosą serca.

– Co ci tę łzę wycisnęło – spytał Zeno.

– Wspomnienie mojej ziemi – rzekł Konrad.

Długie nastąpiło milczenie. Cazita patrzyła na niego jak w tęczę; jeszcze jak żywa, nie widziała nigdy płaczącego mężczyzny, sama nie wiedziała, czemu serce jej biło, i nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego z tą łzą wydał się jej silniejszym, większym, prawie świętym. Wszystka płochą zalotność uleciała na tej łzie gdzieś daleko, stała się nagle poważną i zamyśloną. Sabrone, ciocia, wszyscy prócz kapitana Zeno wydali się jej karłami przy tym człowieku, co się zapłakać nie wstydził, co kochać umiał martwą ziemię aż do żywej łzy.

– Ciotko Anunziato – szepnął jej na ucho Sabrone – albo ja mu coltellatę sprawię, albo mi on łeb utnie, bo Cazitę mi pochwycił... spójrzcie na nią.

W istocie, oczy dziewczęcia, wpatrzone w niego jak w obraz cudowny, ogniem niezwykłym palą... Sabrone uczył dreszcz przechodzący mu po ciele...

– Cicho! – zawołała Anunziata – nie bądź głupi, wszystkie młodych dziewcząt oczy tak są mówiące jak i te, Giulia nie ma domku na Lido, ale ma dobry kawał ziemi około Belluno i winnice, i zakopanego coś grosza, a ja cię z nią tak pewnie ożenię, jak że żyję... i będziesz szczęśliwym... Cazita krwi chrześcijańskiej niewarta, jeśli się na tobie poznać nie umiała...

Gdy tak szepczą, kapitan nalał wina i wypił zdrowie gościa. Sabrone kieliszek pełny postawił przed sobą gniewny i tknąć go nie chciał; okiem wyzywającym zmierzył Konrada. On mu się uśmiechnął tylko, pokój dziwny miał w duszy...

– Antonio! – szepnęła ciotka, trącąc go łokciem – wypij, głupcze, lub się pogniewamy, pogarszasz sprawę.

Posłuszny Sabrone chwycił szkło, połknął napój, ale zarazem w białych zębach zgniótł cienki wyrób murański...

To zgrzytnięcie obudziło uwagę kapitana.

– O! o! psujesz moje kieliszki, a sobie zęby – rzekł, śmiejąc się – nie tak ogieńcie, kuzynku Sabrone... – Cazita nań spojrziała i zarumieniła się.

– A czymże teraz wypijesz moje zdrowie? – zapytała.

– Niewiele dbacie pewnie, czy ja je wypiję – odparł chmurno Antonio.

– Owszem, bardzo.

Anunziata trąciła go łokciem...

– Pij, czym chcesz.

Antonio poszedł po rozum do głowy, oczyma szukał dokoła, nie wiedział, czym się wyrażać.

– Signore Antonio – śmiejąc się, zawołał Polak – u nas często piją kobiet zdrowie, ale my go też kielichami nie pijemy, jest zwyczaj inny...

– Czymże? – spytała Cazita.

– Nie będziecie się gniewać? I pozwolicie mi je tak spełnić jak u nas, jeśli odkryję tajemnicę? – spytał Konrad.

– Cóż to być może takiego?

Kapitan poglądał niespokojny...

– Pani – rzekł Konrad – nie obrażaj się obcym zwyczajem... u nas zdejmują kobiecie trzewik z nóżki i ten za kielich nam służy.

Kobiety krzyknęły zawstydzone... Antonio mruczał, kapitan się śmiał dobrodusznie.

– Po starszeństwie – rzekł – ciociu Anunziato, dawaj trzewik, wychylemy. – Cazita śmiać się także zaczęła niezmiernie.

– Pierwszy, co wychyli trzewik cioci, będzie naturalnie winowajca Antonio.

Antonio cały pokraśniał. Myśl wychylenia dosyć sporego i dobrze zachodzonego trzewika cioci Anunziaty, mimo przywiązania do niej, wcale mu się nie uśmiechała. Cazita plaskała w rączki.

– Ciociu! – wołała – dawaj nam swój trzewik.

Stara prawie się już gniewać poczynała, ale kapitan pogodził wszystkich, skoczywszy do szafy i niosąc z niej kubek srebrny stary, który za zdrowie kobiet napełnił i podał kuzynowi.

– Spróbuj no na nim zębów – rzekł – a zobaczymy, czy ci pryśnie w nich jak pierwszy.

Rozweseliły się jakoś twarze, zgodniej uderzyły serca i weselsza dalej szła skromna uczta, po większej części z ryb i jarzyn złożona. Rozmowa zwróciła się ku Wenecji, jej wspomnieniom, potem z Antonim przeleciała na ląd stały... Konrad i Cazita najmniej się do niej przyczyniali; ona była zadumana, jakby już z siebie zrobiła ofiarę, on spokojny, jakby z tą łąką wielki ciężar z serca mu spłynął.

Antonio posępny siedział, podparłszy się łokciami, a niekiedy spod czarnej brwi błysnął białkiem oka zapalczywie na Cazitę poglądając, to na Konrada.

Ciotka Anunziata właśnie wychodziła po drugi do kuchni półmisek, nie chcąc nikomu powierzyć urzędzenia ostatecznego swej smażeniny, gdy Sabrone porwał się pod pozorem, że jej chce dopomóc, i za nią pobiegł do kuchenki.

– Nie! – zawołał – ja tego nie wytrzymam, ten człowiek i ta kobieta w oczy, bezwstydnie szydą ze mnie, ja się muszę na nich pomścić, ciociu Anunziato!

– Głupiś, kochany Sabrone, zemsta twoja poprowadzić cię może, co najdalej pod Pałac Dożów, do czerwonego słupa, pluń na głupią dziewczynę; dam ci Julię... Giulia nie jest tak delikatna, ale jej z oczów patrzy, że gdy pokocha, da życie za swego kochanka i męża.

– Ale i ta może mnie nie zechce? – rzekł smutnie Antonio.

Ciocia uderzyła go po ramieniu.

– Nie masz chyba oczów; taiłam przed tobą, chcąc ci dać Cazitę, ale Giulia szaleje dla ciebie...

Antonio zapłonął cały, porwał rękę ciotki.

– Doprawdy! A! więc się pomszczę na tej wzgardliwej dziewczynie, jutro się oświadczę, zapłacę, co zechcę, a ślub będzie w niedzielę i was poproszę!... Cazita pozna, co straciła...

Ciotka kręciła głową.

– Nie dosyć na tym – zawołał Antonio – ja na tym nieuleknionym Polaku także zemsty jakiejś szukać muszę, ja mu nie przebaczę... On bałamuci dziewczę, ale się z nią pewnie ożenić nie myśli, potrzeba go wpędzić...

Anunziata spojrziała.

– Czy to będzie zemsta? – spytała.

– Godna Wenecjanina... tamten się bierze na szlachetność wielką, otóż i my potrafimy się odegrać.

Pokręcił węża, ale ryba się przypalać zaczęła i ciotka, nie chcąc go słuchać, pobiegła do swej patelni z krzykiem, łajac kuzynka, że jej przeszkadza. Sabrone, nie czekając reszty, bo wiedział z doświadczenia, jak niebezpiecznie jest kobietom przeszkadzać w wielkich zajęciach uroczystych dni życia; powoli, zadumany, powrócił na górę.

Srebrny kubek na pół opróżniony stał przed nim, kapitan zachęcał do wypicia.

– Wypiłbym – rzekł Antonio – gdyby tak jakie dobre trafiło się zdrowie.

– Na przykład?

– Szukam właśnie – mówił z wolna Sabrone – zdrowie kuzynki Cazity piję co dzień, nawet wodę do ust przytknąwszy, bo mi jej piękne oczy z myśli nie wychodzą; wasze, panie kapitanie, także dla mnie nie nowością, waszego gościa zdrowia ani choroby nie mam powodu, z nadto znam go mało, a cioci Anunziaty już wychyliłem...

– Wypij pan zdrowie przyszej narzeczonej swojej – uśmiechając się, rzekła Cazita – ja i my wszyscy wychylemy je z chęcią.

– A! – zawołał Antonio do wchodzącej właśnie ciotki z półmiskiem w rękę – słyszycie, co to tu się święci, Cazita chce pić zdrowie mej narzeczonej! Nie dość, że tą narzeczoną sama być nie życzy, przebacz, kapitanie Zeno – dodał – wiecie, że się ze staraniem nie taił, ale żartuje sobie jeszcze z odepchniętego biedaka...

Antonio uśmiechnął się szyderczo, mrugnął ku ciotce.

– Czy ręczycie?

Zrozumiawszy, o co idzie, stara dała głową znak potakujący.

– No, więc dobrze – pochwycił Sabrone – wypijemy zdrowie narzeczonej mojej, pięknej Julii... ale zarazem twego narzeczonego, kuzynko Cazito, aby krzywdy nie było? he?

– Wiecie, że ja go nie mam...

– A! i ja przed chwilą narzeczonej nie miałem, a znalazłem przecie i nie cofnę słowa, poszukajcie i wy też narzeczonego, aby się nie wstydzić.

Cazita zapłonęła jak granat na to zuchwałe wyzwanie, obrażoną była, ale spuściła oczy czarne, w których kręciła się łza, i milczała.

Wtem Konrad wstał, wziął za rękę kapitana Zeno i rzekł głośno:

– Kapitanie, signorina Cazita, przyjmujecie mnie za narzeczonego?

Cichość, jakby anioł przeleciał, panowała chwilę. Cazita oczy podniosła łzawe na Konrada. Zeno był smutny, ale ścisnął dłoń jego i nie przeciwił się... Konradowi głos drżał, czuł, że stawiał w tej chwili los całego życia na głowę dziewczęcia, ale zarazem, że to było nieuchronnym.

Cazita milczała jeszcze, Konrad przyklęknął.

– Przyjmujecie mnie?

Podąła mu rękę, patrząc na ojca... Zeno milcząco także głowę pochylił.

– Kuzynie Sabrone, pijcie zdrowie narzeczonego Cazity – zawołał Konrad.

– I niech Bóg błogosławi! niech Bóg błogosławi! – odezwał się głos od progu, w którym niespodzianie pokazał się stary kapucyn. – Ale dajcież i mnie kielicha – dodał wesoło.

To niespodziane oświadczenie, przyjęcie, błogosławieństwo nawet, przybywające tak w porę, wszystkich jakoś przestraszyło. Stało się to nie wiedzieć jakim sposobem i przed chwilą nikt o tym nie myślał, nikt by tego nie przypuszczał. Konrad dziwił się swej odwadze, Cazita swojej śmiałości, ojciec wewnętrznemu głosowi, który mu podyktował zgodę, Antonio sam nie pojmował, jak tego dokazał, i chmurny był z tej zemsty, którą szczęście dwojga ludzi zapewnił. Ciotka stała osłupiała, a ryba stygła.

Kapucyn jeden, wychyliwszy kielich, pobłogosławiwszy narzeczonych, nie tracił czasu i wziął się do ryby.

Nikommu się też jeść już nie chciało.

Konrad kosztowny pierścień matki zdjął, drżąc, z palca – i zbliżył się do zapłonionego dziewczęcia.

– Pani moja – rzekł poważnie – ten pierścień zaręczał dziada mojego i ojca, matka nosiła go do śmierci, przekazała mi go umierając; niechaj on nas zaręczy w imię tych cnót domowych, których był świadkiem. Ojczyce Serafinie, pobłogosławcie raz jeszcze.

Cazita zdjęła też obrączkę z palca.

– Jest to skromny pierścionek matki mej także – rzekła – tej, po której dotąd ojciec mój płacze... na progu nowego życia mieniamy wspomnienia rodziców.

To mówiąc, oddała mu obrączkę i poszła rzucić się na ramiona ojcu, który płakać począł. Serafin mruzczał modlitwę. Antonio poglądał z kąta, ręce złożonywszy na piersiach.

– A! gdybym była wiedziała, na co tę rybę smażę – szepnęła ciotka Anunziata – i co ten głupi Antonio zrobi... wołałabym ją była przypalić...

Późno w noc Konrad sam jeden w gondoli, rozmyślając, wracał do „Maltańskiego Krzyża”. Był szczęśliwym, a jednak niepokój jakiś serce mu ugniatał... wspomnienia kraju, domu, łązy Cazity, wylane na samo przypuszczenie opuszczenia Wenecji, troskami go poity o przyszłość. Spędził błogosławionych kilka godzin życia; mówił z nią poufale, chodzili długo razem z sobą nad brzegiem morza i nikt im teraz nie broniał długiej sam na sam rozmowy. Cazita przyznała mu się, że go kochała z każdą godziną więcej, on jej, że od pierwszego wejrzenia poczuł się niewolnikiem... ale ilekroć chcieli mówić o dalszej przyszłości, zamierały im słowa na ustach. On nie pojmował życia, tylko na swojej ziemi, ona nie rozumiała szczęścia, tylko u brzegów Adriatyku. Kapitan Zeno słuchać nawet nie chciał o tym, że mu jedyną, ukochaną jego córkę pochwyć miano i uwieść gdzieś za góry, w północne chmury i śniegi.

Konrad nie wiedział, co uczyni; na koniec pomyślał: – Co Bóg sam począł, niech kończy. – I zatopił się w marzeniach o ślicznym dziewczęciu, które zapowiedziało, że nań oczekiwać będzie rano i że razem dzień spędzą cały.

Nieznamymi sobie prawie a narzeczeni, tyle do mówienia mieli!

Na ostatek łódka przybiła do brzegu, kruczkiem przytrzymał ją stojący na kamieniach żebrak i rękę suchą po datek wyciągnął; Konrad rzucił mu srebrną monetę całą i poleciał do gospody.

W progu stał Zanaro ciekawy i niespokojny; ale ujrzawszy go z dobrą miną, poweselał.

– Eccellenza! bawiliście długo... wieczór być musiał wesoły?

– Powinszujcie mi, gospodarzu...

– A! cóż się stało?...

– Jestem zaręczony z piękną córką kapitana.

– O! A Antonio?

– Zaręczył się z ideałem jakimś, którego imię tylko dosłyszałem.

– Niepodobna!...

– Tak jest.

– *Cosa stupenda!* Eccellenza! Zaręczony! Byćże to może!

I Zanaro, udając szczęśliwość wielką, widocznie niezupełnie rad był wiadomości; powieść dla niego jakoś się za prędko i za nagle kończyła. Pojąć nie mógł, jak się obeszło bez intryg, przeszkód, bitew, wykradania, do którego miał dopomagać i za które spodziewał się, że mu zapłacą, bo plan był już osnuł stosowny.

– *Cosa stupenda!* – powtarzał kwaśno, przemyślając już naprędce, jak by na nowo szyki pomieścić, wodę zamącić i wędkę na ryby zapuścić.

Ale tymczasem wymownym powinszowaniem w którym gwiazdy, słońce, księżyc, św. Antoni Padewski i Jupiter zarazem, bogowie i anioły mieszały się w najpoufalszym stosunku, odprowadził go aż do drzwi mieszkania, spiesząc wnet z nowiną niepomyślną do żony i córki.

Konrad wszedł i pobożne chłopię, upadł na kolana, aby się przed podróżnym obrazem Częstochowskiej Matki pomodlić.

Był to stary, na blasze złoconej malowany obrazek, z jednej strony Chrystusa na krzyżu, z drugiej Matkę Boską wystawiający, który nie opuszczał nigdy jego matki: był z nim w boju na piersiach, zgiął się od kuli, od której go ocalił, a teraz słuchał modlitwy pierwszej narzeczonego strwożonego szczęściem swoim.

Nie wiedział sam, jak długo trwało to nabożeństwo, gdy kilkakrotne westchnienie, w którym poznał głos Maćka, obudziło go nareście.

Wstał raźniej na nogi i obrócił się do chłopaka, który za progiem pokoju przechadzał się z założonymi na piersiach rękami, widocznie smutny i jakby na coś oczekując. Zaledwie ujrzał swego pana wolnym, począł odchrząkiwać, dając znać, że ma coś do powiedzenia.

– No, a co ci tam Maćku? zawsze tak źle w tej Wenecji?

– I... czegoż by miało być źle – odparł węgrzynek – ono to dobrze, ale człek sobie różnie myśli.

– O czymże, Maćku?

– A o czymże by, jaśnie panie, gdyby nie o swej biedzie...

– No! o jakiejże?

– Człek zwyczajnie sierota; ta przemyśla różnie, co z sobą dalej będzie robił.

– I ty więc myślisz już o przyszłości?

– A czemuż by nie, proszę pana.

I stęknął, widocznie nierad, że rozmowa jakiś obrót brała nie po myśli jego.

– Gdybyś ty mi, mój kochany, powiedział od razu, czego chcesz, a nie wybierał się jak czajka za morze?

– Proszę jaśnie pana – schwycił się Maciek – ja bym se chciał do rzemiosła jakiego...

– Ty? do rzemiosła? gdzież? co? dlaczego?

– Ano by człek chleb miał zawždy w swoich rękach.

Popatrzał nań długo Konrad, pokręcił węża, coś mu się to wydało podejrzanym.

– Bałamucisz – rzekł – co do ciebie przystąpiło?

– Ale proszę jaśnie pana, co by miało przystąpić, ino człek by się rad ratował.

– Alboż ci źle?

– A! nie! uchowaj Boże!

– Dlaczegoż stan chcesz zmieniać?

Maciek zamilkł, tylko obyczajem prostych ludzi po głowie się raz i drugi podrapał, jakby sam na siebie gniewając, i znów srodze wzdychać począł.

– Gdybyś gadał po ludzku, tobym cię może w końcu zrozumiał – rzekł Konrad.

Maciek schylił mu się do kolan.

– To ja jegomości kochanemu wszystko powiem. Dalipan, oszalałem za tą niegodziwą czarnobrewą szewcówną, bo to nie jest, jako żywo, żadna królowa ani królowna neapoliciańska...

Konrad się rozśmiał, chłopiec nabrał ducha i odwagi.

– Dalipan, oszalałem – mówił po cichu i jakby zawstydzony – bo proszę pana, gadać z nią nawet nie umiem, ale kiedy człowika oczyma tak przewierci na wylót, do kości, że potem oszaleć trzeba. Nic tylko stanie, uśmiechnie się i weźmie tymi oczyma ciskać w duszę, tak i rozum się traci, choćby święty był, toby do dna piekiel zaprowadziła...

– A po cóż chodzisz pod te oczy? he?

– Otóż to, proszę jaśnie pana, w tym sztuka, że od pierwszego razu, gdyby wędka, jak chwyciła, tak od pierwszego razu, gdyby wędka, jak chwyciła, tak już i pokoju nie mam. Człowiek się boryka, opiera, a musi iść i tego utrapienia szukać. Już ja wiem, że z tego cało nie wyjdę... myślę sobie, przystanę do szewca, niech się dzieje wola boża... to ją przecie wysłużę. Tak wczoraj rozmyśliwszy się i poszedłem do niego. E! zrazu mnie przyjął mało nie pociągaczem, ale jakem go zaczął reflektować: zem terminować gotów u niego, że będę mu służyć jak za Rachelę, byleby mi córkę choć obiecał przyrzec, tak się starowina rozdobruchał i powiedział, że byle pozwolenie pańskie, weźmie mnie na próbę do roboty, a potem... E! potem! ino żebym się do domu dostał, to już ja pewny swojego... nie wykurzy mnie on niczym.

– Byleś tylko ty sam nie uciekł – dodał Konrad.

I chciał robić uwagi chłopakowi, że zbyt pospiesznie się rwał, nie znając dziewczyny, do żeniaczki, ale mu na myśl przyszło, że i sam lepszym nie był.

– Młody bardzo jesteś – rzekł powoli – ale masz lub powinienes mieć swój rozum. Ja ci w drodze nie stanę... uważaj, jak lepiej. Jeśli stary zechce cię wziąć na naukę, próbuj szczęścia, nie uda się, znajdziesz u mnie zawsze przytułek i chleba kawałek. Niech Bóg błogosławi... ja cię w niewoli trzymać nie myślę... Ale patrz – dodał po chwili – żebyś tej swej prędkości nie żałował potem. Czyż też nie zatęsknisz za krajem, za naszą wioską, za jeziorem i ludem swym i krewnymi?

Maciek się zamyślił.

– Kiedy to, proszę jaśnie pana, i w Biblii, słyszę, stoi napisano, że człek rzuci wszystko, a pójdzie za dziewczyną... bo takie na wiek wieków boże przykazanie.

Konrad zaczął się śmiać bardzo z tego osobliwszego wykładu Pisma świętego, ale nic nie odpowiedział..

Wtem zza drzwi ukazała się twarz szewca w świątecznym ubraniu, który, ujrawszy Maćka, trochę się zafrasował.

– A, signor Nani... jakże mi się miewacie?

Maciek podbiegł pocałować rękę starego, który dosyć go przyjął kwaśno.

– Przychodzę się tylko dowiedzieć, co u was słyhać, wielmożny panie – spytał stary – jak to tam idzie.

– o tym potem – zawołał Konrad – ale ja tu coś nowego się dowiaduję, wszak to waszmościna córka zbałamuciła mi mojego chłopca.

– A! uchowaj Boże – ofuknął się szewc – cale przeciwnie, chłopiec jegomościna obałamucił mi córkę... przychodzę się skarżyć.

– Sprawy tej podobno oba nie rozsądziemy – rzekł Konrad – bo zdaje mi się, że tam równe winy z obu stron, a skutek jeden, że Maciek oszalał i do terminu się bierze. Nie chcę mu przeszkadzać wcale... lecz zważ, kochany majstrze, że to siarka nie chłopiec, a wasze rzemiosło siedzące, cóż to z niego będzie za robotnik.

– Już to proszę wielmożnego pana -odpowiedział szewc, poprawując okularów – ja mogę za to ręczyć, że jak się dostanie w moje ręce i na naukę do mnie, to mu tę siarczystość precz wyżenę i będzie taki miękki i spokojny, jak zechcę...

Maciek się wszakże nie uląkł już nawet groźby, wzdychał tylko, jakby mówił w duszy: – Patrz kobieto, co ja cierpię dla ciebie!

Klepnął go po ramieniu majster.

– Ty do mnie na służbę, ażeby dystrakcji w domu nie było, Marietta natychmiast do Weronny, do ciotki pojedzie, która jest furtianką u pańien franciszkanek, zamkną ją na ten czas pod klauzurę...

Maciek znacznie z humoru spadł.

– E! proszę jegomości – rzekł – a długoż to tego ma być?

– Dopóki z terminu nie wyjdiesz.

– Na przykład?
 – Różnie! rok, dwa, trzy...
 Chłopiec zaczął głową kręcić.
 – Widzisz Maćku – odparł Konrad – ciekawym jesteś Pisma świętego, przypomnijże sobie, ile lat za Rachełę...
 Maciek ręką machnął.
 – A! niech go tam i z Rachelą...
 – To inaczej nie ma być – zawołał majster – i nie będzie, jak wola twoja! Myślałeś, że cię od razu jak kota... z pozwoleniem, do sadła puszcze... o! o! niegłupim! Nie zrobiłbym ja cię szewcem i za lat dziesięć, gdybyś przy Mariecie terminował...
 Maciek zamilkł.
 – A cóż będzie? – spytał Konrad.
 – Co ma być, proszę jaśnie pana... czy to dwa lata długa rzecz? to furknie jak skowronek, to ich i nie ma, kiedy wisieć, to wisieć... słowo się rzekło...
 Skłonił się do nóg Konradowi, a zawahawszy nieco, padł całując je.
 – Tyś mi był ojcem – rzekł płacząc – pobłogosław, już inaczej być nie może.
 Patrząc na tę scenę, szewczysko otarł okulary i rzekł w duchu. – Musi być dobre chłopię, więc wola boża...
 – Panie majstrze, oddaję go wam i proszę, bądźcie mu rodzicem łaskawym.
 – Nie bójcie się – zawołał Nani, dając poufnie znak głową – nie stanie mu się krzywda, ale nowicjat szewski odbyć musi, to darmo...
 Po krótkiej rozmowie, urywanej i niezbyt wesołej, Nani wyszedł, zapowiadając chłopcu, żeby pana nie opuszczał, dopóki on był w Wenecji, a do Marietty się zbyt często nie wykradał, bo zawczasu pociągacza spróbować może...
 Gdy się za nim drzwi zamknęły, Maciek w smutnej postawie, kiwając głową, stanął przed panem.
 – E! panie – zawołał – po co my do Wenecji jechali, ano i mnie, i pana... ponoś... schwy- ciło Półdiablę Weneckie!

W Robninie stary Pukało jedną wydeptaną ścieżką chodził dwór przewietrzać, gdański zegar nakręcać o swej godzinie i po pokojach, przesuając się milczący, odmawiać w duchu zdrowaśki za nieboszczyków, ale mu się tęskniło za paniczem.

– Gdzie się to on tam teraz obraca – mawiał zrazu do Murzynowskiej – żeby go tam aniołowie stróżowie prowadzili i nim się opiekowali... bo to młode, gorące, trochę dziwaczne, a ten szalawiła Maciek to mu tam kłopotu przysporzy, nie ulgę sprawić może. Aby go tylko Bóg cało nazad przyprowadził.

Przyszły listy jedne i drugie i pocieszył się stary choć tym, że z powodu moru już o podróży do Ziemi Świętej i mowy nie było.

Pukało rad był się co o Wenecji dowiedzieć, ale krom tego, co w starej książce, *Świat przejrzany*, znalazł, niewiele się o niej nauczył. Prawił mu ksiądz proboszcz różne dziwy, na których serce i fantazja starca pracowały. Wzdychał i modlił się.

– Co Bóg da, to będzie.

Aż tu jedną razą z Poznania przywożą mu pismo długie; okularów pod ręką nie było, stary je na polu odebrał, a do dworu kawał i posłać nie miał kogo, bo szkła były pod kluczem, klucz przy kłódce z innymi, powierzyć ich nie sposób.

Gorejąc od niecierpliwości, Dalifur poszykował do domu, a że proboszcza spotkał w drodze (który też bez okularów nie czytał, chyba na mszale, który na pamięć umiał), potem Murzynowską około chmielnika, wszystko troje z tym listem zawlekli się do pokoiku Pukały.

Nim się szuflada otworzyła, okulary dobyły, futerał sznurkiem umocowany otworzył, szkła wytarły... co było domysłów nad długością pisma i jego treścią!

Na ostatek zasiadł tyłem do okna stary i rzucił oczyma po wszech stronicach, a napadłszy kilka wyrazów, aż krzyknął:

– Jezus Maria!

Ksiądz się zerwał, Murzynowska jęknęła .

– Na Boga, co się stało paniczowi?

– Żeni się, jak mi Bóg miły, żeni się! – zawołał Dalifur – ot co!

– Gdzie? za granicą, z kimże!

– Ano... Panie odpuść, z Włoszką!

Nuż od początku czytać, jakoś i we troje każdy wyraz z listu dobywać. Pismo było dość długie, w nim Konrad uwiadamał o wszystkich podróźnych przygodach, a mianowicie, iż znalazł towarzyszkę życia, młodą, piękną, do której serce jego przemówiło i z którą już pierścionki zamienił. Prosił o mszę na intencję swoją księdza proboszcza, o wyporządzenie stosowne domu, o zakupienie potrzebnych zapasów; upewniał, że dobrą przywiezie im panią.

W przypisku dodał, że Maciek zostaje u szewca Polaka na terminie w Wenecji.

– O już jak ja tego bestię znam – zawołał Pukało – tobym przysiągł, że albo tam jest majstrowa, czego Boże broń dla zgorszenia, albo majstrówna... nie chybi...

Ale o Maćka było mniejsza; posmutnieli wszyscy na tę wesołą wiadomość, bo co to do domu polskiego żona cudzoziemka!

– Skończyły się dobre czasy – szepnął Pukało, powoli składając list – chociażby ona była najlepsza, już tu ani ładu, ani składu nie będzie. Przewróci tu młoda jejmość do góry nogami wszystko na cudzoziemski sposób.

Murzynowska łamała dłonie.

– Ani się z nią będzie rozmówić – zawołała – kto zresztą wie, co oni tam jedzą, skąd ja jej wezmę tych pulpetów i saporów, do których tam jejmościanka przywykła.

– Gdyby tylko choć dobra katoliczka – zawołał z kolei proboszcz – ale to mnie pociesza, że we Włoszech wszyscy są w obediencji kościelnej.

– Nie musi to znów być nic wielkiego, córka kapitana okrętu – dodał Pukało – ani fami-liantka, ani bogata.

– Ale! gadaj waćpan zdrów! – podchwycił proboszcz – w Wenecji, gdzie naród cały po morzu żegluje, najwięksi patrycjusze na statkach życie spędzają... i skarby wielkie zyskują, opływając świat...

– Jak tylko jeszcze wielka pani to stokroć gorzej – rzekł Pukało – bo z państwa rodzą się muchy w nosie, nie z czego...

– Ja jestem prosta sobie kobieta – przerwała z westchnieniem Murzynowska – choć proszę państwa, rodzę się z Grabinkowskiej i ojciec był podstarościm, aleśmy przez złych ludzi utracili substancją... no! no! dosyć; nie chcę być długą, ale wiedzą ludzie, że nie byłabym do tego doszła, ażeby się po cudzych tułać kątach... gdyby... ja jestem prosta kobieta, ale wiele widziałam małżeństw takich, czy pańskich, czy chudopacholskich, gdzie żona była cudzoziemka. Zawsze, nie prorokując, szło to koszlawo.

– Ale waćpani zapomnialiś, że on sam z weneckiej familii pochodzi – zawołał Dalifur.

– O! o! dziesiąta woda po kisielu!... gdzie to kiedy co było... ano, milczę, niech Bóg da jak najlepiej.

Ksiądz powtarzał:

– Tylko żeby była dobra katoliczka, bo to w kobiecie grunt; ale, ot sęk! Jakże ja ją będę spowiadał, kiedy po włosku nie umiem! chyba po łacinie?

Machnął ręką.

– A jak ja jej spytam, co z młodymi indyczetami robić? he! – zawołała Murzynowska.

– Słowem, że lepiej było, żeby się był tu ożenił – rzekł ksiądz.

– No! A jakby miał znowu marnieć, jak marniał po tej tam wojnie długi czas – rzekł Pukało – lepiej niech się żeni, będzie miał co robić z żoną cudzoziemką, choćby ją po polsku uczył, to się nie znudzi i nie zatęskni...

Dopieroż rozpoczęła się narada wielka, kiedy przyjechać mogą, jak dwór przysposobić, co do spiżarni kupić, czym Robnin, trochę staroświecko wyglądający, odświeżyć itd. Murzynowska chciała nowych firanek i obić. Pukało obawiał się o nieco powychylane posadzki. Ksiądz radził, aby tylko spiżarnia i apteczka była pełna.

– No, i piwnica – rzekł Dalifur – boć to i Bolesławowie przyjadą, i pani Anna z mężem i dziećmi, i gości naspraszają, a u nas bez kielichów się to nie obejdzie.

– Byle nie nadto, byle nie nadto! – wołał proboszcz – *ne quid nimis, pocula necessitatis, sanitatis. hilaritatis, ale nie dementiae.*

– Ale zawsze piwnicę zaopatrzyć potrzeba – mówił Dalifur – stare wino, co jest, to ja tu go nie dam, chyba na stempel, a na początek młodego trzeba, byle czystego, z Poznania, okseft jeden albo i drugi.

– A tu te indyczęta! a! te indyczęta! – wzdychała Murzynowska – one mnie zdrowia pozbawią, jak już snu i apetytu pozbawiły. To okropność, epidemia (sic), jak zdychają. Już jak indyk wyrośnie, to tam mówią, że bardzo smaczny.

– Z podlewą – dodał cicho proboszcz.

– Ale niechajby go ten hodował, co go chwali – jęklwie dodała Murzynowska – też to z pańskimi dziećmi tyle biedy nie ma; a siekaj im zieleninę, a zaprawiaj, a nie dawaj na twarzym, bo głupie dzioby pokaleczą. At! Już to nie Pan Bóg indyki wymyślił – rzekła cicho.

Pukało zaczął się śmiać. Proboszcz uważał to za bluźnierstwo i ostro spojrzął na klucznicę, która umilkła.

– A co masła zjedzą! – dodała – bo pewnie kucharza jakiego mondkucha ściągają, co je łyżką na ogień rzuca, choćby śmietankowe.

– W gospodarstwie przerwa wielka – zaczął sobie Pukało – do ogrodu i koło domu ludzi oderwać muszę, aby zaraz robili. Niby z listu widać, że lada dzień spaść nam mogą... Piasek trzeba wozić... grodzić, bielić, oficyna całkiem obleciała... kominy czarne jak Cygany...

Wszyscy brali się za głowy, zakłopotani.

– At! at – pocieszał proboszcz – nie trzeba znów nieszczęścia z tego robić, co Bóg dał na pociechę biednego rodzaju ludzkiego... grzech i to... Jakoś to będzie; pan Bóg pomoże, aby człowiek dobrze chciał. Niech będzie pochwalony.

I to rzekłszy, wymknął się, brewiarz cisnąc pod pachą, rad starowina, że ich porzucił, bo nie mógł poratować, a stękaniny słuchać nieміło.

Pukało i Murzynowska do północy niemal radzili i kłopotali się...

Nazajutrz wrócił przy pracy i humor lepszy, i weselsze na przyszłość spojrzenie. Krzątali się już, jak gdyby państwo młodzi co chwila przybyć mieli.

Ile pobitego drobiu sprzedano, wytrzymawszy do ostatecznego terminu, ile kadzidła wyszafowano we dworze, smółki, skórek od jabłek, trociczek i proszków, zliczyć trudno... Oczekiwana para nie przybywała... Jesień się zbliżała krokami wielkimi, żniwa skończyły, lasy pożółkły, poczerwieniały, poopadały z liści, nie przyjeżdżali i nie przyjeżdżali...

Listy wprawdzie przychodziły, obiecujące wkrótce przybycie, nie oznaczające terminu. Po każdym z nich z nową gorliwością brali się Pukało i Murzynowska do przygotowań, ale... tygodnie i miesiące upływały, a ich nie było i nie było.

Zaczęto już i w piecach przepalać olchowymi drewnkami po kominkach, bo przymrozki brały, gdy jednego poranka, kiedy Pukało był nie ubrany, a Murzynowska chodziła około chorocego cielęcia, ni stąd ni zowąd wsunęła się w dziedziniec landara obłocona, zaprzężona końmi posprzęganymi ze wsi. Chłopiec przybiegł dać znać na folwark, że państwo przyjechali.

– A! dalifur! a kontusz w kufrze! – krzyknął Pukało.

– Matko Boska! to nieszczęśliwe ciele! – wołała, biegnąc co tchu po kitajkową zieloną suknię Murzynowska.

W domu nawet od trzech dni, jak na złość, przepalane nie było... chłód przejmujący po pokojach.

Na progu, w ganku nie przyszedł ich nikt z chlebem i solą powitać, ale Konrad pocałował w czoło młodą swą, piękną, choć smutną i strwożoną małżonkę, przypatrującą się dziwnie temu domostwu poważnemu a smutnemu, które się zwało przyszłym jej domem.

Po tamtym kraju jakże się tu wszystko wydawało dziwnie, smutno, chłodno, dziko; ludzie jacyś zbiedzeni, niebo szare, kraj płaski, wody ubogie, a jak na złość nawet w tej porze ani zieleni, ni kwiatu! Na jej twarzyczce wdzięcznej znać było walkę, którą odbyła, nim opuściła ukochane Lido, brzeg Adriatyku i pływającą po morzu ojczyznę swoją. Zbladła, osmutniała, tęsknotą była obleczona od stóp do głów.

Jemu radością świeciła twarz, on oddychał raźniej, rozmawiał z każdym kamieniem i drzewem, śmiał się do ludzi i ścian, ona coraz wyglądała smutniejszą, nie mogąc tej radości dzielić.

Na próżno ścisnął ją, całował, chciał utulić i rozruszać i ujawszy pod rękę, powiódł do domu, ukazując jej bogactwa swoje. Niestety! choć dom zamożny był, dostatki te ubogo się wydały dziewczęciu, które widziało pałace Contarinich, Morosinich, Cornarów i innych patrycjuszów Wenecji. Wszystko tu było skromne, szare, niebłyszczące, ciche jak dawne życie wiejskie, a sam Konrad zdziwił się, to, co dawniej wydawało mu się pysznym, znajdując biednym i małym. Nawet rozmiary dworu zdawały mu się czegoś ciałniejsze... wszystko postarzało i jakby w ziemię zapadło.

Cazicie jedno z daleka widne jezioro podobało się... woda przypominała jej ojczyznę, uśmiechnęła się do niej jak do starej młodych lat przyjaciółki.

Ale nareście i Pukało nadszedł zdyszany, w nowym kontuszu ze źle związanym pasem, za którego przecie nieforemny węzeł chłopak po uszach oberwał, niosąc w rękach półmisek z chlebem i solą, która się przewróciła i wysypała. Omen był straszny...

Ale Konrad pochwycił starego w objęcia i całując go, płakał, a Pukało też sobie się rozszochał. Cazita patrzyła z dala niespokojna. Nie wiedział stary, jak ją przywitać, pana prosił za tłumacza, a ukradkiem spojrzął jej w czarne oczy i wydała mu się w tej chwili dobra i miła... a dziecięca. Więc ścisnął raz i drugi kolana, schyliwszy się, i tak przemówił wymownie, a od serca, że Cazita zrozumiała, jeśli nie słowa, to intencją i uczucie.

Tuż w kitajkowej sukni zielonej, myśląc zawsze o konającym cieleciu, wbiegła i Murzynowska mniej śmiało. Przypomniała ona pani Konradowej trochę ciotkę Anunziatę na mniejszą skalę i temu winna była uśmiech, który ją spotkał.

Przyszła jakoś do siebie cudzoziemka, uśmiechnęła się i do męża; poszli razem po dworze oglądać, do szeleszczącego liśćmi ogrodu, na podwórzec, po gospodarstwie.

Tu biednej Cazicie wszystko trzeba było tłumaczyć i wszystko się jej wydawało niezrozumiałym mimo pracy, z jaką mąż usiłował ją w nowe wtajemniczać życie. Roztargniona, szukał oczyma... jeziora...

Mimo chłodnego powietrza uprosiła, że doszli aż do brzegu i stanęli przypatrując się szumowi fali, ale po chwili pobladła smutna.

– Słuchaj, *mio caro* – rzekła – to coś okropnego, ta woda inaczej się odzywa i co innego mówi... głos jej zimny, macoszyn, nie mojej matki Adryi... nie... Ja nie rozumiem nic... to język wasz... obcy... to woda jakaś inna, smutna... bez smaku...

Zaczerpnęła jej dłonią i rzuciła na ziemię.

– Jak to! – zawołała – taka przestrzeń wody bez odrobiny soli... mojej fali znam smak ostry i szczypiący... ta... zepsuta, czy ją mróz wasz wygotował, czy...

Zamilkła, bo Konrad posmutniał. Uczepiła mu się na ramieniu.

– Cóż robić – szepnęła – to twoja ojczyzna... chciałeś, bym jej spróbowała, żyć bez niej nie możesz... a ja... a ja – dodała, tuląc ręką bijące serce – ja bez mojej... dla ciebie... spróbuję!

Poszli, już nic nie mówiąc do siebie. Czasem zbudziła go jakim pytaniem lub przykrym dla niego uśmiechem.

– U was wszystko z drzewa, u nas wszystko z kamienia... jak to dziwnie – mówiła. – I nie boicie się ognia, wiatru, wody?

– Ale u was ja się więcej jeszcze boję morza wśród tych stosów kamieni na drżących palach, które jedno wstrząśnienie poobalać może.

– O to! – zawołała Cazita – wieki to stoi...

– I to stoi wieki – dodał Konrad – a człowiek żyje tak krótko...

– To prawda – szeptało dziewczę – tu na każdym kroku czuć, że się nie na wieczność budowało.

Ludzie, domy, zwierzęta, wszystko ją dziwiło; przestraszała się rwących koni, które Konrad ze stajni wyprowadzać kazał, załamała ręce, gdy wsiadł na jednego z nich, aby i jej swą zręczność pokazać i po długim spoczynku znowu się uczuć na siodle...

Cazita padła prawie na wschodkach ganku, gdy młodzieniec, uniesiony wspomnieniem wojaczki, wypuścił drogą wierzchowca i jak strzała, pędząc, znikł jej z oczów. Już płakać zaczynała, gdy zawróciwszy w cwał powrócił, osadził konia i skoczył z niego do stóp jej.

– A! Corradino! już ja ci chyba nigdy nie pozwolę dosiąść konia, ty szalejesz, to jest dzikie stworzenie.

– Znać, żeś nigdy innego prócz brązowych waszych na kościele Św. Marka nie widziała – zawołał Konrad, czule ją ściskając – dla nas koń jest tym, czym u was gondola. Słyszałaś, by Wenecjanin wywrócił się i utopił z gondolą, otóż Polak tak z koniem; bądź spokojną.

Na wieczór przybył proboszcz w nowej sutannie z powinszowaniem i błogosławieństwem domu; i ten się trochę wydał dziwnie Cazicie, ale dobry starowina wkrótce ją swą łagodną fizjognomią pozyskał.

Tak przeszedł na wpół niezrozumiałej rozmowie, długo w noc przeciągniętej, pierwszy wieczór w Robninie pięknej Wenecjance. Noc była wietrzna, chmurna, wiatry bił okiennicami do rana, wył w kominach i dziwnymi głosy jęczał dokoła domu, choć przywykła do szumu fali, Cazita usnąć nie mogła, siadła w łóżku i płakała.

Z wymówką prawie spojrziała na uśmiechniętego Konrada, na którego ustach igrał uśmiech uspokojenia błogiego. Wstała po cichu, na palcach i poszła pisać do Anunziaty.

A list był smutny, długi i nie w jednym miejscu łzami zmasany.

Nad ranem chmury rozpędziła burza, pokazały się gwiazdy, ale nagły mróz, taki jaki często chwyta niespodzianie późną jesienią, wyiskrzył się, ścinając lodem wszystko, okrywając drzewa wilgotne szronem, bieląc ziemię i lasy, i wody...

Cazita usnęła znużona. Gdy się zbudziła z czerwonymi jeszcze od płaczu oczyma, Konrad stał nad nią, rumiany od chłodu, z którego wracał, wesół, szczęśliwy.

– Chodź – zawołał – wyrzyj no tylko na ogród okienkiem, póki wyżej nie podejdzie słońce i nie roztopi brylantów, jakimi noc obwiesiła drzewa, chodź i przypatrz się cudom tej dzikiej ziemi.

Cazita, obwinęta zarzuconą suknią, dała się pociągnąć do okna.

W istocie świat wyglądał jak zaczarowany... przestraszyła się prawie. Gościnną ziemią wystroiła się dla obcego dziewczęcia, gałęzie drzew wyglądały jak szklane, najdrobniejszy pączek był obłany brylantem, białe puchy, jakby nowymi liśćmi, ubierały krzewy i najcieńsze gałązki. Cazita krzyknęła z podziwu, ale oko jej, nie przyzwyczajone do tego widoku, ucie-

kało strwożone prawie od niego. Wiało chłodem od tych cudów. Ptaszyny z podwórza, świergocząc, tuliły się pod okno i strzechę, szukając trochę ciepła i drobiny życia.

Cazita o mało im nie otworzyła szyby, aby przyjąć tych, jak ona, zziębniętych wędrowców...

Młodość ma w sobie zapasy siły, którymi wiele przemóc może, gdy zechce, czasem potęgę instynktu, który bezwolnie w człowieku działa, aby go z otaczającym poślubić światem...

Wenecjanka po kilku dniach pobytu w Robninie, trochę się już z nim i krajem oswoić musiała, ale zawsze jeszcze było to obce i nieswoje; czuła, że tu nic nie potrafi, prócz tęsknić. Wieczorami przywiezione z sobą widoki Wenecji rozrzuciła po stoliku i jak dziecko bawiła się tymi obrazkami, przypominając Konradowi, gdzie z nim byli razem, opowiadając, co tam niegdyś widziała i słyszała. Wesoło zaczynała się powieść, ale głos powoli zniżał i w końcu, w końcu łza ukrywana padła na kochaną kartę przypominającą *Venezia la bella*. Teraz też ona jeszcze świetniejszą, cudowniejszą wydawała się wybrance zbolalej. Leciała do niej myślą, sercem... Szukała ojca po morzach dalekich, ciotki na Lido osamotnionej, nawet tych, których nie kochała dawniej, Antonia i Giulii...

Konrad, zaledwie przybywszy do domu, napisał zaraz do siostry i brata, zapraszając ich do Robnina; dalsza też rodzina i powinowaci ciekawi byli poznać cudzoziemkę, do której wówczas mieli urazę, że im niespodzianie serce brata schwyciła.

Nie znając jej, wszyscy byli po trosze uprzedzeni przeciwko tej obcej, co im się tak pod strzechę wkradła, a trochę podszeptowała szlachecka dumka przeciwko może nieszlachciance, a pewnie ubogiej dziewczyninie. Anna, siostra Konrada, nie umiejąca po włosku, Bolesław, umiejąc niedobrze i niewiele, kłopotali się zawczasu rozmową. Zapominali, że sami pochodzili także od przybysza, wrosli już byli w nowy kraj i do jego obyczajów przywykli. Wszystko to na dzień naznaczony zbiegło się sanna drogą do ośnieżonego dworu, którego kominy pały i ściany świeciły od pozapalanych świec. Cazita chodziła wystrojona, ale drżąca, czekając na przybycie rodziny; łzy się jej kręciły w oczach. Nikt by w niej teraz nie poznał owego wesołego dziewczęcia rozpieszczonego, które się z takim *brio* zjawiła na pokładzie statku „Padre Antonio”. Nie zbrzydła Cazita, była szczęśliwą, kochała Konrada całym sercem południowym, namiętnie... a jednak pożerała ją tęsknota, szarpał sercem widok tego świata, do którego nie była stworzoną, który ją przestraszał i męczył, nawet gdy chciał ukołysać i przytulić.

Widziała męża szczęśliwym i milczała, ale w sercu i na ustach nieustannie miała jedno – wrócić tam na brzeg Adriatyku, sięść w domu na Lido, patrzeć na lazurowe fale i oddychać słonym powietrzem morskim. Ale cóż? Tam Konrad znowu zatęskniał za borami swymi, tam on smutny wałęsał się, oczyma szukając jakichś przypomnień swego kraju. Cazita widziała go ze łzą w oku, podsłuchującego rozmów Dalmatów, tych *portatore* i *portatrice d'aqua*, których język miał dźwięki do jego mowy podobne, posyłającego westchnienia ku wschodowi i północy, szukającego na horyzoncie strony, z której wiatr mógł mu przynieść dym kominów jego ziemi. Cazita widziała, jak szczęśliwy sechł i chudł z niecierpliwości powrotu, jak każdy list z domu oblewał łzami i witał serdecznymi śmiechami, jak pragnął choć na chwilę być tam i zacerpnąć powietrza, co by mu na czas jakiś życie dało.

Ale tu znowu ona tej samej dostała choroby, tęsknicy. Konrad radził na nią, ale lekarstwa nie było.

Serdeczne były powitania siostry i brata. Cazita poczuła się na chwilę obcą, trochę zazdrośną, ale te poczciwe serca objęły ją zaraz ciepłem swoim i nie dopuściły pozostać samotną. Anna, miła, gadatliwa, rumiana, dosyć otyła *gospoia*, przywykła do krzątania się w domu, poczęła pomagać niedoświadczonej Włoszce do zajęcia się gospodarstwem; dodała jej ochoty, śmiałości, wesela... Wszystkiemu poklaskiwała i znajdowała swą uczennicę na podziw pojętą i zręczną; rozmawiała z sobą nie wiedząc jakim językiem, ale się pokochały.

Bolesław był szlachcic z kości, hreczkosiej, domator, wygodniś, przywykły do swych godzin, swojej kuchni, twarzy, ścian i ludzi. Zrobił wielką dla brata ofiarę, że do niego przyjechał, a choć ten dwór stary jego także młodości był piastunem, już mu tu po jego domu własnym nie było bardzo wygodnie. Uplakał się wprawdzie, ściskając starego Pukałę, ale wprędce zateęsknił za swoją kanapką kolbuszowską, poduszką turecką i kominem, na którego ogień nawykł był patrzeć milcząco godzinami całymi, marząc o niebieskich migdałach.

Kochał Konrada, a męczył go Konrad opowiadaniem i pytaniami bez końca... podobala mu się bratowa, a wolałby być, żeby jej nie było, boby się był wygodniej mógł przebrać i zrzucić paradny żupan i kontusz... a od pasa się uwolnić.

Przy wieczerzy jednak i kieliszku wina chmurki i obłoczki z czoła biesiadników pozlatywały, wesołość przyplęnęła z tokajem starym... rozmowa się ożywiła. Cazita nawet, objęta jej wyziewami, poczuła się śmielszą i weselszą. ale na nieszczęście Konrad przyniósł do wina kielich z pięknego szkła robiony w Murano; Włoszka przypomniała Wenecję, gondole i tę piękną wyspę szklarzy, i swoje Lido, i żeglującego daleko kapitana Zeno. Rozplakała się; musiała uciec od stołu, Konrad pobiegł za nią, Anna za nimi, tak że Bolesław, Pukało i ksiądz proboszcz zostali sami przy stole prawie.

– Co to jej jest? – spytał Bolesław Pukałę – czy ją kto obraził?

– Ale gdzie zaś panie... to włoskie jakieś fantazje... ona, proszę pana, tęskni tak za tą swoją Wenecją, że do szaleństwa prawie.

A proboszcz dodał potakująco:

– Ekstra dobra osoba, ale znać to, że się w naszym kraju nie urodziła; całe inny obyczaj. Dobra katoliczka, pobożna... co za szkoda, że cudzoziemka.

– No, to się powoli przerobić może! – rzekł Bolesław.

– Chyba nie – rzekł Pukało z cicha – ja na to patrzę, dalifur, z przeproszeniem pańskim, od samego początku, ale choroba zamiast coby się zmniejszała miała, powiększa się jeszcze z dniem każdym, dalifur. To jest *ni fallor* zły znak.

– Pan Bóg odwróci! – szepnął proboszcz, przypatrując się winu przeciwko światła i znajdując bursztynowy jego kolor bardzo pięknym.

– E! mospanie – odparł Bolesław – aby Bóg dał potomka Konrowi, wszystko to minie... u kolebki dziecięcia matki ojczyzna... przywiąże się... a zatem konsolacji przyszej!

I potracili kieliszkami, ale Pukało westchnął.

– Pan wie – rzekł na ucho Bolesławowi – jegomość nasz nie żartem myśli na wiosnę z nią do Wenecji jechać... to nas zrujnują te wojaże. Prawda, że tam na miejscu mało co życie kosztuje, bo dom swój mają, ale póki się tam dobić...

– A jakże tam z substancją, nie wiesz? – zapytał Bolesław – nie mówił Konrad?

– Niewielem się dowiedział – odparł Pukało – nie widzi mi się, żeby to tam wielkie rzeczy być mogły. Cały majątek kapitana – statek, a to, dalifur, proszę jegomości, byle dobry wiatr może się rozprysnąć i pójść w deski i trzaski. No, a domek, murowanka, co tam może być wart. Jejmość z sobą przywiozła coś tych cekinów, ale tego ani chce tknąć nasz pan.

– No? przywiozła? – spytał Bolesław – sporo? sporo? wszak ci to Konrad, jak orzech zgryźć, mógł wziąć w domu spokojniuteńko jakie parę kroć, coby sobie był wioskę kupił, jaką sam chciał... Jak miarkujecie, co to tam być może?

– A! tego nie wiem – cicho szepnął Pukało – ale szkatuła ciężka...

– No, to taki coś jest... chwala Bogu – rzekł Bolesław – a nie wiecie, czy szlachcianka?

– Pan mówi, że to dom zubożały, ale z wielkich patrycjuszów gałęzi.

– Nie widziałeś aś herbu?

– Nie, ale mi pan mówił, że mają łódź złotą w niebieskim polu.

– No! to niczego! – rzekł Bolesław – wszystko dobrze, gdyby nie te fonfry w nosie.

Proboszcz, jednym uchem słuchając, dodał z cicha:

– Ale to przejdzie...

W tejże chwili wróciła Cazita uspokojona z siostrą Anną i mężem; mąż był zmieszany, skłopotany, a gospościa udawała wesołość tylko, ale i na jej czole znów widać było troskę... Włoszka starała się uśmiechać, zagadywała, była grzeczna, a mąż czytał z jej twarzy, że rada była, aby się przyjęcie co rychlej skończyło.

Tak przeszedł dzień pierwszy, mało różnie następujące; biedne dziecko pracowało nad sobą usilnie, aby się zbliżyć do nowej rodziny, ale między nią a nimi nie było łącznika prócz Konrada, który sam cierpiał, był roztargniony i dopomóc jej nie umiał. Im więcej, głębiej wyglądała w ten świat obcy, tym się jej straszniej robiło. Tam też całe gospodarstwo składało się z ciotki Anunziaty, prostej kobieciny, starego Pietra., co w ogrodzie pomagał, ojca, a czasem kuzyna Antonio.

Cazita była swobodną, wybiegała, kiedy chciała, bosą na brzeg morza, w kapeluszu słomianym do ogródka, w prostej sukience płynęli się pomodlić do S. Giorgio Maggiore lub S. Biaggio na Riva... tu tysiące miała różnych prawideł do zachowania, ostrożności, przyzwoitości... Była trochę większą panią, ale to państwo zamykało ją, jak w więzieniu, w ciemnym dworze Robnina... musiała pilnować i swojego uśmiechu, i ruchu, i słowa, straciła wesołość, tracąc swobodę.

Trzpiotowate dziecię stało się przed czasem zamyśloną i posępną niewiastą.

Czy smutek działał, czy klimat – nie wiadomo, ale pod koniec zimy, gdy już skowronki zjawiać się poczęły nad szarą rolą budzącą się do wiosny, Cazita zasłabła, pobladła, poczęła kaszlać, straciła ochotę do życia, płakała tylko, a gdy ją Konrad starał się uspokoić, szeptała mu jedno:

– Odwieź mnie tam! tam niech tylko popatrzę na Adriatyk, niech odetchnę moim powietrzem, pobiegnę do mojego ogródka... będę zdrową... będę zdrową.

Konrad nie śmiał jej powiedzieć, że on tam może chory będzie, żal mu się zrobiło biednej, ukochanej istoty...

– Poczekaj – rzekł – niech się zazieleni ziemia, niech ja zobaczę moje lasy w ich świątecznych strojach, nasze kwiatki w młodych sukienkach, nasze jezioro rozkołysane... pojedziemy...

Jak Julia w Shakespearowskim dramacie, w tej cudnej scenie nadchodzącego poranka, Cazita upatrywała wiosnę nadchodzącą w dniu każdym; przyniosła uszczęśliwiona pierwszy listek dzikiego agrestu, pierwszą rozwiniętą w śniegu przelaszczkę... cieszyła się, gdy lody pękały na jeziorze... i wylatywała na słońce spróbować, czy dobrze już grzeje. I wołała:

– Konradzie mój! już wiosna! już wiosna! Na Lido puściła pewnie winna latorośl... jedźmy, jedźmy!

Konrad czekał, jemu tak żal było swojej wiosny i rozwoniałych brzoź, i pękających bzów... odkładał do jutra. Próżno przymilała się Cazita, prosił tak pięknie o dzionek jeszcze, o dwa dni – czekała, patrząc okienkiem.

Nawet czarodziejskie to u nas odmłodzenie ziemi nie zdziwiło jej i nie ucieszyło, patrzyła na drzewa z wyrzutem prawie, że do włoskich nie były podobne, kwiaty znalazła drobnymi i słabymi, wody jeziora wydały się jej brudniejsze nawet niż woda lagun weneckich...

Konrad czuł, że potrzeba było jechać, bo Cazita nikła mu w oczach, bo policzki jej kwitnące traciły barwę, wzrok blaski wyplakane, czoło pogodę.

Ale jak się tu było przyznać przed rodziną, przed swoimi, nawet przed starym pocziwym Pukałą, że zamiast wziąć się do gospodarki, Konrad miał znowu puścić się na nie wiedzieć jak długą pielgrzymkę... Domyślał się tego Dalifur, ale przypuszczenia odpędzał, wmawiał sobie, że się młoda pani przyswoi.

Nareście jednego wieczora, gdy zostali sami, Konrad zbliżył się do starego przyjaciela domu i kładąc mu ręce na ramionach, rzekł cicho:

– Kochany mój Pukało, nie mam co taić przed tobą... Cazita chora... tęskni co dzień gorzej, niczym ją rozerwać nie mogę, niepokoi się też o ojca, od którego nie ma wiadomości... musimy jechać, musimy!

Stary nie odezwał się słowa, głowa mu opadła na piersi.

– Nic to nie pomoże – rzekł po chwili. – Ona tęskni tu, ty będziesz tam tęsknić... rób jegomość, paniczu, co ci serce dyktuje. Moje oczy może was już nie zobaczą, a ojcowizna pójdzie marnie. Ale się stało!

Konrad westchnął także.

– Stary przyjacielu, cóż mam począć? Widzisz, jak ta biedna wygnanka zbladła, zmieniona, chora, mogę ją dla siebie poświęcić? Godziż się to?

Pukało nic nie odpowiedział, milczał, gładząc wąsa.

– Ano, róbcie jak wola wasza, nie ma co tu radzić stary...

Skłonił się i odszedł ze łzą w oku, z czapką na uszy głęboko nasuniętą, sumując.

Na progu już Stefanek i Murzynowska poznali po minie, po sposobie otwierania drzwi, że stary z czymś złym powrócił ze dworu.

Stefanek tylko głową kiwnął ku klucznicy, a ona skinęła potakująco, nie śmieli się, szanując smutek jego, odezwać, domyślali się zresztą po trosze, o co chodzić mogło.

Wtem stary, nim mu świecę przynieśli, skinął na klucznicę zapraszając ją do siebie, a Stefanek zaraz do drzwi ucho przyłożył, bo był niezmiernie ciekawy.

– A co, moja jejmość – rzekł głosem wzruszonym – czegom się bał, tegom się nie ubał.

– No cóż? co? – zawołała przestraszona Murzynowska.

– No, jadą do tej Wenecji... bodaj ją tam siarczyste – splunął, nie dokończywszy – taki jada. Co to kobieta, gdy się, mospanie, uprze, a też jeszcze, z pozwoleniem, Półdiablę Weneckie; jak zaczęła stękać, kwękać, chorować, grymasić, chudnąć na złość, otóż jadą...

Murzynowska, dzielając to strapienie, załamała ręce.

– Już ich tu żadna siła ludzka nie powstrzyma – rzekł stary – to darmo... jegomość, panicz, z żalu mało nie płacze, tak mu się jechać nie chce, ale musi!

– Ale bo – ujmując się za płeć swą, dodała Murzynowska – ona bo nieboraczka z tej aury choruje; widzisz asindziej, jaka blada.

Pukało machnął ręką.

– Dalifur! – zawołał – dalifur! polityka ta choroba, ino się uparła... strzyżono, strzyżono... Juścić jej tam nie lepiej w kamieniczce; ale co to gadać... nie posądzam, coś ciągnie jejmość.

Murzynowska się oburzyła.

– Dałbyś to jegomość pokój!

– Ano prawda – odparł Pukało – alem zły... folwark, dwór, wszystkiego dostatek; ptasiego mleka chyba brak, a jeszcze źle i źle.

– Już że dogadzaliśmy, to niech nie grzeszy, z pozwoleniem, jak wrzodowi... a mąka żeby była biała, a bułki tylko pszenne i pszenne... a sałaty w zimie... a potrawy cudackie, co ich nikt prócz niej w gębę nie wziął, chyba on przez grzeczność...

I powiadam jejmości – zawołał patetycznie Dalifur – zobaczycie, że oni tu już nie powrócą, ona go nie puści, opustoszeje nasz dwór, pójdzie kawał dobrej polskiej ziemi w cudze ręce. Ale – westchnął – moje tego oczy nie zobaczą... dawno trumna wyschła, żytem nasypiana, czeka na strychu... toć w nią wlezę, żebym na ostatnią zgubę nie patrzył.

– I!... wstydzilibyś się znowu jegomość, tak brać do serca.

Stary aż płakał. Siadł w krześle na poduszce i oczy ocierał.

Nagle myśl mu jakaś przyszła, porwał za kij, za czapkę, świecę z porywczymi palcami zagasił i szybko z folwarku wyszedł. Murzynowska wyjrzała i ruszyła ramionami; nie poszła

spać spokojnie, dopóki wysłany Stefanek nie przyszedł z raportem, że stary się powlókł na plebania.

Świeciło się jeszcze w sypialni proboszcza, gdy do drzwi zdążył Pukało, ale psy już wartowały w dziedzińcu, dobrze, że go poznały, a chłopak zaspany ledwie mu nierychło otworzył. Ksiądz odmawiał pacierze, myślał, że do chorego wzywać go przychodzą, sutannę starą narzucił; zdumiał się, zobaczywszy Pukałę o tej porze.

– A co tam? – spytał – czy nie co złego, *quod Deus avertat*.

– Złego, złego, mój ojcze – zawołał Pukało – pociechy u was szukać przychodzę. Już taki postanowiono, nakazano... wyjeżdżają.

– Któż? co?

– Ano, państwo.

– Dokąd?

– Do tej Wenecji przeklętej.

– Któż ci to mówił?

– Z jegom ust miał dyspozycją!... niewesoło i jemu – rzekł stary – ale kobiecie się oprzeć nie umie... jadą... To ruina! to zguba, ojcze! jeżeli wy nie uczynicie refleksji...

– Ja? – zapytał ksiądz – a co to do mnie należy?

– Jak nie wy, to któż?... macie ich sumienia w ręku, przemówcie.

Proboszcz głową kręcił.

– Złe to może być – rzekł – ale wedle świata i grzechu nie ma; ja się w to wdać nie mogę. Szkoda mi ich, a posłuchać mnie nie zechcą.

– Więc wy mi odmawiacie? – płacząco zapytał Pukało.

– Spróbuję słowo rzucić, ale to będzie groch o ścianę... nie moja rzecz...

Pukało wstał z krzesła.

– To tak – zawołał – sądzono, sądzono, aby oczy moje patrzyły na ruinę tego domu, na zgubę... niechże będzie wola Pańska! Ale nie przeżyję ja tego, ojcze mój! Ten dom, jakby mój rodzicielski własny; ten chłopiec, to jakby dziecko moje; ten majątek, jakby ojcowizna. Wżyło się tu, wrosło, pracowało, aby pomnożyć, aby utrzymać, a tu fantazja jednej kobieciny wszystko w proch obraca... Fantazja, mówię jegomości – krzyknął głośniejszym głosem – bo ja temu nie wierzę, żeby chora była i tęskniła, jeśli męża kocha. Mąż dla niewiasty światem, wszystkim, ale to, z pozwoleniem, Póldiablę Weneckie!

Chwycił za czapkę w pasji, chcąc wyjść, gdy go proboszcz za ramię ujął.

– Kochanie, Pukało, z żalu ci się w głowie wywraca? A toż po chrześcijańsku, a toż po ojcowsku tak sierzcić się na to biedne dziecko? Ha? myślisz, że jemu też serce nie boli opuszczać dom, kraj, rodzinę, a uchowaj Boże, by się jej co stało... dobrze by mu było nosić trupa na sumieniu? Wstydz się, stary, zmów pacierz i uspokój się, a za grzech porywczności powtórz po pacierzu siedem razy: Bądź wola Twoja...

Pukało zmięknął, proboszcza w ramię pocałował, łzę otarł i mrużąc, wyszedł z plebanii.

Piękna była noc wiosenna, a w krzewach ogrodowych na zabój śpiewały słowiki... w dali słyhać było szum fali jeziora, jakby ruch kołyski, co dziecinę usypia; wiało zewsząd wonią młodości, kwiatami, liśćmi, trawami... a świat ten wyglądał tak cudnie, że Pukało aż się na płacz zebrało.

– I taki to mając kąt własny, trzeba im się tłuc po obcym świecie...!

Z cicha włókł się popod ogrodowym parkanem; księżyc pasami spomiędzy drzew starych smugami światło po darniach rozrzucał, a wysokie topoli wierzchy w ciemnych kędyś tonęły niebios błękitach... W krzakach ledwie się liść ruszył niekiedy, taki był spokój i cisza. Dalifur poglądał w ten ogród, wyobrażał już sobie, jak w nim obcy gospodarzyć będą, i żółć mu się burzyła. Wtem stanął. Na ławce pod kasztanami zobaczył siedzącego Konrada, który, głowę ująwszy w dłonie, zęgnął się ze swoją siedzibą. Wśród ciszy wieczora Pukało dostyszał led-

wie pochwyconego jęku i żal mu się zrobiło znowu tego człowieka jak własnego dziecka. Przeszedł na palcach, szanując tę chwilę boleści, a gdy minął kasztany, rzekł sobie:

– *Mea culpa!*... cóż mnie staremu narzekać, kiedy on cierpi! Mnie ulżyć mu ciężaru, a nie dodawać go jeszcze... Stań się twa wola Panie... Pukało wiernym będzie do ostatka służą... a płakać zawsze czas i potem – dodał w duchu. Gdy już do wyjazdu rozkazy były wydane, odżyła biedna Cazita; teraz wszystko jej było piękne, weselem ożywiła się twarz, błysnęły oczy, uśmiechnęły się usta, rzuciła się na szyję Konradowi.

– *Corradino mio, angelo caro!* tyś dobry, tyś kochany, tyś święty! – I z wielkiego wzruszenia do nóg mu padła. – O! tak! ja czuję, jam ciebie niewarta – zawołała – ja nie miałam siły tak ci wszystkiego poświęcić, jak ty mnie; jam biedne słabe dziecko! grzesznica! jam rozpieszczona jedynaczka... Ty mi przebac! ja bym tu była umarła i to powietrze mnie dusiło, zabijało! I ojciec! ojciec! ja jednego w świecie mam ojca, a on tak mnie kochał, i on tam ginie z tęsknicy za niewdzięczną... tylko mnie dowieź do niego. Niech ja go zobaczę, niech on mnie uściśnie. Jam mu potrzebna, niech się pocieszy, żem szczęśliwa! *Corradino mio!* powrócimy tu i ja już... nie zatęsknię ci więcej, będę posłuszną, będę wesołą, będę tylko twoją...

Jakże się było oprzeć temu gwałtownemu uczuciu? Konrad nadto ją kochał, aby mógł to uczynić, rozkazał przyspieszyć przygotowania odjazdu. Obawiał się Pukały, ale i stary nazajutrz po tym wieczorze był bardzo zmieniony, do niepoznania. Chcącej gderać Murzynowskiej zamknął usta, a sam z troskliwością ojca wziął się do wyboru w podróż panicza.

Tylko, gdy w ganku przyszło mu się z nim pożegnać, gdy sobie padli w ramiona, piastun stary, sługa wierny i wychowanek serdeczny, rozplakali się oba płaczem wielkim, nieutulonym, długim i słowa już do siebie rzec nie mogli.

Proboszcz przeżegnał landarę.

– *Deus vos... ducat, reducat* – szeptał, a łzy mu ciekły po policzkach.

Płakali wszyscy... a gdy dwór z oczów zniknął, Cazita rzuciła się znów na szyję mężowi.

– Tyś anioł – rzekła – jam niewdzięcznica.

I jej łza pociekła, lecz wiatr wiosenny prędko ją osuszył.

Inaczej teraz dopływali do miasta, które dziecię jego tak chciwie ujrzyć pragnęło, wiosna to była znowu, ale powietrze chłodne, burzliwe, pora wietrzna; niebo okryte porozrywany mi obłokami, spoza których ukazał się czasem różek lazuru wiekuiestej obłony sklepienia, ale natychmiast pokrywały go gęste, lecące od ładu tumany.

Wicher i rozkołysane fale nie potrafiły powstrzymać Cazy spragnionej domu, niecierpliwszej coraz im się bardziej do niego zbliżała.

W Trieście dom ciotki zastali pustym i nic od nikogo w nim o „Padre Antonio” i jego panu dowiedzieć się nie mogli; staruszka wyjechała była do krewnych. W porcie mało było statków, a i te, co stały na kotwicy, czekały pogody, nie chcąc się puszczać na morze rozzłoszczone i niebezpieczne. Ale Cazita płakała, Konrad musiał pójść szukać jakiejś łodzi, bodaj rybackiej nieco większej, aby ją nająć do Wenecji.

Podróż obiecywała być długą, przykrą, ba, nawet niebezpieczną, ale Wenecjanka śmiała się z postrachów tych i utrzymywała, że żaden prawdziwy marynarz wiosennych się wichrów nie lęka.

Niebo się jakoś rozpogodziło, choć niezupełnie; łódź znalazła z pomostem dość niewygodnym, *padrone* statku ofiarował się jechać natychmiast, ugodzono się więc z nim do Wenecji.

W mieście zaręczono za kapitana, że był doskonałym żeglarzem i starym doświadczonym sternikiem, że znał brzegi, mielizny, niebo i wodę jak swoją kieszeń. Wyglądał też na człowieka, który suchary jadł nie z jednej beczki (bo nie można o nim było powiedzieć, że chleb jadał z niejednego pieca). Ogorzały, czarny, ze skórą wyprawną od słońca, zarosły jak niedźwiedź, w osmolonej kurcie podobniejszym był do korsarza niż do uczciwego kapitana

statku, trudniącego się przewozem towarów, a w wolnych chwilach rybołówstwem. Kilku ludzi równie dziwnie dobranych składało całą załogę.

Cazita wszakże uczuła się dopiero wesołą i szczęśliwą, gdy pokład – kołyszący się już w porcie pod stopami jej, tak że się ledwie utrzymać na nogach było można – poczuła. Oko jej ku Wenecji zwrócone błyszczało...

Gdy kotwice ściągnięto, a statek o na pół rozwiniętym żaglu wyruszył, fala nim tak rzucać poczęła przy wejściu na pełne morze, iż wszyscy prócz majtków posiadać i czepiać się musieli lin i drągów, aby ich wiatr nie zrzucił z pokładu lub woda przez głowy przeskakująca nie zmiotła.

Było to ku wieczorowi, a po małej próbie kapitan Seboni przekonał się, że nocą płynąć dalej nie było podobna, musiano zawrócić do portu i tam znów kotwice zarzucać do rana. Ale ani Cazita, ani Konrad nie wysiedli już na ląd, postanowili czekać uspokojenia lub poranka.

Przebudzili się o brzasku, gdy łódź znowu z portu wypływała, rzucana falami wysoko lub pogrążająca się w głębiny.

Rozhukany Adriatyk był przepyszny obrazem, fale piętrzyły się, wyginały, rozbijały z łoskotem ogromnym, z niezmordowaną furją, zdając popychane jakąś siłą niewidzialną, bo wiatr nawet chwilami nie wydawał się tak gwałtowny... Przybrały one teraz barwy inne, płowe, zielone, bursztynowe, a na wierzchołkach ich kłębiła się piana śnieżysta, jak w pysku rozjuszonego zwierzęcia.

Łódź zdawała się tonąć co chwila, pochylała na bok, kładła, maszty uginały i trzaskały od wiatru nagłego, powrozy rwały, grube płótno żaglowe darło w kawały. Zaledwie odrobinę jego można było na ten prąd wystawić, który nagle ustawał i powracał znowu niepokonywany. Z chmur lało to deszczem chłodnym, to drobnymi zmarzłymi perełkami, to promień słońca spadał na głowy i uciekał zaraz, ślizgając się dalej po morzu, a wlokąc za sobą goniący go cień czarny od napędzającego obłoku.

Cazita była w zachwyceniu, Konrad milczący, kapitan Seboni latał, kłął i nie żałował ani pięści, ani sznurów, ale też ani własnej pracy... Łódź unosiła się szybko, trzymana w oddaleniu od niebezpiecznych brzegów.

Cały dzień trwał tej bój z uporczywą burzą, ku wieczorowi znużone fale nieco opadły, niebo porało się długimi pasy chmur układających do spoczynku, płynąć już było można nocą bezpieczniej. Zapalono lampę przed obrazkiem św. Teodora, kto, jak mógł, uwinąwszy się położył.

Nazajutrz ranek był mglisty, powietrze parne, nic dokoła nie było widać prócz wyziewów jakichś gęstych, buchających niby z kotła z rozgotowanego morza. Fale kołysały się szerokimi płatami jak niezmierne opony zielone i szafirowe.

Już nad wieczorem, o pomarańczowym słońca zachodzie, w blaskach ostrych kończącego się dnia, ujrzeni Wenecją... Lido...

Cazita rozplakała się z radości, ale łódź płynęła powoli, wiatr był nierówny, targany, rwał z różnych stron, żagłów całych rozpiąć nie było podobna...

Ława piasku i strzelające nad nią wieżyce rosły bardzo powoli... była noc, gdy na ostatek dobili do portu. Potrzeba było doczekać ranka, aby się na ląd wydostać.

Cazita, wpatrując się w światelka nadbrzeżne, całą tę noc nie zmrużyła oka. Nareszcie ukazała się gondola, zrzucano pakunki, popłynęli milczący wprost na Lido. Już ona mówić nawet nie mogła, wsparła się na ramieniu męża, oddychała powietrzem swoim, była prawie szczęśliwą.

Z dala pokazał się domek murowany. Serce uderzyło gwałtowniej, ranek się rozjaśniał, piękny był nawet, ale koło mieszkania kapitana czegoś pusto, żywego ducha... Cazita dojrzała zaraz pozamykanych okiennic w pokoju ojca... zapartych drzwi od ulicy... przecucie złowrogie targnęło jej duszę.

Wysiedli... nie śmiejąc pytać, szli oboje do drzwi. Konrad w nie uderzył, echo rozległo się, jak po pustce, raz i drugi. Aż w górze otworzyło się okno nierychło, siwa głowa ciotki Anunziaty ukazała się z niego i dwa okrzyki powitania razem słyszeć się dały. Kobiety wyciągnęły ku sobie ręce...

Potem jak grzmot przeleciał wschody, rozwarły się drzwi, stara ścisnęła ukochaną siostrzenicę.

– A ojciec? ojciec? – pytała Cazita.

– Ojciec! ojciec dotąd nie powrócił – odpowiedziała ciotka zdyszana – mówią, że popłynął do Stambułu... Nie wiemy... ale ileż to razy dłużej go nie było!

– A wieści...

– Żadnej... to jest myślę się – jękała ciotka – powrócił Beppo, który mówił, że z dala widział niedaleko Korfu statek „Padre Antonio”.

– Dawno?

– O! już to temu ze cztery miesiące... – Z tą smutną wieścią weszli nareście do opustoszałej kamieniczki.

Cazita pobiegła do swej izdebki, otworzyła okna, okiennice i klękła przed obrazkiem.

Potem zerwała się dziękować Konradowi, który jak świadek niemy, smętny stał i patrzył na jej oszalałe wesele, niepokój i smutek. Była bowiem znowu smutną, a twarz ciotki Anunziaty, gdy jej rozpytywała o kapitana, usprawiedliwiała tę troskę. Jej odpowiedzi nawet były jakieś jękające się, niepewne, jakby obrachowywane dla córki. Konrad podejrzewał nie bez przyczyny, iż mniej podobno mówiła, niż wiedziała. Smutek nadawał jej twarzy zwykle rozjaśnionej, wesołej, dziwnie przygnębiony charakter. Łzy, które się dobywały z oczów, można było wprawdzie i radością, i wzruszeniem tłumaczyć, ale nadto uparcie powracały na powieki.

Cazita wstała od modlitwy i żywo poczęła badać i rozpytywać ciotkę o ojca, Anunziata też coraz się więcej plątała w odpowiedziach, na ostatek przerwała rozmowę pod pozorem gospodarstwa.

– Będziemy sobie o tym mówiły jeszcze wolniejszym czasem – rzekła – a teraz dajcież mi pomyśleć o tym, byście z głodu nie pomarli. Póki bylam sama, nawet ognia na kuchni nie było; żyło się lada czym, zapasów żadnych nie mam w domu... muszę Piotra posłać i sama pobiec...

– A! ja ci pomogę! – zawołała Cazita – czyż ja już tak mam być nikomu do niczego! Tak miło mi będzie znaleźć się z wami znowu w tej kuchence naszej i pośmiać się przy robocie.

Ciotka Anunziata wszakże nie miała wcale do śmiechu ochoty; mrugała ona nieznacznie na Konrada od dawna, dając mu do zrozumienia, że coś mu chce powiedzieć potajemnie, ale Cazita nie dawała się odpędzić niczym.

– Wiesz co – odezwała się ciotka wreszcie – tyś zmęczona... połóż się na godzinę, mężczyzna wytrzymałszy zawsze, Konrada wezmę, pošlę go po Piotra, a sama tak wszystko przygotowuję, że wam z głodu umrzeć nie dam. Tylko uczyn to dla mnie, połóż się, proszę, a odpocznij.

– Jam tak szczęśliwa, tak żyję powrotem, Wenecją, wami! – wołała Cazita.

– Wszystko to dobrze, ale jeśli nie dla siebie, to dla mojego spokoju, proszę cię, kładnij się.

Z wielką niechęcią Cazita posłuchała, Konrad posłał jej dawne dziewicze łóżeczko; zaklinała się, że spać nie może i nie będzie, ale w końcu dała się namówić posłuszna. Zaledwie głowa jej spoczęła na poduszkach, oczy znużone zamykać się poczęły. Ciotka skinęła na Konrada i wynieśli się na dół po cichu.

Słuchaj – szepnęła zszedłszy Anunziata, załamując ręce – słuchaj – tu płacz jej przerwał mowę – ty nic nie wiesz... jest wielkie nieszczęście... a! czekałam na was, nie wiedząc, co począć, a pisać nie śmiejąc, aby list nie wpadł w jej ręce. Stary, poczciwy Zeno... nie żyje.

Tu zaczęła znów łkać i płakać, a Konrad osłupiał sam, bojąc się o to, żeby na górze płaczu jej gwałtownego nie dosłyszała Cazita, jął ją hamować.

– Chodźmy stąd, powiecie mi wszystko...

Wyszli razem na brzeg morza i stanęli za murem, tak aby z okna widzieć ich nie było można. Konrad obawiał się nawet, ażeby Cazita nie wyjrzała i nie poznała po załamanych rękach i płaczu Anunziaty, że coś przed nią straszego tajono.

– Jakże? Kiedy się to stało? – zapytał.

– A! już parę miesięcy temu, jak otrzymałam wiadomość okropną, że jeden tylko z jego majtków ocalał... okręt rozbił się w czasie burzy o skały. A! biedny „Padre Antonio”! nic nie pozostało z niego! nic! trup kapitana widziano pływający na morzu... ale zginęło nawet ciało bez chrześcijańskiego pogrzebu! Co tylko miałam, oddałam na msze za jego duszę. On zawsze mówił, przepowiadał, że tak zginąć musi – nie leżeć mi w ziemi święconej, ale zgnieć na dnie morza. „Padre Antonio”... już go nie zobaczą oczy nasze... nigdy! nigdy! a z nim cały nasz poszedł majątek! Zeno był dużo winien ludziom, którzy mieli w nim zaufanie. Ostatnimi czasy na swoją rękę począł handlować i przestał cudzy towar przewozić... wszystko pochłonęło to nieszczęsne morze, a długi tylko pozostały na tym domku. Zabiorą go nam za długi zabiorą...

– Nie mówmy o tym – przerwał Konrad – da się dom może ocalić, zapłacę ja, ale jak powiemy o tym Cazicie... jak ona to przeniesie?... Jesteścież pewni, że Zeno zginął? Może go gdzie u brzegu uratowano, może chory leży? Wieleż to było takich wypadków, że po latach już, za umarłych miani, wracali marynarze do domu, gdy ich już oplakała rodzina... Czy zginął pewnie?

– Ależ przecie nie kłamałby stary Toro, który ocalał, wrócił i najmuje się już teraz tylko do cudzych gondoli, wożąc po kanale. Zobaczycie go sami, stoi odarty biedaczysko przy Calle Anunziata... Toro mówi, że trupa na oczy swe własne widział, poznał go po sukniach i po włosach... Ale to było w chwili, gdy sam się ratował jeszcze. Na głowie krwi dużo... na twarzy, znać, gdzie nim fala rzuciła, bo pływał tak, że gdyby był żywy, uratowałby się był pewnie.

Konrad stał przybity, martwy... drżał na myśl tę, że po jego twarzy, smutku, Cazita nieszczęsną odgadnie nowinę.

– Cóż z nią zrobimy! – wołał.

– Nic jej mówić nie potrzeba – przerwała ciotka – musimy przestrzec Tora, żeby się gdzie skrył i nie wygadał. Ona się powoli domyślać może... przygotowuje do nieszczęścia, niech na nią jak piorun nie spadnie.

– Ale czy nie więcej znuży ją niepewność, domysły, podejrzewania – mówił Konrad.

– Zostaw to mnie... ja będę wiedzieć, jak z moim dzieckiem postąpić – przerwała ciotka – ty siadaj do gondoli i pływ... wyszukaj Tora, każ mu się skryć, daj mu na życie, bo Cazita wyjedzie, spotka go, a zobaczywszy, domyśli się wszystkiego...

– Cóż jej powiecie, gdy wstanie? – spytał Konrad.

– Żem cię posłała do miasta... przywieziesz z sobą chleba, owoców, wina, ryby... u mnie w domu nie ma nic... odrobina oliwy, sałata z ogrodu... ot czym żyłam od kilku miesięcy, bom nic sprzedawać nie śmiała ze sprzętów, a nie było grosza – coraz ciszej poczęła ciotka Anunziata. – Ale dla mnie to nic... ja tak bardzo jeść nie potrzebuję, a czasem też zapraszali mnie na fryturę sąsiedzi...

Wpatrując się w twarz jej, Konrad dostrzegł teraz dopiero, że głód jednak zostawił na niej ślady; była żółtsza niż kiedykolwiek i bardziej niż kiedy, wydawała się zgrzybiałą.

– Jedź, jedź zaraz – rzekła do niego – a powracaj prędko, nim się dziecko obudzi, nie trzeba, żeby się rychło domyśleć czego mogło.

Konrad, niedobrze widząc, co czyni i co się z nim dzieje, pobiegł ku brzegowi, szukając gondoli. Nastreczyła mu się prędko, przewoźnik był znajomy, stary Mazino... popatrzał on na niego i przywitał kiwnięciem głowy smutnym.

– Dawnoście tu?

– Tylko co przybywam – rzekł Konrad.

– Ale wiecie już zapewne wszystko – dodał Mazino. – Każdy, co znał kapitana, żałuje go, dobryż, bo dobry był człowiek! Świeć Panie jego duszy!... zginął, jak morscy ludzie giną prawie wszyscy w końcu. Morze długo przebacza, ale nie daruje nikomu na ostatku, trzeba się słonej wody napić...

Oggi figura

Domani in sepoltura

Tak! Tak! Eccellenza! Szkoda i jego, i statku. Statek był dobry, chodził zwawo i lekki był jak piórko.

Konrad nic nie odpowiedział... wysiedli na Riva, a ledwie kilka kroków uszedłszy, dość żywo uczuł się potrąconym przez przechodnia i obejrzał...

Chłopak, który się o niego biegnąc uderzył, obrócił się także... niby znajoma jakaś twarz i rysy, ale których od razu przypomnieć sobie jakoś nie mógł, zastanowiły Konrada.

Odarte chłopię stanęło także i krzyknęło... dopiero teraz poznał pan swojego dawnego węgryzka, ale *quantum mutatis ab illo!*

W istocie ciężko było w znędzniałej, bladej, schodzonej istocie tej domyśleć się żwawego, rumianego, wesołego dawniej chłopaka.

– Maciek! – zawołał Konrad, nie dowierzając oczom swoim – to ty!

– A! to ja! to ja! – ze złożonymi rękami zbliżając się do niego, krzyknął chłopiec... cały drżący z radości i uczucia. – Pan tutaj! dawno?

– Od wczoraj!

– O mójże ty miły Boże! A toż szczęście, że ja pana potrącił a napotkał i że go oczy moje widzą jeszcze, a tak mi też tęskno było za wami, ba, za wszystkim... za wszystkim.

– Cóż! Jak ci tu, Maćku, coś mi nieszczególnie wyglądasz? czyś chorował?

– Nie, nie proszę pana – jękając się, rzekł Maciek z jakąś dumą – niczego mi, niczego, owszem dobrze, nawet bardzo dobrze, ale tak... mówią, że to człowiek chudnie przez to, że rośnie.

Spuścił głowę pomieszany, Konrad przybliżył się, chcąc mu lepiej przypatrzeć, z Maćka cień ledwie został.

– Spodziewam się, żeś miejsca nie stracił, możeś się nawet już i wyzwolił, i ożenił?

Maciek poskrobał się starym obyczajem po głowie.

– A! gdzie zaś, proszę pana, od onego to czasu dużo się, dużo zmieniło, ta i o ożenku ani myśleć.

– Cóż się stało?

– E! Panie ta dziewczka to nie półdiabłą, ale diabeł był cały, niech ją wciórniastki porwą, bo-daj świata nie widziała...

– A nie klijże tak, Maćku!

– Co to kłąć, proszę ja pana, ja bym ją zabił, żebym mógł, tyle się przez nią ucierpiało i cierpi, a co majster nabiedował... I co pan powie? jak nam obu za skórę zalała, ano... ot oba tę niegodziwą tak kochamy jak utrapieńcy... i na nic nie poradzić...

– Mówiłżeś, że zabiłbyś ją?

– Zabić... bym zabił, proszę pana, a kochać... człek kocha do wariacji.

– Szczęście jeszcze, żeś się nie ożenił, ale cóż się tam z wami stało? – zapytał Konrad.

E! inoście tylko państwo wyjechali – począł wzdychając Maciek – jam stanął u majstra do roboty. Ona miała do klasztoru se jechać, ale to się ściągalo, ściągalo, bo jejmościance nie było do smaku. I mnie też zrazu w to graj, mogłem się czasem zobaczyć, ano i pogadać, bo się już tę włoszczyznę przegryzać po trochu zaczęło. Wabiła bestia oczyma jak na wędę, lgnęło serce, lgnęło... przysięgłbym był też, że mnie kochała. Ano, wszystko to były zdrady, bo dawno miała innego kochanka i nie takiego, coby się z nią mógł ożenić, tylko wielkiego pana, do

którego się wykradała tak zręcznie, niby do kościoła... niby na odpust, a to siam, a to tam, że nawet ojciec się nic nie domyślał; jam tam był piąte koło do wozu na zapas ino, żeby się kim zastawiać było w biedzie. Nierychłom się dowąchał, bo mnie tak trzymała jak na łańcuchu, a wierzyłem tej pokusie jakby rodzonemu ojcu... Trwało to długo, aż jednego razu idę ja od majstra posłany przez te uliczki, co za Merceriami się wikłają, patrzę, stara baba w łachmanach na czółenku u brzegu prosi jałmużny, bo ono tu taki zwyczaj, że za jałmużną pływają, jak gdzie indziej chodzą. – Czółenek był stary, stary, odrapany, dziurawy, pozatykany kłakami ze smołą, aby w niego woda nie szła, a biedoty na nim, łachmanów kupka, a przy nich staruszka garbata, istna śmierć koścista, a na nich wnuczátko jej krzyczy w pieluchach z głodu. Tak mi się z tej baby przypomniała wieś nasza i stara Marcinowa, chodząca po jałmużnie, ta i nie wiedzieć jeszcze jakie rzeczy, tam swoje, że mnie litość wzięła okrutna i dałem jej groszka. Mało mnie w rękę nie pocałowała. Otóż nic, poszedłem za interese, ta i wróciłem se nazad. W tydzień znów na innym miejscu, patrzę, stoi czółenek z babą u brzegu... dziecko krzyczy znów, tknęła mnie Marcinowa, dałem grosz: – Módl się za moich, staruszko. – No! i zapomniałem o niej. Po tygodniu albo i więcej, trzeci mi się raz nawinęła, kiedym chciał dać jałmużnę, aż ona mnie za rękę z czółna:

– Stój, poczekaj – mówi.

– No, a co? – pytam.

– Za jałmużnę jałmużna, poczciwy chłopcze – rzekła. – Wszakżeś to ty ten, co terminujesz u Naniego, a starasz się podobno o Mariette, Polaczek? Nieprawdaż? Ludzie mi tak mówili.

– Ano, tak – prawie – to cóż?

Pokręciła głową, jakby się litując nade mną...

– Oj, żalże mi cię, żal! – zawołała.

– Dlaczegoż znowu żal?

– Ino mi ci się serca krwawić nie chce, a powiedziałabym ci coś.

– To mówcie – rzekłem – jeśli z dobrej woli.

– Z najlepszej – powiada – kocham cię jak syna, boś poczciwy, a kamień sobie do szyi wiążesz.

Słucham ja i dziwuję się strasznie, co to jest, a ta mi szepcze:

– Chcesz wiedzieć prawdę? Pójdź jutro o godzinie rannej, weź gondolę zakrytą i zamkniesz, a pływaj podle pałacu Vittorinich i patrzaj się no dobrze, co się tam dzieć będzie...

I to rzekłszy, baba, kijem się odepchnąwszy od brzegu, popłynęła sobie dalej, a jam stał, jakbym w kamień wrósł. Myślę sobie, co to jest? Kie tam licho w tym pałacu! Co to ma do mnie, ale kiedy baba gada, wie, co mówi, potrzeba tę rzecz przegrzebać. Już mi do jutrzejszego dnia czekać było jak rybie na ruszcie... ani jeść, ani spać, tylkom myślał, co ja tam za biedę zobaczę. O godzinie, jak potrzeba, biorę gondolę i płynę, ledwim się u majstra wyprosił, oczy wytrzeszczam, sercysko bije gdyby młotem... aż tu druga gondola za mną spieszy i dycht pod wjazd sklepiony, jakby do domu, aż ku wschodom dopływa... a z niej wysiada... Marietta i wprost, ot tak, na ręce młodego Vittorini, który ją wpół ujawszy, poprowadzili się razem na górę. Tchu mi zabrakło, kiedym to zobaczył... Zrozumiałem, co baba mówiła, alem nie wierzył oczom; czekałem godzinę, dwie, trzy, nareściem się wymęczywszy doczekał, że jejmościanka tąż samą gondolą, jakby nigdy nic, odprowadzona przez tamtego, siadła i odpłynęła. Wysadzili ją pod placykiem, ino skoczyła na brzeg, ja w ślad za nią. Nie chciałem w domu przy ojcu historii jej robić, i gonię...

– Czeka! Gdzieś bywała?

Ta mi się uśmiecha i prawi, że w kościele.

– A piękny mi to kościół – odpowiadam – jeszcze o takim słyhu nie było.

Zaczerwieniła się, a spojrzawszy mi w oczy, jak nie palnie, z przeproszeniem jegomości, po pysku...

– Trutniu jakiś, to ty mnie, psie Najświętszej Panny, szpiegować będziesz – zawołała. – Jeszczeżem za ciebie za mąż nie poszła! Prawa do mnie nie masz...

I pobiegła, a jam został jak głupi. Co tu robić? Ojcu powiedzieć, to ją zabije albo co. Milczeć nie mogę; ścierpieć tego się nie godzi... porzucić ją... aż się serce drze. W jednej tej chwili, proszę pana, poznałem więcej bólu i frasunku niż przez życie całe. Choć idź i utop się. Powlokłem się do majstra, jeszczeżem od niego dostał pamiętne za zbawienie tyła czasu... siadam do roboty... ale gdzie mi tam do niej! Szydło palce kole, a dratew chodzi by opętana. Wieczorem ino uchyliła drzwi i rzuciła mi przez szparę: – Muszę mówić z tobą. – Czekałem tylko, by majster odszedł, i choć mi było pod plagami zakazano na górę do niej chodzić, smyknałem. Patrzę, siedzi i płacze, ale tak, jakby nie ze smutku, ino ze złości. Ledwiem na próg, wstała, podeszła, mówi mi tak:

– Słuchaj, psie jakiś, słuchaj niegodziwy, jeżeli ojciec się dowie, jutro ty żyć nie będziesz... nóż w serce ci tak wbiją, że Jezus Maria nie rzekniesz, i z kamieniem u szyi powiezie cię ktoś pod murazze i zatopi... Nikt w świecie wiedzieć nie będzie, co się z tobą stało. – Gęby nie umiałem otworzyć. – Czy się ze mną ożenisz, czy nie, jak ty sobie chcesz, mnie wszystko jedno, znajduję dziesięciu na twoje miejsce, ale jeśli piśniesz, gotuj się na śmierć!...

Aż mi się łzy z oczów potoczyły, bom ją kochał, Bóg widzi, szczerze a pocziwie, i miałem ją też za uczciwą; więc jak nie wezmę się z nią certować, prosić... to, owo, myślałem, że się w niej co obudzi, ale ta w śmiech tylko ze mnie.

– Cóżś to ty myślał – powiada – smyku jakiś bezwąsy, że to ja się w twojej mlekiem powalanej brodzie rozmiłuję?... albo mi to iść za szewca? Przypatrz no się, czym to ja nie na co lepszego stworzona? Jeśli się on ze mną ożenić nie zechce albo nie będzie mógł, znajduję męża łatwo...

Jałem ją pytać, po co mnie było zwodzić, a ta, plunąwszy, powiada: – Kiedyś głupi, pokutuj. – Jeszcze mnie zbecześciła, proszę pana, do ostatniego. Wyszedłem gdyby z łaźni, głowę do reszty postradawszy. Nazajutrz stary szewczysko postrzegł, że się coś niedobrego święci, alem go zbyt ni tym, ni owym; myślał, że to sobie zwykłe termedie, jak to bywają koło kochania, a jam też milczał... Trzeciego czy czwartego dnia jakoś się i jej litość zrobiła nade mną, poczęła być łaskawszą... a trzęsła mną, jak sama chciała, bobym był za uśmiech jej mało nie życie dał. Otóż, jak się owo nieszczęście poczęło, myślałem, że tego diabła swojego porzuci, ale gdzie zaś... A mnie trzymała istnie jak psa na uwięzi, żebym oszcze kiwał podwórko... Tymczasem ojcu ktoś szepnął... nicem ja o tym nie wiedział. Ojciec wpadł na górę i zbił ją w śmierć. Na krzyk wpadłem bronić, dostało się i mnie od niego, a co gorzej, nazajutrz, kiedy idę wieczorem, nie myśląc nic, aż mnie połaskotał ktoś pod zebro tak, że m padł, pożegnawszy świat boży. O włos chodziło, by mnie nie zabił, a co się krwi, słyszę, wytoczyło, starczyłoby konia napoić, jak ludzie mówili. Przecie Matka Miłosierdzia ratowała, ludzie nadeszli i nie dali mnie wrzucić do gondoli, bobym był pewnie na dna morskie popłynął czekać dnia sądnego. Jakoś się w szpitalu Św. Rocha wyskrobałem, a Marietta przyszła mnie przeprosić, bo się była dowiedziała za późno, że ją kto inny wydał, nie ja... i żał się jej zrobiło, com dla niej tak cierpiał... Mogę powiedzieć, że mnie ona do życia przywróciła dobrym słowem; ale już od tego czasu do siebie przyjść nie mogłem, a diabllica jeszcze mi gorzej znów w serce się wpiła.

– Cóż się z nią stało? – zapytał Konrad.

– A cóż? ojciec odesłał do klasztoru, a na drodze ją odbili i nie wiadomo gdzie uprowadzili. Ja myślę, że tu jest, tylko się ukrywa. Stary mało nie oszalał. Bardzo się nieboraczysko przywiązało do mnie, bo kochamy ją oba równo, choć tego kochania niewarta.

Konradowi pilno odejść było, aby mógł co prędzej do żony powrócić, i chciał biednego Maćka pożegnać, ale chłopak z płaczem się niemal uchwycił dawnego pana.

– Mój jegomościuniu, mój drogi, nie pozbywajcież się mnie, już kiedym ja was zobaczył – zawołał – to biegnę duchem do majstra o pozwolenstwo i powracam, żeby być przy was i z

wami. A! panie! panie! żeby nie ta diablica, czy ja bym był pana porzucił... Nie wiedziałem ja, co to kosztuje za swoją ziemią tęsknić. Ilem to ja nocy bezsennych przepłakał, przeklinając i ją, i tę jej Wenecją... bodaj ją morze zatopiło. Pachniał mi czasem chleb nasz, aż się człek ubeczał jak dziecko... Śniły się drzewa nasze i pola, i pastuszków pieśni, i stare chaty, i stara bieda... a gdyby nie ta woda, to by człek czasem, oszalawszy, chciał być lecieć do swoich... Oj, oczy te panie! Oj, czary, czary, bo to nie może być nic innego, tylko mnie ona urokiem obrzucić musiała... to pewna... a tu nie było go komu zdjąć, takie babska głupie.

Popatrzysz na gondolę, którą mu pokazał Konrad, w skok rzucił się Maciek do swojego majstra o pozwolenie, a Konrad poszedł szukać majtka, którego niełatwo znalazł.

Pokazano mu go nareście w łachmanach, odartego z posiwiałą, nie goloną od kilku dni brodą, spartego o mur i wygrzewającego się na słońcu. Toro był jakby przybity na umyśle dola swoją; mówić mu było ciężko, słowa z ust wychodziły powolnie i nie bardzo powiązane z sobą.

Zrozumiał wreszcie i o co go pytał młody człowiek, i czego od niego żądał.

– Jestżeś pewnym, że kapitan zginął? – dodał w końcu Konrad – że się nie uratował lub że go nie uratowano?

Pomyślał długo Toro i ramionami ruszył.

– Jeśli umarli wracają, to i on na świat może powrócić – rzekł. – Zeno nieboszczyk pływał jak ryba, ale skroń miał rozbitą, okrwawioną... a gdym na trupa trafił, to go już woda nosiła i rzucała nim jak drzewem... a twarz miał zieloną, trupią. Nie! nie! – rzekł – nie może on żyć! Z nas wszystkich jednego mnie Pan Bóg ocalił tylko, abym miał czas za grzechy odpokutować.

Konrad dał biedakowi na życie i polecił, aby się nie pokazywał nigdzie, przynajmniej przez czas jakiś.

Toro patrzył na pieniądze, głową kiwał w milczeniu... nie mógł sobie wytłumaczyć, czego chciano od niego.

– Wszystko to dobrze – mówił – ale to tak nie może być... ja za żadne w świecie pieniądze zamknąć się nie dam, ino wam powiadam, gdzie będę, abyście unikali tych miejsc, bo na niewolę to się ja nie zgodzę, a i do kościołów chodzić muszę.

Nakupiwszy, co było potrzeba do domu, Konrad powrócił do swej gondoli, która na niego czekała. Tu zastał już nie tylko Maćka z węzłkiem pod pachą, ale i starego szewca, który przez ten rok niespełna tak postarzał, jak by mu ich dziesięć przybyło.

Nani wyciągnął doń rękę z czapką, milczący, a zza okularów łzawymi spojrział oczyma.

– A co? wyście też z powrotem! hej! hej! paneczku! kogo to miasto pochwyli raz, tego już nie puści nigdy, podobno aż chyba na cmentarz. Patrzcie na mnie... hej! hej! widzę ja, widzę, myślicie, stary się posunął, ale i wam tak z oczów patrzy, jakbyście też niespełna byli szczęśliwi... A wasze teścisko... dobry człek... ot! po nim. Tak to z nami... mój dobry panie, aby do końca!

Westchnął, splakawszy się, starowina.

– Maćka wam pożyczam – rzekł – ale mi go oddacie, to moja jedyna pociecha, pocziwe chłopczysko, jeszcze z nim człek choć o swoim kraju pogada, wystęka się, to i na sercu lżej, biedy się zapomni... A muszę też panu powiedzieć, że z niego będzie rzemieślnik, jakich mało.

I poklepał go po ramieniu.

Maciek pocałował w rękę starego, ale już skoczył do gondoli i byliby zaraz odbili od brzegu, gdyby ich, z dala poznavszy, nie nadbiegł Il Gran Ladrone, stary znajomy Zanaro, szlafmycą potrząsając w powietrzu.

– Eccellenza! Eccellenza! – wołał – a niechże mam to szczęście choć was powitać na ziemi ojców waszych znowu. Jakże zdrowie? Jak humor i dola?

– Ano, jak widzicie... signor Zanaro – wzdychając, rzekł Konrad.

– Pojmuję... zmartwienie z powodu tego nieoszacowanego kapitana Zeno, pokój jego czarnej duszy! tak! tak! szkoda wielka. Długów, słyszę, zostawił mnóstwo, więcej niż ich ta domina stara dźwignie.

– No? a u was, signor Zanaro... dobrze wszystko!

– Ja! Eccellenza, mam metodę moją, żeby mi na świecie było dobrze... jest niechybna... drwię sobie ze wszystkiego. Na świecie jak na morzu, dziś burza, jutro pogoda, wicher i cisza, otóż w burzę trzeba sobie mówić, że nie potrwa, i wśród ciszy spodziewać się wiatru.

– Wszyscy zdrowi?

– Chwała Bogu, ale jakże? byłeś eccellenza tu u nas, gdym pierwszą żonę utracił?

– Jak to? zmarła? – spytał Konrad.

Zanaro skłonił głowę na piersi, ręce złożył, westchnął i podnosząc oczy ku niebu, rzekł cicho:

– Powołał ją Bóg do swej chwały, a nie ma co mówić, jeśli ją tak śpiewać będzie, jak za młodu śpiewała... głos miała śliczny... aniołowie dyletanci słuchać go będą z rozkoszą.

– Signor Zanaro już się miał czas powtórnie ożenić – rzekł szewc mruczając.

– Stój i nie sądz bliźniego twojego, nie chcesz być sądzonym – odparł Zanaro – cóżem winien, że we cztery tygodnie byłem zmuszony, nóż na gardle, ponowić śluby. A może być gospoda bez gospodyni? Nie było podobna! Gdybyś zresztą wasza eccellenza chciał się pofatygować do sługi swojego i poznać nową żonę moją, oddalibyście sprawiedliwość gustowi mojemu. Jest to piękność znakomita... Między nami mówiąc, w gospodzie nieobojętną rzeczą piękna gospodyni... Człek zawsze lubi patrzeć na arcydzieła boże. Otóż moja ukochana Ludovisa może się nazwać arcydziełem, Pan Bóg z Fidiaszem się musiał radzić, gdy ją miał stwarzać.

– Pozostaje wieszować tylko i złożyć życzenia – rzekł, chcąc się go już pozbyć Konrad. – Pokłońcie się i córce waszej, signor Zanaro, pięknej Madelonecie.

Na te słowa gospodarz „Krzyża Maltańskiego” skrzywił się i głowę odwrócił.

– Nie wspominajcie mi o tej niewdzięcznicy – zawołał – dziecko wyrodne!! kto by się mógł był spodziewać! nie miała lat piętnastu pełna! ale chytrość i przewrotność była nad lata. Wystawcie sobie, eccellenza, trzeciego dnia po ślubie moim z cudowną Ludovisą... pod pozorem, że macochy znieść nie mogła (a była to zazdrość niewieścia o piękną twarz mojego anioła) Madeloneta... szatańska, zabrawszy zręcznie wszystką gotówkę, klejnoty matki, srebro, suknie, ruchomości kosztowne, z podłym histrionem uciekła... słyszę, do Bergamo. Gdyby się z nią był choć ożenił, ale i to nie. Wydziedziczyłem ją na wieki.

Po ukończeniu tej historii mogła nareszcie gondola odplłynąć. Zanaro z szewcem poszli powoli do „Krzyża Maltańskiego”.

Konrad zadumany siedział, Maciek patrzył mu w oczy, nie śmiał pytać, ale mu język paliła ciekawość.

– Już to, proszę pana – rzekł – teraz nie będę męczył, ale jak później, to mi pozwolicie popytać, co tam u nas się dzieje... a! żebyście wiedzieli, jak mi to pilno o wszyścusięńkim z panem się nagadać!

– Pogadamy – odparł Konrad z dobrodusznym uśmiechem – bądź spokojny, nie pożałuję ci słów... bo mi i samemu miło będzie, choć myślą tam uciec na chwilę.

Przybiwszy, znaleźli Cazitę już rozbudzoną... w słomkowym kapeluszu, w dawnych swych sukienkach wybiegła się witać z ogródkiem... z kwiatkami, ze starą cytryną i winną latoroślą u ściany... z kamykiem, na którym siadać była nawykła, z obrazkiem Madonny wmurowanym w płot zagrody. Śmiała się, śpiewała, gadała, ale czasem stawała zamyślona i łzami zachodziły jej powieki, trwoga jakaś i niepokój o ojca ogarniały ją.

Konrad zbliżył się do niej, usiłując przybrać postawę wesołą. Cazita uściśnęła go serdecznie i rozplakała się.

– Tyś nad wyraz dobry – rzekła – a ja teraz wiem, jak tęsknić musisz za swymi. Ale wiesz... ciężki, straszny sen... przebudził mnie. Śnił mi się ojciec, straszliwie, okropnie błądzący, ze skronią skrwawioną, i piersią rozbitą... boję się o niego. Jutro pójdziemy do Salute, damy na mszę, aby nam go Bóg powrócił.

Konrad nic nie odpowiedział, tylko głowy skinieniem.

Ciotka się już nieco była ożywiła, wzięła Maćka w pomoc i krzątała się w zastygłej kuchni około obiadu, dobywała prowizję, wymyślała potrawy, cieszyła się, że kochaną siostrzenicę już będzie miała czym przyjąć. Czasem jednak, odszedłszy do okna, ocierała łzę fartuchem...

Konrad rzucony znowu w ten świat, którego życie poślubił razem z Cazitą, dźwigać je musiał, ale po męsku. Wiedział dobrze, iż niecierpliwość i zżymanie się na losy poniewczasie, jeszcze by nieznośniejszymi uczyniły pęta, co go uciskały. Starał się więc z twarzą, jeśli nie z duszą wesołą, iść dalej, dobrze nie wiedząc, dokąd go miłość dla kobiety zaprowadzi.

Naprzód po cichu trzeba się było postarać o spłacenie długów ciążyących na domku kapitana; napisał więc do starego Pukały, zaklinając jego, brata i siostrę, aby potrzebną sumę w jak najkrótszym czasie mu dostarczyli. Nie było to tak łatwym, jak się zdawało, ale Konrad gotów był nawet zadłużyć wioskę, byle starą ową murowankę, którą jego żona tak kochała, ocalić. Strzegł też, pilnował, stróżował dokoła, aby wiadomość o śmierci ojca i rozbiciu się statku do Cazity nie doszła. Było to dość trudnym, gdyż z każdym dniem niepokój o ojca się powiększał, domysły i smutki rosły, pytania się mnożyły, a nie wszystkich uprzedzić było można, aby milczeli.

Statek „Padre Antonio” niejednym już raz bardzo był długo w drodze, wieści nie dając o sobie. Zatrzymany wiatry przeciwnymi, oczekiwaniem na ładunek lub dalszą jaką wycieczką, ale zawsze o nim choć jakaś wieść przychodziła. Teraz Cazita na próżno biegła na wybrzeża, posyłała do marynarzy przybywających od Wschodu... nikt jej nic o nim powiedzieć nie umiał. Smutniała biedna w tej nieustannej o ojca trwodze i nadziejach próżnych. Ciotka Anunziata powoli przychodziła do siebie, oplakawszy kapitana i wymodliwszy się za jego duszę. Cazita żyła jeszcze zawsze złudzeniem, które przez miłosierdzie nad nią pielęgnowano.

Tak dni płynęły w smutnej teraz dla Konrada Wenecji na strzeżeniu Cazity i na długich z Maćkiem rozmowach.

Któż by się mógł spodziewać, że ów biedny chłopak tak wielką będzie wygnańcowi dobrowolnemu pociechą? Z każdym dniem rosła, zwiększała się tęsknica jego za krajem; nie chciał jej pokazywać po sobie, ale gdy się z wyschłym od smutku Maćkiem zeszli na piaszczystym wybrzeżu Lida, chodzili często całe wieczory, spędzali długie godziny, mówiąc nie wiedząc o czym, byle kraj swój przypomnieć. Konrad taił dobrze cierpienie, udawał wesołość i swobodę, której w duszy nie miał, ale z każdym dniem uciśnionym był mocniej nieprzewyższonym bólem po utraconym domu i życiu własnym dla tego zapożyczonego, obcego, cudzego. Wenecja całkiem mu teraz obrzydła, godzili się z Maćkiem na wynajdowanie w niej samych skaz, plam, niewygód... ale w domu przy Cazicie wszystko potrzeba było chwalić i ze wszystkiego się cieszyć. Cazita, gdy ją trochę ominął niepokój o ojca, żyła swoją Wenecją, cieszyła się nią, kwitła; a ile razy Konrad wspominał o podróży, usta mu pocałunkami zamykała, nie dopuszczając nawet mówić o niej.

Położenie to dla biednego wygnańca coraz się nieznośniejszym stawało... pokój, szczęście, swoboda znikły z jego twarzy; dręczył się, marniał w tej walce męskiej, którą wytrzymywał jak Spartanin pożerany od zwierzęcia dzikiego, co mu piersi tajemnie szarpało.

Jedyną pociechą było, gdy Cazita z ciotką gwarzyły wesoło, wyjść gdzieś daleko z Maćkiem i o swoim kraju pogadać.

Tęsknica karmi się wszystkim, co spotka... tak jest zgłodniała i spragniona... ogryza suchą korę, pożera liście opadłe, których by już nikt nie tknął. Maciek był skarbem dla Konrada,

choć niewiele z niego dobyć można było... rozpytywał, przypominał i zawsze prawie jedno powtarzał.

Czasem tylko biedne chłopię od swojego pana, któremu służył teraz wierniej niż kiedy, wymykał się do swojego majstra, aby tam języka dostać o Mariecie, ale słyhu nawet o niej nie było. Dawny kochanek Vittorini mieszkał w Wenecji, prowadził życie wesole i płoche; zdawał się wcale o nią nie troszczyć. Pilne śledzenie około pałacu do żadnego nie doprowadzało odkrycia.

I Nani też, który się był do chłopca przywiązał, przybywał czasem na Lido, gdy go przez dni kilka nie widział, aby się o nim dowiedzieć. Naówczas kupka tych ludzi, razem wyszedłszy na ustron przegawędziła często godzin kilka nie wiedząc o czym, ale zawsze o czymś swoim.

Dziwne to były rozmowy, zawsze prawie jedne, wiecznie się powtarzające, a przecież tak skuteczne, że na zbladłe twarze i zamilkłe usta wyprowadzały trochę rumieńca i żywe wyrazy. Maciek rozpytywał, Konrad odpowiadał, a Nani jeśli był przytomny, słuchał gwaru i niekiedy słówko swoje ze starszej przeszłości dorzucił. I parę godzin czasami spływały tak w słodkim zapomnieniu teraźniejszości.

– Mój jegomościuniu – rzekł jednego dnia Maciek do chodzącego po wybrzeżu Konrada – mój jegomościuniu, proszę ja pana, jeśli mnie spytać wolno, co my dalej robić będziemy? Nie już tak życie całe dreptać po tym piasku i stękać... a co my się tu lepszego doczekamy?

Konrad spojrział na niego i ramionami ruszył.

– Czegoż byś ty chciał? – spytał.

– Otóż to, proszę jegomości, że ja sam nie wiem, czego by tu chcieć, żeby człowiekowi było lepiej. Pojechać precz z tej Wenecji, to się człowiek znowuż za tą diabolicą zatęskni.. a nuż ją kiedy sumienie ruszy, albo bieda przypędzi...

– A gdyby? cóż? ożeniłbyś się? – rzekł Konrad.

Maciek po głowie się skubnął, ramionami ściskając.

– A bogac to, kto wie, co by zrobił! jakby mi zapłakała, toby człek dla niej w studnię skoczył.

Pochlebca Maciek zaraz inaczej pokierował rozmową na tryb swój zwykły.

– E! proszę jegomości, która to teraz godzina?

– Dobrze z południa... za parę godzin to się ku zachodowi będzie miało.

– A tak, prawda – rzekł Maciek – a dziś mamy jak obszył sobotę... to już jakbym widział, co u nas w Robninie się dzieje. Ja myślę, że tam koło siana musi być rozgardiasz wielki, żeby je kiedy nie w stogi, to w kopice pościągać wszystkie, uchowaj Boże w niedzielę deszczu. Pukało krzyczy a lata... pośpieszajcie dzieci... gumieny sobie na dereszowatym się zwija... Ano pewnie już ta łąka, co pod lasem, musi być pokoszona, bo o tej porze bywało czasem w stogach stoi... ino tę na ostatek zostawiają, co najdalsza, bo tamtej tak nie psują szkodnicy i siano lichsze, choćby słoty przyszły, niewielka szkoda... Proszę jegomości, czy też Pukało zawsze w tym białym kitlu chodzi, co to, jak zapamiętam od dzieciństwa, służył mu na lato, a od prania się był pościągał, że ledwie go już mógł włożyć.

– A pewnie – odparł Konrad.

– Jakbym go wczoraj widział – mówił Maciek – pewnie i klucze zawsze w tej samej kieszeni, a z drugiej czerwona chustka wisi, jak bywało... A co czapczyzna wytarta, gdyby mu kto i darował nową, nie włożyłby innej... Jak sobie ją raz o gałąź rozdarł, a Murzynowska mu ją zacerowała... tak po dziś dzień...

– Jak ty to wszystko pamiętasz – westchnął Konrad.

– A! proszę jegomości! ja dalipan nie wiem – dodał Maciek – skąd się to mnie bierze, a jak człowiek zacznie dobywać, dobywać, wszystko znajdzie, co kiedy przypadkiem do głowy mu zaleciało, do ostatniej odrobinki... Żeby tak malować umiał jak ci, co to po kościołach i w

wielkim dworze (Pałac Dożów) malowali, toby tak rycht namalował, gdyby żywych i starego Pukało z podstrzyżonym wąsem siwym, i Murzynowskę w czepcu białym z chusteczką żółtą w szafranie farbowaną i szlafroku cycowym wzorzystym, i dobrodzieja w sutannie wytartej na łokciach i kolanach, at! at! i wiele ich tam jest... wszystkich. – A czy my tam jeszcze kiedy powrócimy? – gwarzył Maciek – żeby człek choć gdakanie starego zegara posłyszał, toby był szczęśliwy, wszystko by się zapomniało, a plunąwszy na marę, może by i te przekłete czarne oczyska, z pozwoleniem, tej małpy... poszły precz... i co się człowiek dla nich wycierpiał...

Umilkli na chwilę.

Potem Konrad przypomniał, jak Maćka nieraz brał na polowanie, jak stawali, kędy słomki ciągnęły, jak się zasadzali na cietrzewie i głuszce.

Maciek znów wpadł na zimę, i sannę, i kuligi, na kołędy Bożego Narodzenia, co je z rzemieślnikami odprawiał, na figle, które staremu Pukałowi płatali, który wycia psów cierpieć nie mógł, a chłopcy, udając je pod jego oknem, uspokoić mu się nie dawali. Co wyleci stary z bizunem na podwórze, a skropi psy niewinne, które skowycząc pouciekają, to za chwilę nowy koncert pod oknem, ale nim Dalifur z dyscypliną wyskoczy, już chłopcy po wyżkach i chlewkach... Trafiło się, że i Murzynowskiej napędzili strachu, bo wierzyła w duchy, to jej do okiennic pukali nieraz... że nieboraczka świecę po północy zapalać i do różańca się uciekać musiała.

– Żeby ja miał rozum – kończył, poufale rozgadując się Maciek – byłbym ja ludzi posłuchał... Taż to, proszę jegomości, stręczyli mnie wszyscy Kachnę, kowala córkę, tę, co potem poszła, słyszę, do miasteczka za stolarza, a była dziewczyna niczego, prawda takich bestyjskich oczów nie miała, ino siwe, spokojne, co jak się popatrzy, to człowiekowi jakoś jakby na sen się zbierało, ale porządna, stateczna i pobożna... I ojciec, słyszę, nie był od tego, i ludzie zmawiali, i ona się uśmiechała niekrzywo do mnie, ale znać woli bożej nie było. Albo proszę pana, Maryśka, ta, co gumieny ją wziął, niczego i ta... miała trzysta złotych swoich własnych po ojcu i odzież bardzo porządną, i sama gładka, a rezolutna jakby z miasta. Ta mi nawet była do serca przypadła i nosiłem jej jabłka i orzechy, i omal co do pierścionków nie przyszło... kiedy gumieny przypadł i zmówił... Słyszę, nawet gadała, że byłaby mnie wolała...

Pomiarkowawszy się Maciek, że zbyt może się rozgadał, zatrzymał nagle.

– Ale co ja tam będę tym nudził.

– Praw Maćku, nic nie szkodzi...

– Ano, już dość – zawołał chłopak – człowiek jak się rozgada, rozmarzy, to mu się potem całą noc mary snują po głowiznie... a tu żywej biedy dosyć, żeby jeszcze sobie senną samemu gotować...

W takim życiu tęskliwym, przerywanym chwilami cichego zapomnienia u boku Cazyty, płynęły miesiące... Konrad wszakże w oczach nikł, sechł i bladnął; postrzegli to wszyscy, że na zdrowiu źle było, ale się ani czuł chorym, ani na cierpienie uskarżał. Świat tylko powoli cały mu obojętniał... ochoty do życia coraz bardziej brakowało.

Cazita coraz dłań była czulszą, wiedziona jakby przecuciem jakimś i obawą, on zawsze równie w niej zakochanym, ale milczącym, przybitym jakby zrezygnowanym na los, który go spotkał.

Brak zajęcia także przyczyniał się do zwiększenia strapienia. Brał książki do ręki i rzucał, szedł oglądać miasto i wracał, nic nie widząc, jeździł z rybakami, a zamyślony, na pokładzie przesiadawszy kilka godzi, budził się jakby ze snu, gdy nazad do łądu przybili.

Pieszczoty żony nic nie pomagały, słodkie jej szepty koły chwilowo tęsknice, powracające coraz gwałtowniej do serca.

Maciek, który już znał usposobienie pańskie, jak skoro go zobaczył wysuwającego się na odludne wybrzeże, szedł za nim po cichu, powoli od słowa do słowa zaczynała się rozmowa o

domu, co to tam oni teraz robią? Pukało, Murzynowska, ksiądz proboszcz, stary zegar w sieniach, stary pies podwórzowy, konie stajenne, wierzchowiec jegomości...

Godzinę i dwie pan ze służą, opowiadając i słuchając na przemiany, usiłowali zapomnieć terażniejszości.

Konrad nie miał w sobie siły, aby się z niej wyzwolić, na ostatek tak podupał na zdrowiu i humorze, iż i ciotce Anunziacie oczy otworzyły się, acz nierychło.

Poszła raz za nim do ogrodu i siadłszy na kamieniu pod rozpiętą winną latoroślą, rzekła do niego:

– No, dosyć-eśmy już tej biednej Cazy strzegli, czas przecie z tego wyjść, nie można tak całe życie taić przed nią śmierci ojcowskiej i zostawiać ją w ciągłych nadziejach i złudzeniach...

– Niech się dowie, jak Bóg da, ale ja nie mam serca ją trapić – rzekł Konrad – wy jej też pewnie sami powiedzieć się nie podejmiecie.

– A! uchowaj Panie Boże! – odparła żywo ciotka – ale gdyby Toro spotkała...

– Róbcie sami, co się wam zda – zakończył Konrad – ja się do tego mieszać nie chcę...

Rozmowa ta wieczorna skończyła się łzami ciotki Anunziaty, nie doprowadziwszy do niczego. Nazajutrz rano Cazita wstała z rozjaśnionym obliczem, nad podziw wesoła. Przybiegła w cień, gdzie ciotka była śniadanie na podwórku przygotowała, ożywiona, z oczyma błyszczącymi, niespokojna, lecz dziwnie wesoła.

– Ciociu! mężu! – zawołała, zbliżając się – wiecie, wiecie... doskonale nowiny... ojciec, ojciec.

Tu Konrad i Anunziata spojrzeli na siebie z politowaniem

– Ojciec się zbliża, powraca...

Anunziata zebrała się na odwagę uczynienia jej kilku surowych prawie przestrog, aby w sny i marzenia nie wierzyła, dodając nawet śmielej, że wszyscy w Wenecji źle o losach kapitana wróżyli.

Ale Cazita ruszyła tylko ramionami, spoglądając na ciotkę...

– Nie śmiejciez się ze mnie – rzekła – nie dziwujcie mi się. Kochał kto z was kiedy, jak ja ojca, jak ojciec mnie? O! nie! wy tego znać i pojąć nie możecie, co to miłość dziecięcia dla takiego rodzica, który mu matkę zastąpił, wynosił na rękach, przy sercu... On i ja mieliśmy jakby jedno wspólne życie; gdyby umarł, ja bym poczuła, jakby mi mojego pół ubywało. Słuchajcie! – zawołała z błyszczącymi oczyma, natchniona. – Ja wiem wszystko od dawna, widzę, choć mi nikt nie mówił, wy sądzicie, że statek się rozbił, że ojciec utonął, wam to mówili ludzie, a wy uwierzyliście ślepi. To fałsz! On żyje... ale przebywał i przebywa ciężką dolę... Był raniony, topiony, o mało nie utracił życia... wszystko zwyciężył, ażeby do mnie powrócić. Ten, który był sprawcą nieszczęść jego, pierwszym ich powodem, znajduje się tu w Wenecji. Czuję to... sprawiedliwość nie minie, powloką go na Pizettę... i głowę mu utną.

– Kochana moja – przerwał jej Konrad, prawie ze strachem – ty marzysz, tworzysz sobie sny i widziadła, łudzisz się nimi, życie spędzasz w tych urojeniach, nabijasz sobie nimi głowę...

Cazita tęsknie zbliżyła się doń i pocałowała go w czoło.

– Nie broń mi – szepnęła – nie gniewaj się na mnie, bądź cierpliwym... przekonasz się, czym jest serce córki i jak silnym węzłem wiąże miłość dziecięcia. Bądź dla mnie tak dobrym do końca, jak byłeś.

Konrad zamilkł pokonany, ale ciotka gderać zaczęła.

– Już pewnie rodzona matka nie kocha mocniej córki, jak ja Ciebie... tailam przed tobą wszystko, chcąc cię przygotować... ale nie czas się łudzić... ojciec twój nie żyje... statek się rozbił... Jeden z jego majtków ocalał tylko... jest tutaj.

– Który? gdzie? – szybko zawołała Cazita – pokażcie mi go... potrzeba uwięzić, to zabójca.

I Konrad, i Anunziata zdziwili się gorącości, pewności, z jaką to wymówiła. Cazita, nie zlékniona bynajmniej, stała drżąca tylko niepokojem, aby się jej ten człowiek nie wymknął... o ojca zdawała się być spokojną.

Na próżno teraz starali się już całą przed nią odkryć prawdę... miała przeczucie, widzenie, jakąś pewność, którą nic zachwiać nie mogło. Konrad za ledwie jej potrafił wytłumaczyć, że żaden sąd w świecie, na snach opierając się, majtkę ocalonego pociągnąć nie mógł. Cazita zamilkła wreszcie, palcem pokazując niebo.

– Bóg sprawiedliwy – zawołała – zobaczycie, ja więcej wiem od was... ja widuję ojca we śnie, co dzień mam wiadomość o jego zbliżaniu się do nas... on jedzie i lada chwila tu stanie... jam pewna...

Nie chciała słuchać nic więcej nawet, a ciotka Anunziata, trochę słaba i przesądna, uczuła się zachwianą i gotową już uwierzyć w te przeczucia i widzenia... zamilkła. Konrad postanowił też zostawić wszystko czasowi.

Tak znów kilka upłynęło tygodni jednostajnym zawsze życiem. Konrad chodził na rozmowę ze swym chłopakiem, Anunziata się modliła, Cazita wysiadywała na brzegu morza, przyglądając się przybywającym okrętom, upatrując statku, który miał ojca jej przywieźć.

– Ty marzysz, dziecko moje – rzekła jej raz ciotka – marzysz o ojcu, choć go nie ma na świecie, a tego nieszczęścia, które ci grozi, na które co dzień patrzysz, nie widzisz... Ależ to ten biedny twój Konrad z tęsknoty po swoim kraju, z nudów czy, ja tam już nie wiem, z czego, w oczach nam ginie... Przypatrz no ty się jemu uważnie, co się z niego zrobiło... on wyschł, wymizerniał, pobladł, niszczał tak, że ledwie się w nim duch trzyma... a pocziwe człeczysko ani się odezwie.

Cazita uderzoną została słowami ciotki; dopiero teraz jakoś postrzegła, że pocziwy Konrad od niejakiego czasu chodził już tylko cieniem i widmem młodości... poczęła płakać, ręce łamać i wołać.

– Cóż począć? co począć z nim?

– Ja nie poradzę – szemrała Anunziata – jakeście wy tam razem, to ty umierasz z tęsknoty, jakeście tu, to on... głowa pęka, a środka na to nieszczęście znaleźć nie można...

Kobiety popłakały się obie, Cazita wszakże na chwilę przypuścić nie chciała, ażeby mogli rzucić Wenecją, teraz zwłaszcza, gdy ona tu oczekiwała powrotu ojca, zawsze będąc przekonaną, że on lada chwila się ukaze. Sny, widziadła, przestrogi powtarzały się teraz coraz częściej, wyraźniej, a było w nich to szczególnie dziwnym, że się zgadzały w osobliwszy sposób z niektórymi okolicznościami, o jakich wspominał Toro. Uderzało to i Konrada.

Jednego poranka Maciek, który był w mieście, pobiegł co żywiej od brzegu do pana swego, oznajmując mu, że słyszał na rywie między gondolierami, iż starego Toro z rozkazu sądu zbiry poprowadzili do więzienia, jako oskarżonego przez kogoś o bunt i zabójstwo kapitana Zeno. Konrad zakazał o tym mówić Cazicie, ale niespokojny, natychmiast sam popłynął się dowiedzieć.

Pierwszy, którego spotkał, Zanaro, powitał go powinszowaniami i okrzykami ze zwykłą sobie górnolotną deklamacją, opowiadając, iż z Korfu przybyli marynarze widzieli tam ocalałego cudownie kapitan Zeno, a wskutek jego zeznań zbiry pochwycili majtkę Toro, który do spisku na życie Zena należał, a podobno nim przewodził.

Zanaro dodał, że wedle krążącej po mieście powieści, Toro namówił był załogę statku nalożonego bogatym towarem na zabicie kapitana, a uprowadzenie ładunku do jednego z portów tureckich, gdzie mieli się sprzedaną podzielić zdobyczą i poturczywszy, osiedlić. Zeno został przez nich nocą napadnięty, po bohaterskiej obronie zabity uderzeniem w głowę i rzucony w morze. Ale Pan Bóg pomścił krzywdy jego, korsarze napadli żeglujących, którzy nie umieli się im wymknąć i wszyscy z niewolą zabrani zostali. Toro jeden potrafił się później ratować ucieczką. Trupa kapitana Zeno wyniosła woda na brzeg, gdzie cudem do życia przy-

szedł po długiej słabości, pielęgnowany w niej przez litościwego rybaka. Dostał się potem na wyspę Korfu i miał lada moment zjawić się w Wenecji, ale wiedząc przez marynarzy o ocaleniu Tora, wprzód go zaskarżył, aby go ująć czas miano, nimby, dowiedziawszy się o nim, uszedł.

Konrad, słuchając, bladł i truchłał, przekonywając się, jak owe przeczucia i sny Cazity, z których się naśmiewali, były wieszczymi. Chwili nie tracąc, popłynął nazad na Lido, ale zastał żonę rozpromienioną i już jakby wiedzącą o wszystkim, bo znowu miała we śnie widzenie.

Anunziata o mało nie zemdląła z trwogi, dowiadując się, że jej siostrzenica w istocie wyprorokowała wszystko.

Znajomi i przyjaciele Zenów rodziny przybywali teraz jedni za drugimi, cudownego ocalenia winszując. Cazita promieniała szczęśliwa; Konrad nawet ożywił się był na chwilę, ale wesele jego wprędce ustąpiło dawnej obojętności.

Trzeciego czy czwartego dnia potem przybył okręt z Korfu. Od Riva de Schiavoni cała procesja gondoli, tłumy ludu prowadziły kapitan Zeno na Lido. Cazita wypłynęła naprzeciw niego.

Radość była nie do opisanego wielka i powszechna... a że pocziwy kapitan lubionym był bardzo, zrobiono z tego prawie uroczystość miejską. Cały ten dzień Lido było pełne, dom nie mieścił gości.

Radość córki dochodziła prawie do szału... Anunziata rozpowiadała o cudzie, głowę tracąc.

Zeno był żyw, ale straszliwie zmieniony i zestarzały, choroba go wycieńczyła, posiwił, ogromną bliznę miał na skroni i piersiach, a wytrwałego zdrowia zahartowanego marynarza śladu nie pozostało. Chodził o kiju, z oczyma wpadłymi, cały drżący.

Dopiero późno w noc rodzina się sam na sam znalazła w cichym domku, a Zeno po raz setny powtórzył jej swoje dziwne przygody, swoją śmierć, gdyż można powiedzieć, że z tamtego świata powracał, i powolne, dzięki litościwemu rybakowi ubogiemu, zmartwychwstanie. Klęskę jednak niepowetowaną nie tylko na zdrowiu poniósł... majątek też niepowrotnie był stracony... Zeno ścisnął dłoń Konrada, który mu dach na starość zabezpieczył swym poświęceniem.

Postrzegł on także, rozpatrując się w swym zięciu, groźną na jego twarzy zmianę, ale o tym nie rzekł słowa.

Trochę wesela zawitało znowu do domku na Lido. Cazita zwycięska ożyła. Na krótko wszakże... Konrad gasnął... ludzić się nie było podobna... Widzieli to wszyscy prócz niego jednego. Przestrzegany, śmiał się, ruszał ramionami i zapewniał wszystkich, że się ma najlepiej, że lekkie tylko czuje osłabienie.

Pieszczoty i troskliwość żony zaradzić nie mogły nic... uśmiechał się do niej, uspokajał ją, milczący wszakże, najczęściej znaczną część dnia spędzał na samotnych przechadzkach. Czasem Maciek mu jeden towarzyszył...

Po milczeniu długim Konrad się zwykle do niego obracał uśmiechnięty łagodnie, zapytując:

– Maćku, co tam się u nas dzieje?

Naówczas chłopię zbierało myśli i usiłując odgadnąć, powiadało coś o Robninie, o starym Pukale, o gospodarstwie i dworze.

Listy przybywające stamtąd Konrad chciwie czytał i na piersi je nosił. Ale mimo widocznego stęsknienia nie użalał się nigdy, nie okazywał już nawet gwałtownej chęci powrotu.

Bacne oko starego kapitana postrzegło wreszcie, że nie było innego na to ratunku nad powrót, a przynajmniej podróż do kraju, z którego by nowego zaczerpnął życia. Cacicie wszakże nie chciało się opuszczać ojca.

I ona jednak w ostatku, oplakawszy tę myśl samą, gotowała się do spełnienia obowiązku.

– Pojedziemy do Polski! – szepnęła mu na ucho jednego wieczora, gdy razem w ogródku siedzieli.

Konrad zdawał się zdziwiony mocno i raczej wylękły niż uradowany zapowiedzią.

– Tak! – powtórzyła Cazita – pojedziemy do Polski, zbierz siły, pomyśl o środkach, jam gotowa... Żal mi ojca opuszczać, ale pójdę z tobą.

Konrad ścisnął jej rękę i pocałował ją w czoło, nic nie odpowiadając. Głową tylko powoli potrząsnął.

– Dziękuję ci – odezwał się po chwili obojętnie – tak! tak! kiedyż pojedziemy?

– Zaraz – odparła Cazita.

– Zaraz... nie, niepodobna... naciesz się ojcem – zawołał Konrad – ja poczekam.

Trochę też od tej chwili poweselał, mówili z Maćkiem o wyborze w drogę, o podróży, o powrocie i jak tam w domu zastaną.

– To jakbym widział, proszę jegomości – rzekł Maciek. – Dalifur wyleci z tysią głową, bez czapki, ręce do góry podniesie i upłacze się... Murzynowska w szafranowej chustynce... Stefanek boso... z praczkarni, z folwarku, co żyje, powylatuje. Pan! pan! pan nasz! A tu i ksiądz proboszcz z plebanii zdyszany leci... i po wsi rozchodzi się wieść o przybyciu... wszędy radość, wesele... Nazajutrz wójt ze starszymi powinszować powrotu! A jezioro nasze szumi sobie: pan powrócił! drzewa szemrzą: pan... bociany krzyczą: pan... sroka śmieje się na płocie: cha! cha! cha! Tylko stary indyk napyrzony, nie rozumiejąc wrzawy, nadyma się i skrzydłami sunie po piasku bełkocząc... a ja go po czerwonym nosie: masz trutniu.

Maciek się tak zapędził, że już nawet do niewidzialnego indora poskoczył, ale wprędce odpadła go fantazja... pan, śmiejąc się, zakaszał mocno, musiał na ławce przysiąść; pełną krwi chustę odjął od ust... Krew zaraz potem rzuciła się raz drugi. Powlókł się do łóżka... Cazita siadła przy nim, zdawał się jej nie widzieć... Maćkowi kazał obrazek Najświętszej Panny z konfederackim ryngrafem i szablą powiesić sobie naprzeciw, oczy w nie wlepił i tak leżał... a kiedy niekiedy łzy mu poszły z powiek, to ocierając je, wąsa sobie niby pokręcił.

Cazita nie odstępowała go na chwilę... całował ją w ręce, przyciskał do piersi, pocieszał.

– To nic, to nic – mówił – to z powietrza mi przyszło, ale po wypoczynku przemienie. Nie frasujcie się... bądź wesołą, popłyn z ojcem na przejażdżkę, to cię rozerwie.

Tegoż wieczora w istocie Zeno, zabrawszy córkę i Anunziate, a sądząc, że Konradowi spokój był potrzebny, wybrał się z nimi na Murano do dawnych znajomych. Ledwie odpłynęła gondola, Konrad, wyjrawszy oknem, zawołał na Maćka żywo:

– Słuchaj, chłopcze, słuchaj, a spraw no mi się dobrze, płyn mi zaraz do klasztoru Frari, spytaj o padre Serafino, a proś ode mnie, aby tu przybył, bo się z nim – dodał ciszej – potrzebuję rozmówić.

Maciek spojrzał panu w oczy, niespokojny, ale przywykł mu być posłusznym, pochwycił łódkę i popłynął.

Przez ten czas, gdy nikogo w domu nie było, Konrad się drżącymi rękami przeodział w bieliznę świeżą, wąsa pokręcił, usiłował sobie nadać twarz i postawę weselszą. Stojące przy sobie w szkatułce przejrział papiery, podarł niektóre, uporządkował inne i czekał.

Nierychło chód posłyszał na wschodkach. Ojciec Serafin wchodził powoli z chłopakiem, a spojrzawszy na leżącego, odgadł od razu, po co go wezwano. Po przywitaniu cichym ujął za rękę chorego.

– E! e! – rzekł – młodości jeszcze w tobie wiele, dziecko moje, przyjdiesz do zdrowia, nie trać jeno otuchy.

– Ale mi dobrze, ojcze, i zdrów się czuję, tylko trochę zesłabły – rzekł Konrad – nie sądzicie, bym sobie co przypuszczał albo się lękał. Ot tak... dawnom nie był u spowiedzi, chcę się z sumieniem porachować...

Dość długo trwały zboląlej duszy zwierzenia, a ojciec Serafin pozostał przy łóżku chorego.

– Gdy moi powrócą – szepnął Konrad – nie mówciez im, że sam wzywałem, powiedźcie, że przybyliście sami pozdrowić starych znajomych.

Kapucyn głową tylko potrząsnął.

– Nie doczekam ja ich tu – odpowiedział – zajadę jutro rano... dziś mnie tam w klasztorze potrzeba.

Konrad ucieszył się, widząc, że odjeżdża, wsunął mu w rękę jałmużnę, rad był, że powracający go nie zastaną.

Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł na ziemi w nogach łóżka.

– A która tam godzina? – zapytał Konrad.

– O! już słońko dobrze zaszło – odparł żywo chłopak – bydełko powróciło z paszy, Pukało, obszedłszy obory, idzie, zdrowaśki mrużąc, na folwark do wieczery... Stefanek poszedł też pewnie okiennice pozamykać we dworze, a na plebanii księżyna odmawia brewiarz...

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

– Mów, mów, co ci się tam więcej śni!

– Ano, już chyba więcej nie wiem – rzekł Maciek – żaby skrzeczą w sadzawce i jezioro się kołysze... bociany do snu posiadały. Burek chodzi i burczy... cicho! cicho! tylko od młyna turkot słyhać, jak tam koła szumią i tarkoczą... a na wsi może pastuszki gdzie śpiewają... Na „Anioł Pański” dawno przedzwonili...

– A we dworze? – spytał Konrad.

– Pustka, panie.

– Zegar idzie?

– O! ten to się nie zająknie pewnie!

– Która godzina? – począł Konrad.

– Ciemno dobrze... ino nie wiem – dodał chłopak czegoś przelekły – czemu oni nie powracają...

– Mów o Robninie – poprawił go Konrad.

– Może świecę zapalić?

– Tak, dobrze – słabym głosem zawołał Konrad – przed Najświętszą Panną, zmówiemy konfederacką litanią... Ale spójrz no, czy nie wracają? Albo nie, mów o Robninie.

Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę; dziwnie mu się blade wydała twarz pana, dziwnie straszne uczuł po sobie dreszcze i trwogę w duszy. Nastawił ucha, myślał, że posłyszysz plusk przybijającej do brzegu gondoli, ale do kata cicho było jak w grobie.

Konrad zdawał się drzemać.

Na palcach chodził Maciek koło niego.

Podniosły się powieki ciężko.

– Maćku – rzekł – co tam w domu?

– Śpią, panie.

– Zbliź się... chłopcze...

Chłopak przysunął się do łóżka, chudą, kościstą rękę dobył spod okrycia Konrad, poszukał wkoło i podał mu woreczek.

– To dla ciebie – rzekł – abyś miał o czym powrócić do domu.

– A! mój panie drogi, przecież my razem pojedziemy.

Chory tylko głową potrząsnął.

– Weź – rzekł – i daj mi rękę, tak i dziękuję ci... niech Bóg szczęści i błogosławi.

Maciek, coraz niespokojniejszy, szlochać począł, pokląkł przy nim.

– Co ty się tam trwożysz – począł Konrad – nie ma czego. Jam zdrow! mnie już dobrze, tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce. Siadaj przy mnie, zaśpiewaj co naszego... po cichu... ja się zdrzemnę...

Maćkowi nie na śpiew się zbierało, oczy ocierał i modlił się; Konrad zdawał usypiać. Nagle pochwycił się, spojrzął na chłopca, siadł i począł mówić słabym, ale prędkim głosem.

– Słuchaj, co tam się stanie ze mną, w woli bożej; jeśli byś został sam, nie mieszkać tu dłużej, jedź do domu, do chaty. Powietrze tu niezdrowe, ludzie inni, serca dobre, ale inne, o! nie nasze... Myśmy nie stworzeni do ich życia ani oni, żeby nas zrozumieć mogli. Tam lepiej, nawet z samotnością i nędzą... porzuć swego starego, albo go weźmij z sobą... wracaj... mówię ci... bo nie wyżyjesz...

I znowu pochylił się na poduszki.

– Zrozumiałeś? – spytał.

Maciek płacząc tylko odpowiedział.

– Co tu łzy pomogą – wyszeptał chory – nie masz czego jeszcze płakać... to babska rzecz... wstydz się...

A po chwili znowu spytał:

– Która godzina? co tam u nas robią? czemu oni nie wracają? wszak na dworze pogoda?

– Pogoda, panie.

– Świeci księżyc?

– Jeszcze nie wszedł.

– Tu nie taki księżyc, jak u nas...

– Tak! u nas piękniejszy – potwierdził Maciek.

I było potem milczenie... chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, który się zdawał usypiać powoli, ale oddech ten coraz cichł, ustawał i zupełnie go w końcu słyszeć już nie było...

Bo nie było już i duszy Konrada na świecie...

EPILOG

Przed gospodą „Croce di Malta” stał z rękami na pulchnym brzuszku założonymi Il Gran Ladrone, z twarzą wypogodzoną, czystym sumieniem i dobrze nabitą kaletą, z obliczem krągłym i lśniącym, człowieka, który nadto chodził około kuchni w życiu, ażeby się w niej jeść smaczno nie nauczył.

Ożenienie nowe widocznie go odmłodziło; usta się uśmiechały, rumieniły policzki, tylko po zbyt krzaczasto rozrostłych brwiach i kępkach włosów siwiejących na uszach poznać było można, że Zanaro nie piętnastą, a nawet nie trzydziestą już przeżył wiosnę. Zresztą ruchawy, żywy, biegający często, aby dowieść, że lekkim jest jeszcze i zwinnym, i że mu otyłość nie wadzi, Zanaro tym troskliwiej odgrywał rolę młodzieńca dojrzałego, iż się czuł do tego obowiązany, mając tak piękną, młodziuchną żonę.

Wiadomo bowiem było wszystkim na Wybrzeżu Słowiańskim, ba, i dalej zamieszkującym, i w ogóle tym, co się do signora Zanaro, choćby na kilka minut tylko zbliżyć i mówić z nim mieli zręczność, iż signora Ludovisa wyglądała jak Flora Tycjanowska, mąż bowiem chlubił się nią nieustannie i wchodził nawet w zbyteczne szczegóły, opisując jej nieporównane wdzięki, których był zapalonym wielbicielem.

Tym razem jednak znać nie o żonie była mowa, bo jej pochwały śpiewać był zwykł tonem żartobliwym i wesołym, a na twarzy signora Zanaro malowała się niezwykła powaga i zamyślenie; usta miał nieco odęte, czoło posepną powleczone zasłoną. Obok niego stał chudy, kościsty, stary kapucyn, padre Serafino, dawny znajomy Zanarów i bodaj nie całego miasta. Dalej jeszcze grupowało się kilkanaście głów ciekawych, przyjezdnych gości, którym właśnie opowiadanie gospodarza musiało być przeznaczonym, i kilku domowników spod „Krzyża”, i kilku, głośną rozmową przywabionych, przechodniów.

Zanaro opowiadał, przerywając sobie niekiedy głośnymi westchnieniami z szerokiej piersi wrywającymi się, na kształt sapania kowalskiego miecha, i wykrzykami: *Ecco! spettate*.

– Tak jest, tak jest – mówił powoli do zgromadzonych słuchaczy – są tajemnice i przeznaczenia niepojęte, są wypadki zdumiewające, które chyba na tamtym świecie wytłumaczą się dla człowieka. To jednak pewna, że ja miewam niesłychane przeczucia; kiedym raz pierwszy ujrzał na ląd wysiadającego tego człowieka, z taką dobrą miną, z takim w sobie zaufaniem, z tą szlachetną postawą, coś mnie tknęło zaraz, że go tu spotka nieszczęście.

– Z czegożes tak wnioskował? – zapytał kapucyn.

– Z bardzo wielu rzeczy i tajemnych znaków, naprzód dlatego, że wylądowywał właśnie dnia trzynastego czerwca, który jest dniem feralnym, a wiadomo wszystkim uczonym, iż są dnie feralne, tylko nie każdy posiada, jak ja, spis tych dni, których strzec się należy, aby w

ciągu ich nic ważnego nie przedsięwziąć... *Ecco!* po wtóre, przyjaciel mój dobry, Beroni, człek niesłychanie mądry, a przechodzący nauką wielu profesorów padewskich, chociaż był całe życie tylko ubogim bakalarzem szkółki w kwartale San Giorgio... pokój duszy jego... – Zanaro uchylił szlafmicy – Beroni powiadał mi, że nie ma nic nieszczęśliwszego, jak gdy człowiek, który kraj swój opuści i wyrzeczy się go, albo sam lub następcy jego powrócić doń zamierzą, niechybnie naówczas powietrze samo ich zabija.

– Zanaro, synu mój! – przerwał kapucyn – Beroni i ty prawie wierutne głupstwo.

– Ojciec szanowny – zawołał Zanaro, całując rękaw habitu ojca Serafina – to, co ja powiem, zwijcie, jak chcecie, ale szanujcie Beroniego, dla którego mam weneracją największą... był to rzadki człowiek! Nikt się na nim nie znał, prócz mnie!

– Mówcież dalej, signor Zanaro – ozwał się głos niecierpliwym – jak to było...

– Historia nader ciekawa, a godną, by ją dla potomności zapisały kroniki weneckie... tragedia, że tak rzekę – mówi, wzdychając, gospodarz – *Ecco!*

Młody ów Polak miał coś w sobie, co zwiastowało, że go złe jakieś spotkać musi. Na swój wiek był do zbytku poważny, zamyślony, wstrzemięźliwy, a namiętny w duszy... Zaraz, płynąc tu do Wenecji, na statku „Padre Antonio” poznał się i pokochał szalenie piękną nadzwyczaj Cazytę, córkę kapitana Zeno. Gdyśmy się o tym dowiedzieli, a raczej domyślili tego, gdyż Polak ów, Weneccjanin razem, był nadzwyczaj skryty, powiedzieliśmy sobie, ja, nieboszczka żona moja i ta niegodziwa a przebiegła Madelonetta... (która już naówczas, choć nie miała lat piętnastu, dobrze w oczy mężczyznom patrzyła)... źle być musi... źle! źle! Był bowiem tak oszalał z tej nagłej miłości, która go pochwyliła jak choroba, że na żadną więcej kobietę patrzyć nie chciał. Była tu naówczas signora Zenobia Boccatora, śpiewaczka, pysznej piękności, jak dzisiejsza żona moja (lub ta ją bogactwem form i świeżością kolorytu o wiele przechodzi), ani na nią, ani na uśmiechającą mu się Madelonettę, dziewczeczkę nieszpętną i piętnastoletnią, spojrzeć nawet nie raczył... *Ecco!*

Na Lido raz w raz do kapitana Zeno... A miał z sobą chłopaka, wyrostka, który też, nie tracąc czasu, znalazł sobie na Merceriach szewcównę, córkę Naniego, o którym wieść chodzi, iż był także Polakiem, i w tej się też do szaleństwa zakochał, choć podówczas całemu miastu oprócz ojca wiadomym było, że Vittorini, o którym zaraz obszerniej powiemy, dawno był ją zbałamucił.

Cazita, córka kapitana Zeno – mówił dalej Zanaro – z pomocą Anunziaty, ciotki swej, rzuciły urok na bogatego Polaka... Tak jest, panowie! był to urok, a może nawet dały mu pić jaki filtr miłosny, gdyż stare niewiasty są w tych rzeczach bardzo biegłe... przekonał mnie o tym Beroni.

Odprawiono zaraz Sabrone, narzeczonego Cazyty, któremu Anunziata zaswatała wprędce piękną Julię (między nami mówiąc, na jego nieszczęście...), Polak się piorunem oświadczył i ożenił... Wszyscy naówczas mówili mi: – Signor Zanaro... fałszywy wróżbicie, otóż widzisz, jak się to wszystko złożyło szczęśliwie. – A jam odpowiadał z głęboką wiarą w wielkie prawdy, których mnie nauczył Beroni: – Czekajcie, a patrzcie końca!

Cóż się dzieje! Polak z Cazytą jadą do jego kraju; chłopak zakochany zostaje w Wenecji przy Nanim i ma się żenić, a ja patrzę i powtarzam: – Czekajmy, a patrzmy końca...

Niedługo czekałem, jak luną nieszczęścia... Matko Miłosierdzia, sprawdziły się przepowiednie moje do ostatniej kropelki.

– Jak, szanowny panie Zanaro?

– Zaraz opowiem wam to – poważnie ciągnął gospodarz – *ecco!* Niedługo zabawiwszy w Polsce, przyciągnął, aby się wyroki spełniły, Polak ów do Wenecji z żoną... Tymczasem kapitan Zeno ze statkiem swym przepadł... ani wieści; miano go za umarłego... odprawiali nawet za niego nabożeństwa żałobne, świadkiem ojciec Serafin, a nabożeństwa te, zdaniem teologów, jeśli na drugim świecie nie zastaną duszy, dla której były przeznaczone, idą do po-

wszechnej skarbony dla najpilniej ratunku potrzebujących dusz czyścowych, gdyż nic przepaść nie może...

Kapucyn głową kiwał potwierdzająco.

– Gdym Polaka powracającego ujrzał – mówił Zanaro – utwierdziłem się jeszcze w mniemaniu, iż czeka nas rozwiązanie jakieś straszliwe... Miał na czole wypisaną śmierć i niedolę. Chłopcu też jego u szewca nie lepiej się działo, pchnięty był nożem z rozkazu Vittoriniego, ledwie się wyskrobał, a dziewczeczka od niego i od ojca uciekła i skryła się... Słuchajcie, panowie, tu się dopiero poczyna pełna cudowności przygoda krwawa i łzawa.

Zanaro otarł pot z czoła, upajał się widocznie wymową własną.

– Naraz zabity kapitan Zeno powraca i zmartwychwstaje! Znowu zły znak... upiór z drugiego świata widocznie... Za zabójstwo jego schwytny, Toro ścięty na placu pod czerwonym słupem graczy... początek rozlewu krwi... Ale to jeszcze nic... nic... *ecco!* słuchajcie! Ów nieszczęśliwy małżonek Polak, ukochany Cazity, poczyna schnąć w oczach, usychać, więdnąć jak drzewo podcięte, jak ryba wyjęta z wody... i najniespodzianie kona... *ecco!* Młoda małżonka oddaje się niepomiernej żalości... ludzie wszyscy prorokują jej śmierć. Rzuca nieboszczykowi włosy obcięte do trumny... nader zły znak, który wszyscy mają za dowód przywiązania, a jest to wróżba rozbratu... włosy bowiem, mawiał Beroni, mają w sobie siłę rozprzegającą. Chłopak, który był sierotą pozostał po Polaku, szaleje po nim... całe dni i noce spędza, płacząc na mogile swojego pana na Lido, jak pies wyje po nim i łyje leje. Na próżno stary Nani stara się go uspokoić, pocieszyć.

Przechodzi czas pewien; boleść żony Polaka, młodej i pięknej Cazity, powoli się uśmierzać zaczyna. Mówiono zrazu, że miała wstąpić do klasztoru, ale ja wcześniej szeptałem, patrząc na jej całe ładną twarzyczkę, że raczej do zakonu Adama i Ewy jest przeznaczoną... Dodajcie, iż Polak kapitana długi popłacił, a signora Lippi uchodziła za wcale majątną wdówkę.

Po pewnym czasie zmiera kapitan, ojciec Cazity, która pozostała sam na sam ze swą ciotką Anunziatą. Pogrzeb mu sprawili, nie można powiedzieć, wspaniały, godny patrycjusza. Ale wdowa i sierota w żalobie poczęła się z ciotką pokazywać na odpustach... cała w czerni, co jeszcze podnosiło jej wdzięki. Młodzież za nią szalała... Zobaczył ją widać w którymś kościele, choć rzadko do kościołów uczęszczał, ten bałamut Vittorini, który córkę Naniego z domu rodzicielskiego był wykradł, a raczej odbił w drodze, gdy ją do klasztoru wieziono. Zakochał się...

Powoli przyszło bliższe poznanie się, podobanie, aż i projekt małżeństwa... *ecco!* słuchajcie...

Tymczasem ów chłopak od szewca siedział na mogile swojego pana... Jedną razą przychodzi do niego stary Nani i powiada mu: – Słuchaj, chłopcze, a miał imię Matia, słuchaj Matia... twoja ulubiona, a moja córka, piękna Marietta, powróciła pod dach rodzicielski, żalując grzechów swych przeszłych... domaga się, abyś i ty żalobę swą skończył, widzieć cię pragnie...

Zrazu chłopak, któremu pewnie także zadano filtr jakiś, choć się opierał, nie chcąc widzieć niewdzięcznicy... i na Lido pozostał. Gdy jednak Marietta sama po niego poszła, dał się skusić... Wraca tedy do szewca... Marietta łzami i chytrą starą się go przebłagać i miłość na nowo obudzić, a szło jej nie o niego, ale o zemstę... *ecco!* Vittorini miał się już, już żenić z wdową po Polaku... Marietta, opuszczona przez niego, szalała... *ecco!*

Namawia więc Matię, obiecując mu rękę swą, jeśliby Vittoriniego zgładził, przez co i pamięć swojego ukochanego pana, i ją pomści! daje mu nóż w dłoń i jątrzy...

Zbliżamy się do rozwiązania, panowie... krwawa tragedia! straszne dzieje!

Wiecie już, że w chwili, gdy do kościoła Frari zdążała młoda para, wdowa po Polaku i Vittorini, na wschodach samych z tłumu się wyrwał ktoś i nożem w piersi pchnął nowożeńca, który padł i dotąd jeszcze do siebie przyjsć nie może.

Zabójcy nie pochwycono... nie wiadomo, co się z nim stało, lecz wiadomo, kto nim był, nieochybnie kochanek ów Marietty... chłopak Polaczek, mszczący razem swą kochankę i swego pana...

– A Marietta? – spytał ktoś.

– Marietta – rzekł Zanaro – chodzi i śmieje się wesoło, pomszczona na Vittorinim i uwolniona od nudnego zalotnika, który po coltellacie zmykać musiał. Włóczy się, szukając go stary Nani, od tych wszystkich przygód krwawych dostawszy pomieszania... Tylko co go nie widać – dodał gospodarz – bo najmniej razy pięć na dzień tędy się mi przesunie...

– A Vittorini? – spytał ktoś ciekawy.

– Vittorini wyzdrowieje, ręka była niepewna, zadał mu ranę nie wedle prawideł sztuki, studencką... wiele krwi wytoczył, wiele strachu przyczynił nieszczęśliwej Cazicie, ale to z tego wszystkiego nic nie będzie. Ślub wezmą, to pewna, ciotka Anunziata go nie puści... a i piękna wdówka też po tej historii niełatwo by innego znalazła, chyba by go znowu w Polsce szukać musiała.

To mówiąc odetchnął Zanaro i obejrzał się po słuchaczach, którzy zdawali się po nim zakończenia i sensu moralnego powieści wymagać. Pojął to gospodarz „Maltańskiego Krzyża” i tonem poważnym dodał:

– Otóż, panowie, jak się to wystrzegać potrzeba dni feralnych, filtrów bab starych i ludzi napiętnowanych, nieszczęście z sobą niosących.

– Gdyby to ich poznać można! – rzekł ktoś w tłumie.

– Można! – dokończył Zanaro – są na to pewne znaki. Beroni nauczył mnie ich wiele. Już gdy kto niespokojny kręci się po obczyźnie i żony sobie w cudzym gnieździe szuka prezumpcja wielka, że naznaczonym jest ową fatalnością, która rodzi niepokój i w miejscu usiedzieć nie daje...

– A, wszystko to bałamuctwa – zawołał w tej chwili kapucyn – tylko ja wiem prawdziwą przyczynę tych wszystkich nieszczęść Polaka i jego chłopca, i tych, których oni pociągnęli za sobą... Płynąłem z nimi na statku „Padre Antonio”, kiedy raz pierwszy do Wenecji przybywali.

– Słuchajcie! – przerwał Zanaro.

– Otóż, oświadczył się mi Polak naówczas, że miał zamiar, a może był nawet ślub uczynił, odwiedzić Grób Pański i pielgrzymował do Ziemi Świętej. Zastraszili go naówczas wszyscy morem i ślubu nie dopełnił ani zaraz, ani później, stąd wszystko owo złe spłynęło.

– Ma słuszość – zawołał Zanaro, całując znowu w rękaw zakonnika – tak jest, i to się także przyczyniło! pamiętam, że i przede mną się w początkach zwierzał z tym zamiarem... *Ecco!* Ale jedno drugiego nie osłabia...

W tej chwili urwał, spostrzeżono bowiem przechodzącego niedaleko starego Nani. Zanaro był nazbyt rozgorączkowany, ażeby go nie zaczepił...

– E! e! – zawołał – dzień dobry, ojciec Nani, dzień dobry!

Szewc, który szedł z głową spuszczoną i okularami spadającymi na koniec nosa, odwrócił się, ruszając ramionami.

– Kto mnie śmie ojcem nazywać? – spytał – czy to ty, stary wole karmny... hę?

– Żle! – rzekł Zanaro – źle koło niego... patrzcie, jak się wyraża nieobyczajnie.

– Ojcem nie jestem – dodał Nani – bo się córka mnie wyrzekła, a zięć, w krwi umyty, uszedł... włóczęgą jestem i żebrakiem.

– Biedaczysko! – szeptali przytomni.

– Ale co komu do tego? dlaczego mnie prześladujecie? – gwałtownie począł, obracając się od Zanara – czyś to ty lepszy? a twoja córka? tatku?

– Ostry jest – szepnął Zanaro.

Niektórzy się uśmiechali.

– Ej! Zanaro! Zanaro Gran Ladrone! – dodał – gdyby była sprawiedliwość na świecie, czy-
byś ty dawno wisieć nie powinien?

Kapucyn się uśmiechnął, śmiał się i sam Zanaro, ale jakoś nieserdecznie.

– Daj już pokój, Nani – rzekł – daj pokój, rachunki z szubienicą niebezpieczne...

– Nie mnie, nie... o nie! – odparł szewc – mnie się jeszcze coś od niej należy, a z wielką przyjemnością patrzyłbym i na twoje nogi w powietrzu...

– Fe! fe! Nani, co pleciesz! – wołał Zanaro – dość tych żartów... daj mi pokój... powiedz lepiej, dokąd idziesz.

– Szukam tego, czegom nie zgubił, idę tam, skąd nie przyszedłem – rzekł, dziko śmiejąc się, szewc – i pozdrawiam was ciekawych, co z biedaka szydziecie... bodaj was ten sam los spotkał...

Zanaro, obawiając się uroku, szybko dwa palce rogato wystawił *contra la jettatura*, przeciwno szewcowi, który opierając się na kij, powoli powlókł się mrucząc dalej.

Chodził tak co dzień na Lido, na cmentarz, wypatrując, czy tam nie znajdzie Maćka, po którym szczerze tęsknił... ale na grobowcu Konrada nikogo nigdy już nie spotkał, nawet tamarysy i cyprysy, które tam posadzili pierwszej wiosny, wkrótce pousychały, a rodzina ani wdowa o postawieniu grobowca nie myślała.

W Robbinie bowiem, wkrótce jakoś po nadeszłej wiadomości o śmierci Konrada, pocho-
wał ksiądz proboszcz starego Pukałę Dalifura, którego do trumny ubrała własnymi rękami
pocziwa Murzynowska. Majątek po zmarłym w Wenecji bracie objął pan Bolesław; ale i
temu się jakoś nie szczęściło, dzieci się nie hodowały, a na nim ostatnim wygasła rodzina
Lippich de Buccellis.

Drezno 1865

SŁOWNICZEK

- A b r u z z e – najwyższa, słabo zaludniona część Apenin
a d c a p t a n d a m b e n e v o l e n t i a m (łac.) – dla zjednania życzliwości
a d h o c (łac.) – szybko, nagle
a l i a s (łac.) – albo
a l m a (arab.) – tancerka i śpiewaczka
a n a t h e m a (gr.) – klątwa
a n t i c a l o c a n d a (wł.) – stara gospoda, zajazd
a n t i c i p a t i v e (łac.) – z góry, naprzód
a r e n d a r z – dzierżawca, przeważnie karczem i młynów
a r i v e d e r c i (wł.) – do zobaczenia
a t r y b u c j a (łac.) – kompetencja, zakres działania
a u s t e r i a (wł.) – zajazd, karczma
a u t o r a m e n t (łac.) – rodzaj, gatunek, styl
- b a k a ł a r z – nauczyciel szkółki elementarnej
b a ł a k a ć (ukr.) – bajać, zmyślać
b e l l a (wł.) – piękna
B e l l u n o – miasto w pobliżu Wenecji, stolica prowincji o tej samej nazwie
b i z u n – kańczug, batog
b r i o (wł.) – wesołość, życie
b r o d o (wł.) – rosół, zupa
B e c e n t a u r – ozdobna, duża galera, na której doża wenecki corocznie zaślubiał morze, wrzucając pierścień do Adriatyku
b u o n g i o r n o (wł.) – dzień dobry
b u o n a s e r a (wł.) – dobry wieczór
b u r k a – wełniany płaszcz do podróży
- c a m p a n i l l a (wł.) – dzwonnica
c a n a g l i a (wł.) – łotr, kanalia
C a n a l G r a n d e – Kanał Wielki, główna arteria komunikacyjna Wenecji (3800 m długości)
C a r o g r ó d – Konstantynopol, Istanbuł
c a v a l i e r e (wł.) – rycerz, szlachcic
c e k i n – stara moneta włoska
c e r t o w a ć s i ę (łac.) – sprzeczać się, polemizować
c h m i e l n i k – pole lub ogródek, w którym uprawiano chmiel
C i a m p i S e b a s t i a n (1769-1847) – kanonik, uczonek włoski; przebywał w Warszawie w latach 1818-1822, gdzie wykładał literaturę grecką na uniwersytecie. W swoich rozprawach zajmował się m. in. stosunkami polsko-włoskimi.
c o l t e l l a t a (wł.) – pchnięcie nożem
c o n c h i l l a (wł.) – koncha, muszelka
c o n t r a l a j e t t a t u r a (wł.) – przeciwko czarom, złemu urokowi
C o r r a d i n o m i o , a n g e l o c a r o (wł.) – Konradzie mój, aniele drogi
c o s a s t u p e n d a (wł.) – dziwna rzecz

Croce di Malta (wł.) – Krzyż Maltański
cyc – rodzaj tkaniny bawełnianej
czerwony słu p grac z ó w – miejsce straceń w Wenecji
czerwonzłoty, czerwony złoty – dukat

dementiae (łac.) – szaleństwa, głupstwa
dereszowaty – określenie maści konia, siwawy
Deus vos... ducat, reducat (łac.) – Niech was Bóg prowadzi i przyprowadzi
dilettante (wł.) – dyletant, amator, człowiek zajmujący się sztuką albo nauką niezawodowo, bez dostatecznego przygotowania
Dogana (wł.) – urząd celny, również nazwa budynku w Wenecji
dromoman – tłumacz przy poselstwach, konsulatach i klasztorach chrześcijańskich na Wschodzie
dukat – złoty pieniądz, równający się 18 złp
dycht (niem.) – akurat, w sam raz
dystrakcja (łac.) – roztargnienie, zapomnienie

è un signore Polacco (wł.) – to jest jakiś Polak
è vero (wł.) – prawda
eccellenza (wł.) – ekscelencja
ecco (wł.) – oto

facolet (wł.) – chustka do nosa
fiascone (wł.) – butelka
fiera (wł.) – jarmark
flukt (łac.) – bałwan, fala, nurt
fonfry – fochy, grymasy, kaprysy
Frari – franciszkański kościół Santa Maria Gloriosa dei Frari z XIII/XIV w. w Wenecji
frutti di mare (wł.) – potrawa z owoców morza, tzn. ślimaków, małży, ostryg itp.
frytura – olej rzepakowy z krochmałem i łojem używany zamiast masła, tu: smażone ryby

galon – naszywka, lamówka
genealogia (gr.) – rodowód
Giudecca – część Wenecji
Gondola! signori! (wł.) – Gondola! panowie!
gumno – podwórze gospodarskie, stodoła na zboże lub miejsce przed stodołą

histrion – aktor, komediant, kuglarz
homeryczny – potężny, na miarę bohaterów Homera

il granladrone (wł.) – wielki łajdak, rzezimieszek
indigenat (łac.) – nadanie szlachectwa lub (w wypadku cudzoziemca) obywatelstwa danego kraju
intratny (łac.) – zyskowny, przynoszący znaczny dochód
isola bella (wł.) – piękna wyspa

Kalabria – południowa część Włoch
karabela – zakrzywiona szabla bez kabłąka, o zdobionej rękojeści

k a r a w a k a – krzyż o dwu poprzecznych ramionach, mający na sobie 7 krzyżyków i 18 liter

k i t a j – rodzaj cienkiej i błyszczącej tkaniny jedwabnej

k o l b u s z o w s k a k a n a p k a – kanapa pochodząca ze słynnej wytwórni mebli w Kolbuszowej

k o l e b k a – pojazd na pasach, kocz

k o n s o l a c j a – pocieszenie, dziecko

k o n t u s z – zwierzchnia, długa suknia męska z wylotami

k o r d i a ł – lek pobudzający, napój orzeźwiający i wzmacniający

k r u c z e k (ukr.) – haczyk

k s i ą d z M a r e k – karmelita związany z konfederacją barską, zmarł między 1801 a 1806 rokiem

k u l b a k a – drewniana osada siodła

k u p i a (stp.) – sprawunki, zakupione towary

l a d r o n e (wł.) – łotr, rzezimieszek

L' amor comincia con suoni e con canti, E poi finisce con dolori' e pianti (wł.) – Miłość zaczyna się muzyką i śpiewem, I później kończy się bólem i płaczem.

l a m u s (nim.) – murowany budynek przeznaczony do magazynowania różnych nie używanych rzeczy

L a S a l u t e – popularna nazwa barokowego kościoła Santa Maria della Salute w Wenecji

L i d o – część Wenecji, duża wyspa

l i t t e r a e p a s s u s (łac.) – wyraźny dowód

M a d o n n a d e l l S a l u t e (wł.) – Matka Boska Zbawienia

M a d o n n a d e l l e G r a z i e (wł.) – Matka Boska Łaski

m a g i e r k a – wysoka, okrągła czapka węgierska noszona często przez chłopów

m e a c u l p a (łac.) – moja wina

m e l i s a – roślina o silnym cytrynowym zapachu, na wysokiej łodydze – szare, włochate liście i białe lub różowe kwiaty; ma zastosowanie m. in. w lecznictwie

m e m e n t o (łac.) – pamiętaj

M e r c e r i e – kramy, tu: dzielnica kupców i rzemieślników w Wenecji

m i o c a r o (wł.) – mój drogi

m i r a v i g l i a (wł.) – właśc. mirabilia – cudowności

M u r a n o – miasto położone na pięciu wysepkach laguny weneckiej, słynne z wyrobów szklanych

m u r a z z e (wł.) – nazwa przedrzeźniająca – murzyska

N a ł ę c z – herb mający związaną chustę w czerwonym polu, a na hełmie pannę między jelenimi rogami; *Herbarz* Niesieckiego (1840 r.) wymienia, między rodami pieczętującymi się tym herbem, nazwisko Lippi

n a w a – duży statek

n e q u i d n i m i s , p o c u l a n e c e s s i t a t i s , s a n i t a t i s , h i l a r i t a t i s (łac.) – aby nie zanadto, puchar potrzebą, zdrowiem, wesołością

n i f a l l o r (łac.) – jeśli się nie mylę

n o n è v e r o (wł.) – nieprawdaż

o b e d i e n c j a (łac.) – posłuszeństwo
o b r z e z a n i e c – żartobliwa nazwa oberżniętego dukata
o c h y n ą ć (stp.) – pograżyć, zatopić
o d c z y n i ć n a s ł a n i e – zdjąć rzucony urok
O g g i f i g u r a / D o m a n i i n s e p o l t u r a (wł.) – Dziś człowiek / Jutro w gro-
bie
o k s e f t (stp.) – wielka beczka
o s t e r i a (wł.) – oberża
o s t r ó w – wyspa, kępa na jeziorze, rzece lub stawie porośnięta trawą i drzewami

p a d r e A n t o n i o (wł.) – ojciec Antoni
p a d r e S e r a f i n o (wł.) – ojciec Serafin
p a d r o n e (wł.) – właściciel
P a ł a c D o ż ó w – długi, renesansowy budynek z pięknymi arkadami, siedziba władz
Republiki Weneckiej
p a t y n k – patynek, płytki pantofelek lub trzewik damski
p e r p e d e s a p o s t o l o r u m (łac.) – pieszo, na wzór apostołów
P i a z z e t t a – mały placyk, stanowiący niejako odgałęzienie placu Św. Marka, na któ-
rym odbywały się egzekucje
p o b e n e d y k o w a ć (z łac.) – pobłogosławić
p o c i ą g a c z – pociągiciel, rzemień w kształcie koła, za pomocą którego szewc przymo-
cowuje sobie obuwie do kolana
p o r ę k a w i c z n e – datek dla rodziny właściciela ofiarowywany przez kupującego, tu:
dzierzawiącego
p o r t a t i c e d ' a q u a – nosiwoda
p o s e s j o n a t – właściciel dziedzicznych dóbr
p o s z ó s t n o – w sześciokonnym zaprzęgu
p o v e r i n o (wł.) – biedaczek
p r e z u m c j a – presumpcja, domysł, przypuszczenie
p r i m a d o n n a a s s o l u t a (wł.) – śpiewaczka grająca główne role
p r i m o i n a m o r a t o (wł.) – pierwszy amant (kochanek) na scenie
p r i n c i p e (wł.) – książę
P r o k u r a c j e – XV-wieczny ogromny gmach w Wenecji, w którym mieszkali proku-
ratorzy (urzędnicy miejscy)
p u l p e t – siekane mięso z dodatkiem tłuszczu, bułki tartej i przypraw, formowane w
kule
p u z d e r k o – pudełko z przegródkami lub wklęsłościami, przystosowane do przecho-
wywania butelek
p y r c h a ć – podlatywać w górę za zbliżeniem się myśliwego, tu: znaczenie przenośne

q u a n t u m m u t a t i s a b i l l o (łac.) – jakże odmienny od tamtego, od tego, jakim
był
q u o d D e u s a v e r t a t (łac.) – co niechaj Bóg odwróci

R a m a – miejscowość na płn. od Jerozolimy. Obecnie wieś Al-Ram
r a p c i e – paski z taśmy lub sznurków do szabli lub karabeli
r e g a t a – wyścig na łódkach lub gondolach
r e w i n d y k o w a ć – odbierać swoją własność

R i v a d e i S c h i a v o n i – Brzeg Słowian; pld. część Wenecji na wschód od placu Św. Marka, ulica nad kanałem, na której niegdyś sprzedawano niewolników
r o b r o n – suknia kobieca z ciężkiej tkaniny, kolista u dołu
r u d e l – ster

s a m o w t ó r (stp.) – tylko we dwoje
S a n B i a g g i o – kościół Św. Błażeja
S a n G i o r g i o – kościół Św. Jerzego
S c o l a d i S a n R o c c o – szkoła Św. Rocha, założona w 1425 przez bractwo pod tym samym wezwaniem
s e p e c i k – forma zdrobniła od sepet – skrzynia, kufer
s i g n o r a (wł.) – pani
s i g n o r i a (wł.) – nazwa rządu w miejskich republikach włoskich
s i g n o r i n a (wł.) – panienka
s i g n o r i n a m i a (wł.) – panienka moja
s k ó r z n i e (stp.) – buty z wysokimi cholewami
s o f i s t y k o w a ć – dowodzić rzeczy fałszywych w założeniu przy pomocy błędnych argumentów i wniosków, tu: filozofować, mędrkować
s o p o r – gęsty sos
s p e t t a t e (wł.) – spójrzcie, zwróćcie uwagę
s p r o k u r o w a ć (łac.) – wystarać się, dostarczyć
s t a r y s o p r a n i s t a – obelżywe przezwisko, kastrat
s t e m p e l – ostatni kielich na przypieczętowanie pijatyki, dolewka
s t ę p a k – koń chodzący stępa
s u b s t a n c j a (łac.) – tu: majątek
s z a f r a n – ziele używane do przypraw i farbowania na żółto
s z a ł a w i ł a – człowiek lekkomyślny, roztrzepaniec
s z ł a f r o k (niem.) – katanka, suknia odmienna krojem od powszechnie noszonej

t a m a r y s (arab.) – drzewko o małych listkach i czerwonych kwiatach; rośnie na południu Europy
t a n t n y – jardy, dumny, dostatni, zamożny
t a v o l a r o t o n d a (wł.) – okrągły stół
T e d e s k o w i e (wł.) – Niemcy
t e r m e d i a (łac.) – komedia, awantura, dziwowisko
t e s t i m o n i u m (łac.) – świadectwo
t o s k a ń s k a w ł o s z c z y z n a – dialekt tokański, z którego rozwinął się literacki język włoski
t r o c i c z k i – kołaczyk z wonnej masy do kadzenia

u s z a k – tu: rama drzwi, odrzwia, futryna

V e n e z i a ! e c c o V e n e z i a l a b e l l a (wł.) – Wenecja! oto piękna Wenecja

w c i ó r n a s t k i – diabli, przekleństwo
W e n e t – Wenecjanin
w e t u r y n (wł.) – dorożkarz, najęty woźnica
w ę g r z y n e k – służący przy koniach, zazwyczaj ubrany z węgierska
w i t r i o l – kwas siarczany

w y ż k a – rusztowanie z desek w chatach włościańskich służące do suszenia lnu, siana lub do spania

z a w d z i ę c z y ć – okazać wdzięczność, zapłacić wdzięcznością

z b i r – dawniej: policjant, pacholek miejski

ż u p a n – suknia polska wkładana pod kontusz